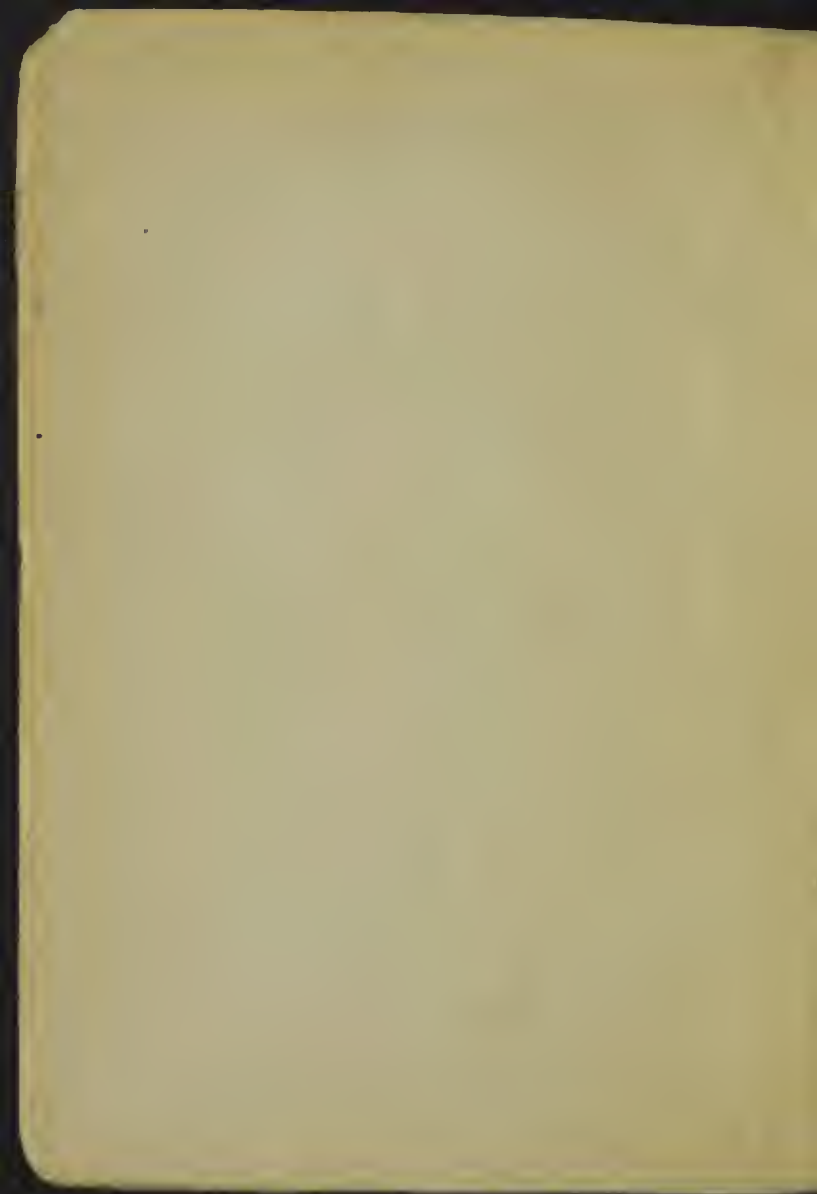




2/11. - 7/11. -
WYBÓR PISM

J. I. KRASZEWSKIEGO.

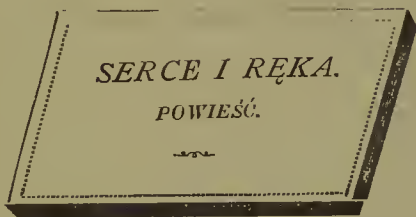
(WYDANIE TANIE).



WYBÓR PISM

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(WYDANIE TANIE).



TOM V.

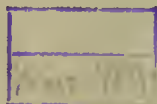
Kraszewski

WARSZAWA.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA UNGRA,

ulica Nowolipki Nr 3.

1882.

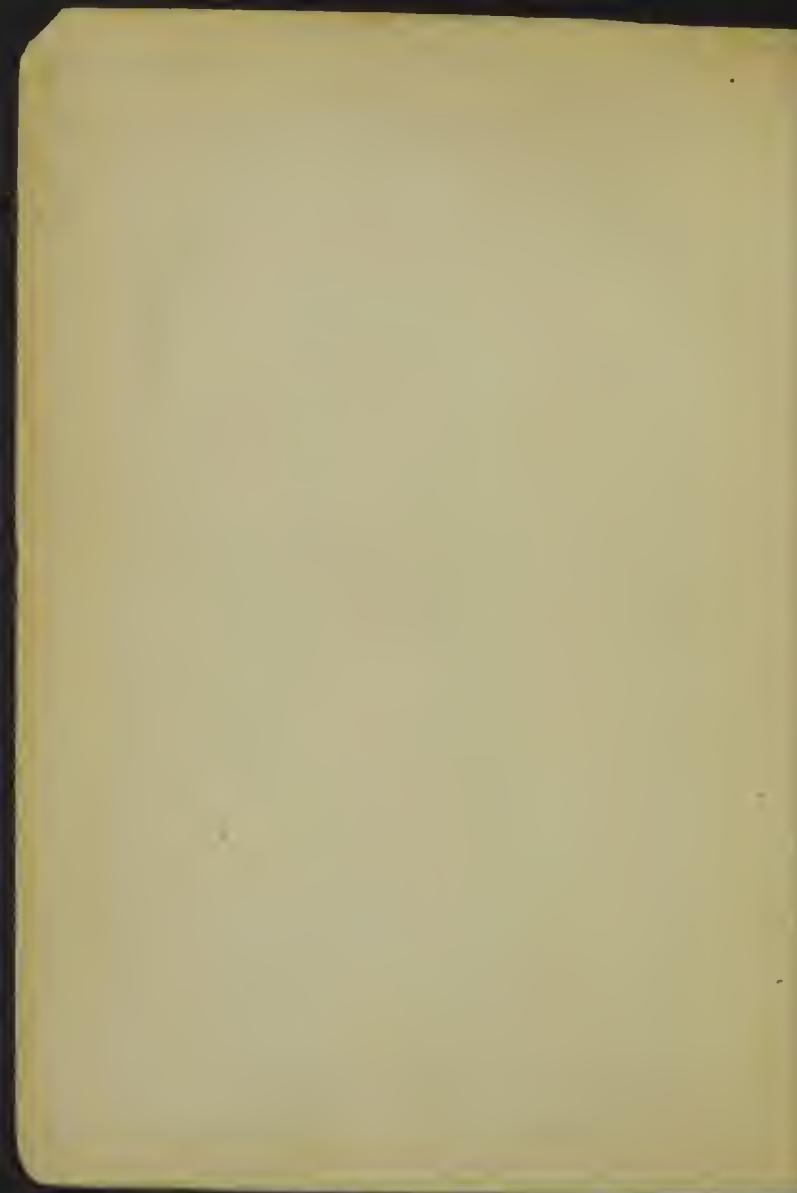


Дозволено Цензурою.
Варшава, 21 Июля 1882 года.



1882. 1. 25

SERCE I RĘKA.



Przed wiejskim kościółkiem, otoczonym staremi lipami rozłożystymi, którego budowa mimo późniejszych restauracyj dawne bardzo czasy przypominała gotyckim przyczółkiem i strzałkowatymi oknami, stał w nowiuteńkiej sutannie, ocierając pot z użnojonego czoła, młody, słusznego wzrostu ks. wikary, i wzdychając spoglądał ku dworowi.

Kilku chłopaków, stary zakrystyan i babka kościelna krzatali się żywo, kończąc świąteczne przybranie wnętrza. Był to gorący dzień, a raczej ranek lipcowy.

Obok księdza wikarego, z założonemi w tył rękoma, w letniem ubraniu dosyć ubogiem, smętnie jakoś spoglądając dokoła, przechadzał się niemłody już mężczyzna, którego można było wziąć za starszego sługę dworu lub rezydenta.

Na twarzy wikarego znać było, że mu coś w niesmak poszło.

— Ale, proszę cię, panie Maciejn! odęzwał się po chwili męzkim, grubym, basowym głosem: cóż się takiego stać mogło, aby znowu ślub odkładać? Ja, dalipan, nie już nie rozumiem!

— Albo ja tam wiem, odrzekł zagadnięty ochrypłym, zmęczonym tonem, z wyrazem zniechęcenia, i obejrzał się do koła. Kto tam może wiedzieć, co się w pokojach robi? Goście są wszyscy, pan młody i ojciec jego... z naszych zaproszonych nikogo nie braknie....

— Więc cóż znowu zaszło? spytał wikary śledczemi oczyma wpatrując się w starego, który spuścił wzrok i ramionami ruszył. Hę? panie Macieju? przecież pan radca musiał pannę powiedzieć?

— Nie mi nie powiedział, rzekł Maciej. Wyszedł z salonu do mnie, kwaśny jak rzadko, popatrzał na mnie i odczuwał się, jakby się wstydał tego co powie: „Idź, wasan, panie Macieju, i powiedz tam na plebani, czy w kościółku, ażeby nie czekali... bo ślub dziś odbyć się nie może...”

— Mówił: dziś? podchwycił ksiądz.

— A no, dziś, boć przecie się to kiedyś skończyć musi! szepnął Maciej.

— I dla czegoż się wprzód z tém nie rozrachowali państwo? dodał wikary. Na prawdę rzekłszy, nie wiedzieć do czego to podobne!.. Z dnia na dzień zwłoki... O cóż to idzie?

— Panna Rozalia mi mówiła, że panna młoda niezdrowa...

— Niezdrowa? niedowierzająco powtórzył ksiądz, snadź nie śmiejąc dodać nic więcej.

Spojrżeli na siebie rozmawiający.

— Zacharyasz! rzekł odwracając się wikary do starego organisty: dajcie wy tam pokój kwiatom i zieloności, bo to wszystko powiędnie.. panna niezdrowa, ślub się podobno odwlecze.

I Zacharyasz ramionami dźwignął, splunął, ale nie mówiąc wszedł nazad do kościółka, zniecierpliwienie rzuceniem gwałtownie miotły w kąt objawiając...

Wikary z panem Maciejem poszli powoli przez podwórze kościelne, dawny cmentarz, ku plebanii. Tuż za starymi lipami, także w cieniu lip i kasztanów, stała plebania murowana, a nieco opodal zabudowania probostwa i szpital dla ubogich śnog kościelnych, na którego ścianie wisiał wyblakły obraz Łazarza z psy liżącemi rany nóg jego, i krzyż czarny z wizerunkiem Zbawiciela...

Po za murem otaczającym cmentarz dawny, rozdzielony tylko szerokim gościńcem, widać było pałac dziedzica, gmach bardzo okazały, niedzisiejszej architektury, ale ze smakiem odnowiony i otoczony wspaniałym dziedzińcem, ubranym w krzewy i kwiaty.

Odszedłszy kilkanaście kroków ode drzwi zakrystyi, ks. wikary się zatrzymał i zwrócił do idącego za nim pana Macieja, który właśnie dobywał tabakierki, aby z niej zaczerpnąć szczyptę pociechy...

— No! co to z tego wszystkiego będzie? zapytał cicho.

Stary kiwał głową, trzymając w palcach tabakę nad otwartą szeroką tabakierą, i głową trząśł dziwnie. Widocznie z kwasu, jaki w sobie czuł, wstręt miał się spowiadać.

— Albo ja wiem, co się dziś z nami i z nas dzieje! rzekł z wolna. Jeden Pan Bóg to wie, a jedna nasza jaśnie wielmożna pani te tajemnice trzyma w garści... Ja nawet wątpię, żeby radca wszystko wiedział i rozumiał. Jego tak tumania, jak wszystkich. Hm! począł rozgadując się: panna chora! panna chora! kogo to tém oszukają! Bogiem a prawdą ję

się za tego panicza iść nie chce, ot cała rzecz... po co ją gwałtem wydadzą?

Pod murem w cieniu lip stała ławka. Ks. wikary rsiadł i wskazał miejsce towarzyszowi, który na rozku się tuż usadowił z uszanowaniem.

— Dla czegoż ją za niego wydadzą? dodał wikary.

Otoż w tém sęku... Kto to zgadnie? kto ich zrozumie? a raczej nie ich, ale naszą jaśnie wielmożną panią!

— Jeśli kto, to wy, panie Macieju, lepiej to wszystko wiecie i rozumiecie niż drudzy, odezwał się wikary. Moglibyście i mnie objaśnić...

Stary pan Maciej, którego wygolona twarz cała w zmarszczkach dziwnie się wykrzywiała, usta wydał, popatrzał w niebo, zażył tabaki i nie odpowiedział nic. Ruchem ramion tylko wyparł się tego, by cokolwiek mógł objaśnić.

Ks. wikary wiedział, że naleganiem rzadko się co zdobywa, wołał poczekać, aż się staremu same usta otworzą i serce wypowiedzą.

Maciej westchnął.

— Wszystko u nas teraz dyabła warto, począł cicho; a nie od dziś... nie od dziś! Pan Bóg odwrócił od nas łaskę swą i oczy, a gdy bez jego opieki pójdą sprawy na ludzkie rozumy... trudno, by co dobrego wymędlowały... Trudno! trudno! powtórzył kręcąc głową. Staremu słudze delikatna materya obgadywać swoich chlebobawców, i ja też milczę jak kamień, milczę... Gdyby nie to, że jegomość dobrodziej jesteś kapłanem, anibyś stęknął i przed nim. Do czego się to zdalo? my nie nie poradzimy... To darmo! Gderz nie gderz, módl się nie módl, co przeznaczone to nie minie!

— Cóż to znowu? rozśmiał się wikary: fatalista jesteś? a! a! toć się nie godził!

— Opatrzność boża! odparł stary i rękoma poruszył, jakby chciał skończyć. Dajmy już temu pokój!

Ks. wikary nie nalegał. Zamilkli chwilę, ale stary zamyślony, począł wkrótce znowu, bo mu wewnętrzny ból dolegał.

— Taki dom! boć to senatorski dom, mówił cicho; taka fortuna! boć to pańska, magnacka fortuna... takie kolligacye! boć to prababka Radziwiłłówna... i tak to wszystko marnie schodzi... na nic, na nic!

— Ale dla czegoż na nic? podchwycił ks. wikary.

— Jedna córka jedynaczka... mówił zapalając się Maciej: książkę udzielną mógłby się z nią ożenić i nie powstydzilby się... piękna jak królewna, rozumna, nawet dobra.. i... ot...

— Przecież panu Zygmuntowi nie zarzucić nie możecie? spytał po cichu wikary, jakby się pytaniem obawiał spłoszyć rozmowę.

— Albo ja mu co zarzucam!... sarkastycznie odezwał się stary sługa. Czegoż chceć? mężczyzna przystojny, młody, dziadek był ministrem. Góły podobno, ale nas stać dla dwojga, toby to było nic; podobno hulał porządnie, ale się musiał wyszunąć to i lepiej... sprytny bardzo... Trudno kapryścić... a mimo to... mimo to...

— Panna go nie kocha?

— Musi coś być, cicho odezwał się Maciej. Kochania nigdy pono nie było... starał się, najechał, panią po rękę całował, bodaj z matką więcej siadywał niż z panną, a u nas, jak to nikomu nietajno, pani wszystkiemu rządzi... tak się to na koniec skleiło.

— Żeby się tylko nie rozkleiło? podchwycił wikary. Starnszek się zamyślił.

— Panięnce, mówiąc między nami i do tak godnego kapłana, panięnce... dodał Maciej: dwudziesty i dziewiąty rok... Tak! tak, dwudziesty i dziewiąty... Starających się było dosyć i tytułowanych. Było jedno książątko, hrabiów i nie zliczyć, bogatych kilku dorobkowiczów bardzo przyzwoitych. Matka forytowała, i ojciec pomagał, kleiło się nieraz, ale jak tylko rzeczy ku końcowi, nasza panna coś zmachinuje, kawaler dostał kwitka i znikł. Co to się z nią matka najadła! Matce to, naszój pani, ulega prawda wszystko, tylko nie ona! nasza panna Olimpia ma swoją wolę, to darmo... Matka krzyczy, płacze, hałasuje, narzeka: ona mileży, ani słowa!.. a koniçe końców wszystko na nie, i panna postawi na swoim... Tym razem myślałem, że już będzie koniec, a kto ją wie?

— Wymagająca! rzekł wikary, lecz też ma prawo wybierać...

Stary się uśmiechnął gorzko, pokiwał głową, zamilkł i palce na ustach położył. Zapatrzywszy się w dal, powoli znówu mówił po chwili:

— Gdy mój kochany pan się żenił, dobry to kawał czasu: trzydzieści kilka lat! byłem jeszcze przy nim. Byłem od dzieciństwa, bom gdy do szkół chodził, choć starszy, z nim razem się uczyłem, czyszcząc mu bóty. Nawykł do mnie, dawniej to się tam i serce otwierało...

Westchnął i mówił dalej:

— Gdy się zechciał żenić, ja czułem, że mimo wielkiej piękności i rozumu naszój przyszlój pani, to dla jegomości nie po tém. Z kobietami jak z orze-

chami panie: kto ma zęby temu orzech twardy doskonaly, a komu ich brak, niech się do nich nie bierze, bo sobie kości do reszty pokruszy! Ale pan nasz zaszłapał, zakochał się, oślepl... no! mogę powiedzieć: zwaryował. To mu dyshonoru nie czyni, boć to i po ludziach pocziwowych chodzi... No, i ożenił się... Minęło parę lat, ostygł trochę, spostrzegł się sam, że to też nie przelewki, rozumem i taktem nadrabiał, wił się, bił się, udawał szczęśliwego... a no! ja tylko wiem co on ucierpiał... To kobieta była nie dla niego, ona potrzebowała żelaznej ręki, a on miał złotą... I weszła bieda do domu, i zagnieździła się, zamieszkała i. gości... a już się jój nie pozbędziemy do śmierci...

Zamilkł stary i zażył tabaki.

— Darnj, księżu wikary, staremu papli! rzekł Nie ma przed kim serca otworzyć, a przed kimżeby, jeśli nie przed kaplanem? To trochę ulgi przyniesie, a w świat nie pójdzie. Rady na to co jest nie ma żadnej, dobrze, gdy się ezlek choć wypłacze.

— Mnie się zdaje, panie Maciejn, rzekł wikary łagodnie, że wy trochę za czarno rzeczy widzicie, przez przywiązanie do pana i do rodziny. Chcielibyście spokoju i szczęścia, a te są na świecie rzadkie... nie ma w tém nic dziwnego, że trochę idzie ciężko... powszednie to sprawy, walka, kłopoty... ale jakoś to się z bożą pomocą załata. Przeciż tak zlego nie ma, jest majątek, jest poszanowanie u ludzi, a że tam małżeństwo trochę się czasem z sobą w zdaniach różni, że troska o dziecko serca rodzicielskie niepokoi... co tak straszego? Wesele się odbędzie i koniec...

— Koniec? Byle to nie był tylko początek! odparł sucho Maciej, i z ławy wstał. Nie godzi mi się

więcej mówić, ale wy, czeigodny ojeze, niewiele wiecie, a mnie na sercu leży dużo rzeczy! Nie godzi się tego mówić! nie godzi...

I westchnął...

Ani wy nie pomożecie, ani ja... chyba Pan Bóg!

— A dla czegożby On pomódz nie miał ludziom, którzy na to zasługują?

Na to pytanie ks. wikarego nie było odpowiedzi. Z głową spuszczoną, pan Maciej nciekl się znowu do tabakierki... Milezeli chwilę... Stary zdawał się wahać i namyslać, czy ma mówić więcej i wylać to, co mu na sercu ciążyło...

Przysunął się do ks. wikarego, którego łagodne i spokojne oblicze nfnosć wzbudzało, zniżył jeszcze głos i począł znowu:

— Dopuszczenie boże! kto zbada wyroki Opatrzności?... Znakomita to była rodzina... Ja tam nie jestem świadom przeszłości, ale pono w tych czasach, gdy mało kto był bez winy, i oni coś zgrzeszyli... a Bóg w czwartém pokoleniu karze... Ja win nie wiem... zresztą... kto zbada wyroki Opatrzności?... Z takiego pięknego rodn jedna ot ta została gałązka: mój stary poceziwy radca. Hej! hej! dziadowie i pradziadowie laski i bnlawy dzierżyli, a temu przyszło z tytuli-kiem pana radcy chodzić po świecie! Ale o toby mniejsza, boć wiedzą ludzie zkąd on idzie i co to za imię! Już to był dopust boży, że się n starego wojewody on jeden ostał.. Bywało w rodzinie po dwóch i po trzech... ginęło to dorosłe na posłudze kraju... a tu jeden się ledwie wyhodował... Przyszła pora do ożenku, ojca już nie było, któryby poradził i odra-
dził, a kto wie, czyby ojciec stary cokolwiek mógł,

bo go jejmość za serce chwyciła, że prawie zmysły postradał. Przyjaciele, krewni odradzali wszyscy. Panna była i majątna, i pięknej familii, i rozumna do zbytku, i zalotna, a umiejąca się podobać. Matkę znali ludzie z płochości i awantur, których się do późnej starości nie wyrzekła. Domyślali się wszyscy, że i córka nie będzie lepsza. Gdy nie nie pomagało, ożenił się mój poczciwy, dobry pan. Z razu niewielkie szczęście, upojenie, miłość wielka, zabawy i wesele... Ale rok za rokiem zmieniać się to zaczęło. Przyszła na świat paucienka... Zdawało się, że macierzyństwo uspokoi nasą panią... Kochała bo i kocha dziecko okrutnie, a no o sobie nie zapominając.. Zabawy, stroje, świat wielki, podróże, bez tego nie mogła żyć... W domu nudziła się, mąż nie starczył nigdy, ani rodzina... a to do wód, a to do miasta na zimę... Kaprysów mnóstwo... Boże mi odpusć! po kilku latach pan pochmurniał, bo się młodzież plątać zaczęła.. Cudzoziemcy, awanturniki, artyści... Opędzieć im się nie było można... Z wielkiej owiej miłości przyszło do obrzydzenia ze strony pani, do wymówek. Święty to człowiek nasz pan, jak on to wszystko przetrwać umiał z czołem pogodnym, pokryć, walczyć, przed światem osłonić i ratować honor domu i majątek! Wprawdzie nie zawszę mógł zwyciężyć; gdy jejmość na kiel wzięła, trzeba było i długi płacić często, i dziwactwom dogadzać, i nieraz uleść, i wstydu się napić tak, żeby go nikt nie spostrzegł... jak smakuje... Co on zniósł, tylko może Bogu i mnie wiadomo. Nigdy nie pisał nawet. Przed światem ndawał szczęśliwego. Jam go tylko widywał na modlitwie zaplakanego, ale gdy się domyślał, że go zejść mogę, wstawał co prędzej, kolana ocierał i poczyniał świstać.

Święty człowiek! panie... Z razu było jako tako, ale gdy jejmość zaczęła więdnąć, szło coraz gorzej. Dobrze byli z sobą, a no żyć już nie mogli.. On osobno poszedł, ona swoim dworem... Ten gospodarzył na wsi, ta latała po Paryżach... Pretekstem była córka... Bo jakże tu córkę jedyną, milionową dziedziczkę, proszę jegomości, wychować w domu? Jegomości chciał sprowadzić guwernantki, metrow, czegooby tylko potrzeba; jejmość słuchać o tém nawet nie mogła... Córka się musiała wychowywać za granicą... i stało się, że z panią zamieszkała w Dreźnie, i siedziały tam razem lat kilka, nawet gdy już panna Olimpia słuszną była i dojrzała. Ale że bardzo miała wielki talent do muzyki, więc nie godziło się go zagrzebywać, i siedziały a siedziały z matką w Dreźnie. Ile też to nas kosztowało! ale mniejsza o te nieszczęśliwe pieniądze, co to się tam działo! panie mój...

Popatrzał stary na wikarego.

— Mój ojcze, dodał, już się zaczęło, muszę się wypowiadać do końca. Niech to będzie spowiedź... bo któż tam wie, czy i na mnie jaka wina nie ciąży?.. Zaklinam was... niech to jak kamień w morzu utonie, co powiem...

— Bądźże spokojny, panie Macieju, odpowiedział wikary łagodnie, ja cię nie wyciągam na nic, mów ile ci się spodoba, a sekretu jak na spowiedzi możesz być pewien. Na to ci daję słowo kapłańskie.

Stary w rękę go pocałował z rozczuleniem.

— I dobrze jest, szepnął, żebyście wy wiedzieli wszystko, kto wie? możecie być pomocą i pociechą staremu pann, bądźciecie wiedzieli, jak się tu obracać i czyją brać stronę... Tylko wam tyle powiem: czarne a straszne rzeczy wyznać wam muszę. Między

panem a panią przyszło do tego, że gdy wyjeżdżała, choć ją kochał, wyrzec się jęj musiał. Płochą była bez miary, i nie jęj powstrzymać nie mogło... Zostal pan nasz kochany przy gospodarstwie, ta się z dzieckiem powlekła za tę nieszczęsną granicę. A to dziecko ich było kochane, śliczne, aniołek, mój dobrodzieju, ale matka rozpieściła w niwecz i taką jęj dała wolę, że male to jeszcze, a nie słuchało nikogo... Ojciec uściskiem tylko i pocałunkiem mógł ją czasem umiarkować. Z matką była zuchwałą... Tryskał ogień z oczu.. uczyła się nie pracując, do czego się tylko wzięła pojęła, ale swawolnica to jakiej świat nie widział! A jeszcze, że to było takie śliczne, psuli wszyscy.. Kiedy jejmość opuszczała Zabrzezie, a przyszło dwór jęj składać, zawołał mnie pan, poczał ścisnąć i całować.. — „Jak mnie kochasz, powiada, poświęć się ty dla mnie i dla mojego dziecka. Wiem, że cię pani nie lubi, wiem, że ci źle będzie, ale jedź z nią... Ja będę spokojniejszy.” Ciarki po mnie przeszły... pobladłem. — „A cóż ja tam poradzę! odezwałem się. Pan to sam „wiesz najlepiej, kiedy niezawsze możesz przeprowadzić „co chcesz, a cóż ja sługa?” — „Ty nie o to idzie, rzekł „radca: byleś ty tam był, ja spokojniejszym się uczuję. „Patrz słuchaj... a gdyby co nadzwyczaj z tego dla dziecka „przypadło, oznajmij mnie. Pani się nie sprzeciwiaj... „to trudno, ona robi co zechce... ale, wierząc mi, „rzekł cicho, więcej tam wietrznictwa i lekkomyślności „niż istotnego zła. Serce dobre, głowa tylko trochę „zawichrzona...” — „A no, proszę pana, sama pani mnie „z sobą wziąć nie zechce: na co jęj ta smętna twarz?..” — „Weźmie cię, położyłem to za warunek, przystała... „Macieju, bądź stróżem mojego dziecka!..” — Ścisnąłem go za kolana: co robić było? co robić! Wiedzia-

lem, że ja tam nie nie pomogę, że mi czyseowe męki przebywać przyjdzie, ano... wola boża! I tak pojechałem. Pani od początku zaraz, tylko cośmy z domu wyjechali, patrzeć na mnie, wiedzieć, mówić ze mną nie chciała. Posługę przyjmowała odwracając głowę, na pytania słowa nie rzekła, jakbym tam nie był... Nie miałem innego rozkazu od pana, tylko dziecko strzedz. Pani uważała mnie za szpiega, a no, jak się nigdy nie kryła z tém, czyniła i nie zważała na nikogo, tak i teraz. Przybyliśmy do Drezna, wynajęto zaraz mieszkanie, kupiono meble, poczęły się robić znajomości. Pani nasza była jeszcze w kwiecie piękności i spragniona zabawy, ludzi, świata. Stroiła się wedle najpierwszej mody, w domu musiało być wszystko z największą elegancją... Kucharza przywieźliśmy z sobą; bez powozu i koni niemożna się było obejść; dwa razy na tydzień wieczory i kolacye... Kto tylko do Drezna przybył, przez Dreznó przejeżdżał, musiał być zaproszony albo na obiad, lub na herbatę.

Do panienki chodziły guwernantki, guwernerowie, w domu była bona, ale choć pani ją koehala bardzo, więcej myślała, jak się sama zabawi, niż eo się z dzieckiem dzieje. Tu już ja, czy mi byli radzi czy nie, i choć mi drzwi zamykano przed nosem... nadzorowałem jak umiałem. Pierwsze lata przeszły, choć z utrapieniem dla mnie, ale spokojnie. Co pani czyniła, to do mnie nie należało wcale. O tém też i donosić nie miałem potrzeby, boby nic nie pomogło; seree się ścisnęło... na tém koniee. Pan zkądinąd o tém wiedział, a milezał... Kręcił się najprzód jakiś jegomość, gość codzienny. Jeździli na spacerę razem, siadywał po całych dniach i wieczorach do późna... listy do siebie pisywali bez nstanku... aż zerwała się

burza, i poszedł z kwitkiem. Odetchnąłem nienadługo: przybył kuzynek pani, jeszcze z młodości jej miły i ulubiony. Ten jako kuzyn zakwaterował się nawet w tym samym domu... Serce mi się ścisnęło, ale cożem ja mógł na to, kiedy pan wiedział i wiedzieć nie chciał?.. Hulaka naprowadzał ludzi, kosztował nas niezmiernie, aż wreszcie Niemca jakiegoś sam zarekomendowawszy, potem historję o niego zrobił, i tak się rozstali. Niemiec, Francuz i różna hłota zalegli potem u nas... Coraz było gorzej, pani starzała a szalała... Trzy razy miałem żółtaczkę ze zgryzoty, a gdym zieleniał, w pokoju mi się pokazywać zabroniono. Siedziałem w kącie, póki mi nie wyzdrowiał. Myślałem, że przecię umrę, a no! nie udało się... Tymczasem panienka rosła jak lilia, jak różyczka... Bywało, jak się pokaże w kościele, czy na ulicy, ludzie stają, żeby na nią patrzeć. Piękna ona i dziś, ale kto jej dawniej nie widział, ten nie domyśli się nawet, jaki miała urok w sobie. I dobre to było, ale szalone. Rzadko która guwernantka wybyć u nas dłużej mogła... Matka dosyć samowolna a zmuszoną była jej ulegać. Trzymano ją jak najdłużej po dziecinnemu ubraną, dzieckiem... niebardzo pokazywano na świat, a co chwila ciężej było utrzymać. Nie chcę posądzać, ale nasza pani sama jeszcze piękna, bodaj że obawiała się i zazdrościła córec świeżości i piękności. Miłość nawet macierzyńską trochę to ostudzało. Chciała też pannę na uboczu mieć, bo jej dziecko przeszkadzało, nie mogła i nie śmiała się z całą płochością swą przed niem pokazać. Więc panienka z guwernantką, swoim dworem chodziła i jeździła, a pani ze swoimi adoratorami osob.

no... Tylko że już i tych się nam przebiczać zaczęło... rzadnieli. Czasem udało się kogo pochwycić, ano rozpatrzywszy się, rychło brał nogi za pas. Humor pani coraz bardziej psuć się zaczynał. Nie stawało gości i młodzieży i tego towarzystwa, które lubila.. Jam Panu Bogu dziękował, że się to przecięż raz może skończy, ano gdzie tam! gorsze następowało... Panienska uczyła się łatwo i korzystała wiele, ale ze wszystkiego najulubieńszą jęj była muzyka. Jeszcze nie miała lat czternaśtu, gdy się ludzie zbierali słuchać, tak grała ślicznie. Nauczyciele początkowi poodchodzili z kolei, trzeba było kogoś bardzo mądrego, żeby dalej uczył, bo dla nięj już trudności nie było. Sami metrowie mówili, że tyle umie, co i oni. Jakoż jesienią młody Czech zapowiedział koncert w Dreźnie. Człowiek był nieznajomego nazwiska, ubogi, ale mówiono o nim jako o nadzwyczajnym talencie. W magazynie, w którym nóty pani bierała, wetknęto jęj kilka biletów. Jak dziś pamiętam, nie chciała iść na koncert, ale córka się uparła i tak prosiła matki, że ta wystroiwszy się w koronki i aksamity, pojechała. Aż słyszę po koncercie, tego samego wieczoru, unosi się sama pani, unosi panienka, w wielkich admiracyach guwernantka. „O! takiego właśnie nam trzeba wirtuoza dla Olimpi, dla dokończenia jęj muzykalnego wychowania!..” Naza jutrz pani pojechała na miasto, trzeciego dnia o południu, przyszedł pan Jarosław Bratanek, i spotkałem go pierwszy w progu, i uderzył mnie nadzwyczaj piękną postacią... Słuszny, czarnych włosów i oczu, zbudowany jak Herkules, coś milego i szlachetnego w twarzy... lat więcęj nie miał nad dwadzieścia kilka...

W pół godziny potém grał na fortepianie... Został do obiadu... Zasłyszałem, że pani zrobiła umowę roczną o lekye dla panny Olimpii. Bardzo mi to nie w smak poszło, sam nie wiedziałem dla czego, jakbym nie-szczęście przeczuwał... Zaczęły się lekye z panienką przy guwernantce, a często i przy matce, natychmiast; a że pani nasza też grywała, zastrzegła sobie, żeby godzinę ku wieczorowi na cztery ręce z nią grać przychodził... Mnie po kilku tygodniach znowu się serce ścisnęło, bo spostrzegłem, że nasza pani była zakochaną w Czechu. W tym wieku, mój dobrodzieju, gdy taki szust kobietę opanuje, zguba ostatnia... Szczyściem piękny chłopiec nie chciał się tego ani domyślać, ani wiedzieć. Przyjmował prezenta, przychodził na obiady, grywał, rozmawiał, uczył się po polsku, ale najpilniej go szpiegując, nie dostrzegłem najmniejszj oznaki balamuctwa... choć, Boże odpuść! jejmość nasza gotowa była grać rolę Putyfarowej, a była jeszcze wcale piękną... bo i dziś zostały tego ślady. Guwernantka zaczęła zawadzać w domu, i odprawiono ją. Panna Olimpia miała szesnasty rok... Matka sama ofiarowała się siedzieć przy lekcyach. Bratanek prawie z domu nie wychodził, ale nie złego nie spostrzegł i zachowywał się jak był powinien... W wielkich łaskach u wszystkich nie popsuł się... Bezpieczniejszy już, niewiele potém zwracałem na niego uwagi. Cały rok trwały te lekye z panną Olimpią i grywanie na cztery ręce. Niedosyć było roku, został na drugi... Paniénka nam dorosła i już powoli pokazywać się w świecie zaczęła... Matka coraz więcej ulegała jój i obawiała się. Charakter był gwałtowny, niepomowany, ognisty... Wszystko musiało się przed nią uginać. Uderzyło mnie to w drugim roku, że z Bratan-

kiem przy fortepianie często prawie do klótni przychodziło. Nazajtrrz byli znown jak najlepiej, śmieli się i grali, dziecinnieli... szeptali. Mnie do głowy nie przyszło, żeby tam jakie niebezpieczeństwo w stosunkach tych zagrażać mogło... Od naszej panny do Bratanka ubożego za daleko było... Przytém chłopiec zachowywał należyte uszanowanie... ale był jak w domu, bo pani na wszystko czego zażądał, pozwalała. Ślepyby był tego dostrzegł, że się kochała zapamiętała, i że choć chłopiec o niej ani myślał, wstrzymywała go, aby tylko nie stracić i byle nań patrzeć... zawsze w jakiśś nadziei... Mój dobry ojeze! dodał Maciej zniżając głos: do trzech lat tak dożyliśmy, przywyklszy do tego gościa w domu, który prawdę rzekłszy, tylko że wieczorem odechodził naprzeciw do swego mieszkania, a resztę czasu siedział ciągle u nas. Gdy się cokolwiek na dłużej oddalił, natychmiast pani po niego posyłać kazała. Panna Olimpia zapamiętała zajmowała się muzyką. Wypadł koncert jakiś na ubogich, niemieckie panie słysząc o nadzwyczajnym talencie panienki, przyjechały jej prosić, aby grała. Matka się wahała... ano, gdy od księżny następczyni tronu przybyła dama dworn z prośbą, uległa. Kupiłem i ja sobie bilet, żeby panienkę widzieć i słyszeć. Uprojektowali grać jakiegoś tam dyabła na dwa fortepiany z p. Bratankiem. Sala była pełna jak nabil, gdy naszą pannę szambelan hr. W. wyprowadził. Wyszła jak słońce... w białej sukni, w różach tylko, z aksamitką na szyi, spiętą brylantową klamrą... Niemcy osłupieli. Nic to, że była piękną, ale zdawała się majestatem postaci tronu godną... Siadła grać, cisza jak mak siał... Ja się na tém nie znam co grali, ano piękne było, i grzmot oklasków powstał taki, jakby się sala

walila. Nasza pani siedziała tak, żem ją doskonale widział... Spojrzała parę razy na córkę, to prawda, ale potem oczu nie spuściła z Bratanka... Po tym koncercie upłynęły dwa miesiące. Była pora wiosenna... Pani czegoś niedomagała, bo chciało się do wód jechać, rozumie się, z córką, i Bratanka miała zabrać z sobą. Od niejakiego czasu Czecha pilniej zacząłem postrzegać, bo mī się zmienił... Wprzódy wesoly, spoważniał, posmutniał, zbladł, chodził jak nieswój... Pauna się z niego wyśmiewała... Wyprosił się na kilka dni do Pragi i wrócił. W tydzień znowu oznajmił pani, że list odebrał od rodziny, i że starego ojca chorego odwiedzić musi. Nie chciała go puszczać... a no koniec końców, pożegnał się i obiecując powrót, pojechał. Nazajutrz potem, około południa słyszę w domu bieganie... Wchodzi do mnie pani sama, co nigdy się nie trafiało, palec na ustach, blada jak trup, oczy zaplakanne... drżąca i zamyka drzwi za sobą... Złakłem się okrutnie... Przybiegła do mnie i stłumionym głosem pyta: „Gdzie Olimpia?” Panienska z rana ze starszą służącą poszła była na przechadzkę... „Ja nie wiem, odpowiedziałem, pewnie już z powrotem.” — „Nie ma jēj! zawolala pani: służącej za sprawunkami kazala iść samėj do domu przed trzema godzinami... Trzeba szukać... trzeba...” — głosu jēj zabrakło. „Ale milczeć! milczeć! milczeć mi! Gdyby w piekle była, to ją z piekła wydobędę... Ani słowa do domu... aui słowa panu! rozumiesz?...” Jak oblakana pobiegła do domu i wróciła. „Gdyby kto spytał, powiesz, że panna chora, że jest tu, w swoim pokoju, rozumiesz! Konie! kazać mi konie podać! milczeć!” Mówila jak nieprzytomna; ja struchlałem. Wybiegłem za nią. Wpadła do pokoju panienki i zatrzasnęła

za sobą drzwi... Stałem w korytarzu nie wiedząc co począc, oglupiały... Słyszę w pokoju panny hurkot, jakby co padło... otwieram drzwi, pani siedzi w fotelu z listem jakimś w ręku omdlala... Na liście tylko poznałem pismo panienki. Nikogo nie chcąc wołać, otrzeźwilem sam. Obudziła się z płaczem, z rykiem stłumionym, powtarzając: „Ukałał mnie Bóg!” Począłem zaklinać i prosić, aby się uspokoiła. Jakoż rychło porwała się z krzesła, wołając o konie, a konie już dawno stały przed domem, i nakazując mi, abym pilnował pokoju panny, i żeby nikt o jej zniknięciu nie wiedział.. Co się ze mną nieszczęśliwym działo, żaden tego język nie wysłowi, żadne pióro nie opisze... Byłem się z sobą: czy panu dać znać, czy nie? Lecz coby to pomogło! Otworzyły mi się oczy na tę straszną tragedję, której dotąd nie rozumiałem... Matka kochała się w chłopcu... a on się kochał w córce, i córkę miała rywalką, a płochosć kobiety w istocie ukałał Bóg tém, że ją dziecka jedyne go pozbawił przez tego, któremu dom otworzyła niebacznie. Było południe, gdy pani odjechała... Nie wiedząc kiedy powróci i jak, obrachowałem, że lepiej będzie mówić, iż panna z matką w podróży są obie. Z tém stanąłem u drzwi na odwachu, udając spokojnego zupełnie i uśmiechniętego, choć mi się serce krajało... Dzień mi się stał wiekiem... Pani nie powracała. Odebrałem tylko przez posługacza kartkę z oznajmieniem, żebym mówił o wyjeździe obu i czekał na ich powrót... Drugiego dnia pani nie było, jam wysechł z gorączki i niepokoju... Czekałem dni dziesięć, dni dwanaście, dwa tygodnie. Już miałem list wysyłać do Zabrzezia, gdy wieczorem jednego dnia, słyszę szelest sukni na wschodach, dzwonek... otwieram

drzwi... Bład: jak trup wchodzi panna nasza... usta zaciśnięte, oczy rozognione. Spojrzała na mnie, nie widząc i nie zwracając głowy, i wprost poszła do swego pokoju... Usłyszałem drzwi zamykające się na klucz. Za nią szła matka, ledwie się mogąc na nogach utrzymać, i jakiś człowiek obey, coś nakosztalt policyanta po cywilnemu, do którego coś pani poszeptala i odprawila go... Panna leżała chora dni kilka... W tydzień obie wyjechały do Włoch. Pani mi oddala kartkę od pana, abym do domu powracal, i rzekla surowo: „Ani słowa! rozumiesz mnie? ani słowa!..”

Maciej zamilkł. Ks. wikary, który opowiadania sluchal z zajeciem nadzwyczajnem, pochyloay, ze lza w oku... spuścił glowe, zalamal rece i nie rzekl tez ani słowa... Siedzieli tak dluga chwile.

— Teraz rozumiesz mój ojciec, dodal stary, dla czego nasza panna piekna, milionowa, rozumna, jedynaczka, dotad za maz nie poszla... dla czego teraz, gdy nareszcie sklonila ja matka, ze dala slowo, slub sie juz trzeci pono dzien odklada... A biedny ojciec, który moze nie wie, który cierpi okrutnie, musi z usmiechem witac gości, przyjmowac powinszowania, udawac szczęśliwego i placic za wszystkich grzechy...

Promienie gorącego słońca zaczęły się wkradać pod lipy i na lawkę. Skwar był nie do zniesienia... Ks. wikary znowu ocierając pot z czoła, wstał, po-
dał rękę Maciejowi i westchnął...

— Prawda, rzekł, że to spowiedź... a nie wiesz, jak dobrze uczyniłeś, żeś mi dziś się z niej zwierzył. Przy ślubie mam mieć do państwa młodych zwyczajną przemowę... Byłbym niewczesnym może słowem dotknął boleśnie biedną kobietę... Dobrze się więc

stało, panie Macieju... Milczmy i miejmy nadzieję w miłosierdziu bożem, że się to wszystko na dobre obróci...

Maciej podnosząc oczy ku niebu, ręce złożył, i pożegnawszy wikarego, powlókł się z wolna ku palacowi..

Niedaleko od granicy Wielkopolski, zakordonowanej pod panowanie pruskie, jest mała wioseczka, której ogromny dwór казалby się domyslać wielkich włości, tymczasem folwark to i ubogi, i lichy, i bardzo obciążony. Należały do niego dwie wioski sąsiednie, od dawna już przeszłe w cudze ręce. Dziedzie ratując ostatki mienia i chcąc zostać przy jakiejś posiadłości, utrzymał się przy Wierchówku (tak się wioska zwała), choć i na tym jeszcze długi ciążyły. Majętność Wierchówek, w nieszczęśliwiejszych gruntach, odcięta od znaczniejszych dóbr, nabyta była za czasów Księstwa Warszawskiego, przez niejakiego p. Dobińskiego, który używany był do różnych misyj dyplomatycznych przez Napoleona i od niego nawet tytuł barona Cesarstwa Francuzkiego otrzymał... Dobiński z Dobna, herbu Wręby, byli starą, ubogą szlachtą rozrodzoną, której się nigdy nie śniło, by jeden z jej potomków ważniejszą jakąś odegrał rolę i prawie do ministeryału doszedł teki. Tak się przecie stało, gdy cesarz Napoleon, rządząc się jak w domu w posiadłościach księcia warszawskiego a króla saskiego, nieukontentowany z jednego z ministrów, chwilowo Dobińskiego mu narzucił za następcę tego, co na jego nielaskę miał nieszczęście zasłużyć. Dobiński w wielkich fa-

worach u cesarza, dosłużył się tak baronowstwa, dotacyi pieniężnej, Legii honorowej i pewnego stanowiska na świecie. Ale z upadkiem Napoleona, cała ta wielkość przysła. Dobiński z tytułem i z uciulaną fortunką, z krzyżami kilku, choć starał się znowu wejść w życie czynne i bardzo zrećźnie zalecać się umiał nowym potentatom, nigdy już pierwszego swego stanowiska odzyskać nie mógł. Jeździł i przesiadywał w Warszawie, był parę razy w Petersburgu, pilno się przypominał dawnym znajomym, szczególnie wojskowym, którzy w Królestwie pomieszczeni byli; nie doprowadziło go to jednak do niczego. Zbywano grzecznie pana barona, tak, że zgorzkniał i musiał na niewdzięczność ludzką wyrzekać. W istocie naówczas, gdy jeszcze w kancelaryi cesarskiej miał niepoślednie miejsce i wiele umiał a mógł robić, kłaniano mu się, ściskano go, wszyscy dla niego byli z poszanowaniem nadzwyczajnem; teraz zimna odstręczająca grzeczność spychała go w te otehlanie nicości, z których się wielkim wydobyl wysiłkiem. Na wszystkie tony śpiewając, z czulością dla przeszłości i z pogardą dla niej, ze współzuciem dla nowego rzeczy porządku, z wiernopoddanstwem dla dynastyi pacyfikatora Europy, nie mógł już pan Dobiński przyjść do urzędu, wkręcić się w szeregi czynne, i zgryziony musiał się na wieś usunąć. Pan Ferraryusz z Dobna baron Dobiński, któremu służył tytuł ministra ekscellencyi, za czasów gdy tak był szczęśliwie położony, iż mu się najwyższe przyśniewały zaszczyty, gdy król Murat, król westfalski, książęta, generałowie podawali mu rękę z uśmiechem uprzejmym, gdy w Księstwie zastępował ministra, poznał w Warszawie hrabiankę W., a że był pięknym mężczyzną i wyrobił się na

najczystszy wzór dyplomaty francuzkiego, potrafił się jćj podobać, zyskać zgodę familli, nakoniec ożenić. Było to małżeństwo nieszczęśliwe. Panna zawiodła się, rachując na świetną przyszłość; baron oszukał się, spodziewając wielkiego po nićj majątku; gorycze domowe struły życie obojga.. Zostawując jednego syna, baronowa rozstała się z tym światem. Syn Adam, wychowany był jak najstaranniej, po pańsku, po europejsku, nihy w myśli umieszczenia go kiedyś w jakićś dyplomacyi, bo ojciec tę tylko karyerę uważał za godną syna swego, a nieszczęściem na tę skalę, do którćj był nawykł baron, jaką mierzył przyszłość syna, przyszłość nie dozwoliła mu rachować. Majątek nie starczył na życie, bez którego czułby się nędzarzem, trzeba było robić długi, najmniejsza nadzieja nie zapowiadała lepszćj przyszłości, i baron dochowawszy się syna, *un homme très comme il faut*, odumarł go nie mając pociechy, by mógł właściwą zrobić karyerę. Zaszczepił mu tylko zasady swe, nader praktyczne, oparte na kilku bardzo prostych danych, nauczył go szanować siłę, milować to co korzystne, klaniać się nisko, nigdy możnym się nie sprzeciwiać, płynąć z wodą i wysługiwać się tym co płacą. Pan Adam, zastosowując umiejętnie ojcowskie nauki, chociaż mu nie zbywało na pewnych zdolnościach, na sprycie i krzyżach sprężystych, nigdy jednak jakoś wielkich celów żywota osiągnąć nie mógł. Dosłużył się wprowadzie tytułu radcy stanu, szambelaństwa, krzyżów, pensyjki, ale ani wziętości, ani szacunku, ani nawet wiary wielkićj nie pozyskał. Posługiwano się nim tam, gdzie inniby może niełatwo się użyć dali, po cichu... nagradzano skromnie, zapominano łatwo. Był tćm w wyższych sferach, co w teatrze

zowią *utilité*, do wszystkiego, a razem do nieczego wielkiego. Zbyt nie narzucanie się, chciwość, zabieganie, zbytnia może zrzeczność, a chętne podejmowanie się brudów, odstręczały od niego nawet tych, co ścierek potrzebują.

Ożenił się pan Adam z pięknego imienia panną, mierniej fortunki, ojcowskiego majątku utrzymać nie potrafił, i został z wielkim dworem na malć wioszczynie. Kwaśny, zły, niechętny, ale niezrażony ostatecznie, bo mu się zdawało, że syn, pełny zdolności młodzieniec, dziadowskie szczęście odziedziczy, zostanie dyplomata, bogato się ożeni i weisnie do arystokracji... Zdawało się też panu baronowi Dobińskiemu, że z Dobna Wrębowie Dobińscy pełne do tego mieli prawo. Pofabrykowali sobie nawet pasy kasztelanów z XIV w. i przerobili jednego biskupa na ilustracyę familijną... przez herb Wręby. Jakkolwiek majątek był szczupły, ale szlachectwo dobre, wspomnienie ministeryalnego tytułu, baronowstwo, hrabianka W., babka, matka niepośledniego rodu, już Dobińskich stawily na liście tych kandydatów, którym lada fawor fortuny może otworzyć wrota do świata uprzywilejowanego, pańskiego.

Choć ubogi, baron pozorom państwa wszystko poświęcał, z syna zrobił najczystszej wody panieczka. Wychowanie, podróże kosztowały go ogromnie, lecz Zygmunt, Zygmunt musiał pójść wysoko!.. Jakoż Zygmunt w istocie i powierzchownością, i talentami się odznaczał, ale głowa mu się zawróciła wcześniej. Nim się pracować nauczył, żyć umiał i długi robił jak stary. Niewyczerpany w środkach zrzecznych nabywania pieniędzy, w towarzystwach miły i wielce zastosować się umiejący, weisnął się łatwo do złotych młodzieży i rozpoczął karierę od salonów, w których

go wcale nieźle przyjmowano. Troskliwy ojciec nie spuszczał go z oka, czuwał i karmił temi zasady, jakie mu jego rodzice przekazali, dodając do nich wyrazistsze jeszcze komentarzysze. Wychowanie, obcowanie z ojcem, życie całe niepospolitym typem uczyniły p. Zygmunta Dobińskiego. Powierzehowność była tak pańska, że kelnerowie po gospodach tytułowali go nie już hrabią, ale księciem: wyglądał na udzielną książętko. Żyć już chciał i umiał, endzym prawie zawsze kosztem, po pańsku. Gusta miał arystokratyczne, a najpierwszym z nich było słodkie próżnowanie. Z wielką łatwością pojęcia, nauczył się tyle w szkołach i nieskończonym uniwersytecie, iż mu to aż nadto starczyło na świetne występowanie między ludźmi, resztę pochwytał, uporządkował, dowiecipem okrasiał i uchodzić mógł choćby za uczonego w potrzebie. Instynktowa znajomość ludzi i zręczność wielką dawały mu przewagę i dozwalały wywierać wpływ, a korzystać z niego. Egoizm ogladzony, obrachowany, mający pozory wielkiej szlachetności, kierował nim ciągle... Namiętnym był, ale namiętność nigdy go dalej nie zaprowadziła, niż chciał być popebnitym. Razem z tém, doskonale grał człowieka wielkich sentymentów... Wiedział on dobrze, iż na świecie z temi przyniotami, jakie miał, w końcu końców wybrnąć musi; śmiało więc szedł, drobne ofiary czyniąc, na pozór nicopatrzenie, dla głównego celu. Z ojcem godził się doskonale, chociaż ten mu jedno miał za złe, że święcąc wszystkich dla siebie, i ojca spokój także złożył na ofiarę przyszłości. Trzeba zań było ostatnim groszem płacić długi, dostarczać na życie nad skałę; lecz ojciec miał ambicję, sam już wyżej nad swe szambelaństwo dojść się nie spodziewał, zno-

sil więc chłodu wybryki syna, w nadziei, iż musi dojść wysoko. Z razu drogę obaj obrali urzędową, ojciec przez swe stosunki spodziewał się go popychać, w stolicy ludzie piękni i dobrze wychowani popłacają. Wkrótce jednak trzeba było zmienić plany. Zygmunt wprawdzie pozawiazywał z kilku podżylemi paniami stosunki serdeczne, ale te do niczego nie doprowadziły, oprócz bladości i choroby. Odżywszy nieco w podróży za granicą, zwrócił się do towarzystwa arystokratycznego we własnym kraju. Tu miał kilka szczęśliwych awanturek, ale do żadnej panny z wielkim imieniem i majątkiem nie dopuszczono go.

Już pierwsza świeżość młodości zaczynała go opuszczać, gdy ojen wypadła podróż do Wielkopolski, w której zetknął się ze starym znajomym panem radcą z Zabrzezia. Nie śmiemy utrzymywać, że mu ktoś wcześniej podszeptwał o tajemnicach domowych, o dwudziesto-dziewięcioletniej pannie na wydaniu, która dawała odkosze, o przyczynach tej mizantropii i t. p., dość, że się ściślejże zawiązały stosunki. Pan Zygmunt był na Wołyniu, próżne czyniąc starania o rękę bogatąj dziedziczki domu, który potrzebował z otehłani jakichś ciemności nieodgadniętych wyjść na widownię wielkiego świata. Znajdowano wszakże francuzkiego barona za małym jeszcze ptaszkiem dla panny o trzech kluczach i kapitałach. Zygmunt weale zakochany nie był, choć udawał oszalałego. Odebrawszy list od ojca, pomyślał i natychmiast wyjechał do Wierchówka...

Wierchówek z daleka weale pięknie wyglądał: na pozorach u panów Dobińskich nie zbywało. Ojciec Zygmunta, Adam, mała figurka, żwawa, fertyczna, wyprostowana, bardzo niby poważna, miał fizyogno-

mię ministeryalną, a wyraz i wzrok lisi. Z jednym synem tylko bywał otwarty i szczerzy, ale wydobywając z siebie rzeczy dosyć niepiękne, umiał je pomalowywać i tłómaczyć. W synu kochał rodzinę, miał ambicję. Uściskali się w ganku. Z razu mowy o niczym nie było. Po obiedzie szambelan wyprowadził syna do ogrodu, usiedli na ławce. Zygmunt doskonale dobył cygara i jednym z nich przysłużył się ojcu.

— Żądałem twojego powrotu, odezwał się szambelan: mam coś napiętego dla ciebie... Ale najprzód, kochany Zygmuncie, powiedzić ci muszę: powinniśmy się pozbyć wszelkich głupich przesądów. Co dziad zaczął, ty powinienesz dokonać. Szlachecką naszą rodzinę starą trzeba wprowadzić w świat arystokratyczny. Dotąd staliśmy w progu, nie mogąc go przestąpić nigdy, lub wpuszczani tylko na chwilę, z wizytą. Mamy prawa, a ty masz środki... Dziad i ojciec rozpoczęli, ty powinienesz dokończyć. Musisz być bogatym, bo bez majątku nie ma arystokracji. Imię jest narzędziem, a pieniądz parą, co je porusza... Z baronowstwem dziada, z koligacyami babki i matki już możesz stanąć w szeregu panów, ale majątek pański nieć jest koniecznością.

— A ja mam tylko pańskie długi! rozśmiał się Zygmunt.

— Niestety! ja najlepiej wiem o tém, westchnął ojciec. Arystokracja nieustannie tworzy się nowa, a bezsilne latorośle i zestarzałe gałęzie odpadają. Rozumni protoplaści umieli się dostać, zasiać i miejsce zdobyte obronić. Tak ze szlachty wyszli choćby nawet Lubomirscy i Potoccy... nie mówiąc o najświeższym przykładzie Poniatowskich, bo ci wyleźli ze

szlachty i padli. Nie umieli sobie dać rady, choć król był spokrewniony z Zamojskimi, Lubomirskimi, Mniszechami, a nawet z Potockimi. Tobie trzeba się tylko bogato ożenić...

— Zupełnie do tego jestem przygotowany, odrzekł Zygmunt.

— *A tout prix!* dodał ojciec znacząco, odkaszlnął i spojrzał na syna.

— Co to ma znaczyć? spytał Zygmunt, puszcżając dym z cygara: starą wdowę, rozwódkę nieosobliwszej reputacyi, czy bardzo brzydką i kaleką pannę?..

Ojciec milczał chwilę i pocierał włosy.

— Nie zgadłeś, odezwał się po namyśle: żaden z tych wypadków... Ale najprzód słowo honoru, Zyg-muncie, że to co powiem, zostanie absolutnie między nami.

Syn głową dał znak obojętnego przyzwolenia.

— Jaki majątek? zapytał najprzód.

— Jedyńaczka, majątek wynosi kilka milionów, ojciec dobry gospodarz, człowiek rządny, matka roz-rzutna i lubiąca się bawić... roztrzepana.

— Bardzo? zapytał Zygmunt.

— Dosyć, dosyć, lubi młodzież... Jój względy, rzekł szambelan z pewnym przyciskiem znaczącym, pozyskać możesz łatwo i powinieś.

— Więc to matka stanowi kalestwo?... podchwycił syn...

— No, i tak, i nie, począł szambelan. Jest pono coś więcej, ale o tém mało kto wie... największa tajemnica. Dla ciebie, mój Zyg-muncie, który masz rozum i spodzie-wam się, pozbyłeś się przesądów, z góry wiadomém być musi to, co dla drugih jest zakryte. Pan-

na miała romans z nauczycielem muzyki, i przez kilkanaście dni, niekiedy z nim... bawiła, póki jej matka nie odebrała.

Spojrzał mówiąc to na syna. Zygmunt słuchał spokojnie.

— Kiedy o tém wiesz, musi to nie być tajne i innym? rzekł sucho.

— Jest gawęda... dowodów nie ma... możesz to nazwać potwarzą. Stało się za granicą, nigdy nie było głośnóm... panna jest wychowana starannie, piękna bardzo, powiedziałbym, prawie nadto piękna... rozumna, śmiała... Zdaje się, że w sereu nosi dotąd swego jegomości, za męża iść nie chce... Książę M., starał się o nią, hr. N., i F., i D.

— Więc to nie przyjdzie łatwo... choć na téj brzoskwini jest plamka...

— Plamka się zmywa... to głupstwo, dodał ojciec. Staranie nie będzie zapewne bardzo łatwém, bo i pannę, i matkę trzeba zdobywać; ojca ja po części biorę na siebie... Co mówisz o tém?

— Chciałbym, po namyśle odezwał się syn, widzieć gdzie wprzód osoby, o których mowa, żywe... *en chair et os*. W takich razach opis nie starczy, oczy jedne usłużyć mogą... Porwać się i pójść z kwitkiem nie chcę... byłbym skompromitowany. Jeśli przedsiębiorę, to *à bon escient*.

Wstawszy z ławki, szambelan zaczął się przecha-dzać po altanie.

— Rodzina, dodał powoli, co się nazywa znakomita, Radziwillowie w rodzie, cała Polska pańska i magnacka w kolligacyi. Będiesz mógł mówić: *Ma tante le princesse, mon cousin le roi...* i t. p... To coś znaczy... Majątek kołosalny... Matka już pod-

starzała stracić wiele nie może... a ojciec stoi na straży...

— Ale panna?

— Poszedłszy za mąż, zapomni owego jegomości, jeżeli o nim jeszcze pamięta. Masz dosyć taktu, aby się nie lękać tego, co we krwi mogła dostać po matce... Zresztą, mój drogi, gdzie się tak wielkie dokonywają sprawy, gdzie idzie o stanowisko imienia i rodu, o wpisanie się *dans le livre d'or* arystokracji europejskiej, można coś poświęcić.

Spojrzał na syna, ten zamyślony milezał, paląc cygaro.

— Nic ma co zwlekać, dodał ojciec, może nas kto uprzedzić.

— Imię rodziny? zapytał syn.

Ojciec zbliżył się do ucha i szepnął nazwisko panna radcy z Zabrzezia. Brzmiało ono wspomnieniami kilkusetletniami i zrobiło wrażenie na Zygmuncie.

— Koniec końców, odezwał się z głębokiém westchnieniem: trzeba psu oczy sprzedać, jednakże...

— A ileż się one razy sprzedają za daleko tańszą stawkę? podchwycił ironicznie szambelan. Demokraci, którzy sami nie są lepsi, mogą sobie halasować, plwać, gadać co im się podoba, co nam to szkodzi? Najprzód nikt im nie uwierzy, bo wiadomo, że szkalują *nas* systematycznie; powtóre, nie żyjemy z nimi, siły nie mają, z wrzaskiem się obyliśmy... mniejsza o to...

— Historya panny jest więc dosyć głośna?

— Nic a nic, ledwie coś, gdzieś, może ktoś się domyślił i szepnął... Wycieczka owa z muzykiem była doskonale zatarta przez matkę, która podobno sama z nim jeszcze romansik mieć życzyła... Ludzie

więcej dochodzą niż wiedzą, więcej przeczuwają niż są pewni... Dla ciebie tylko nie chciałem, ażeby rzecz była tajną. Cóż ci to szkodzi, że się ożenisz z wdową?

— Umarł? zawolał Zygmunt.

— Kto? zdziwiony zapytał ojciec odwracając się.

— A muzyk?...

Uśmiech przebiegł po ustach szambelana, który w istocie nie wiedział czy żył, czy umarł, ale dla zaspokojenia Zygmunta, pośpieszył potwierdzić:

— Umarł! umarł! i pochowany dawno! Cóż myślisz o tém?

— Ja, poważnie począł Zygmunt, ja... nie mam nic przeciw temu. Nie chciałbym tylko pójść z kwitkiem.

Ojciec począł go ścisnąć namiętnie.

— Ale to całkiem od ciebie zależy! odezwał się wesolo. Przyznam ci się, że gdyby tak inny, nie ty, zamierzał się z nią ożenić, możebym się obawiał; lecz o ciebie jestem zupełnie spokojny! Cieszy mnie niewymownie, że w zasadzie przyjmujesz mój projekt. Trzeba mieć rozum!

— Tak, rozum! ten, jakim Trębecki uczcił słówko hetmana do podskarbiego! (*Ma pan rozum! Trębeckiego wiersz.*)

— Trzeba mieć rozum, nie przerywając sobie mówił szambelan. Kto chce żyć i do czego dojść, musi być człowiekiem praktycznym. Słowa, idee, przesadzane pojęcia honoru, są dobre dla tych, którzy mogą się sobie niemi bawić lub gotowi dla nich głodem mrzeć. *La vie est une chose très positive.*

— *Vous prêchez un converti!* odezwał się Zygmunt wstając z ławki. Najzupełniej podzielam zdanie ojca: podstawy materyalne życia. warunki bytu,

to najpierwsza rzecz. Są ludzie, co inaczej mówią, mało jest takich, co by inaczej robili. *J'ai le courage de mon opinion.*

— I dla tego ja spokojnie umrę, w zachwyceciu ściskając syna dokończył ojciec: bo wiem, że ty się zdeptać nie dasz... i wybijesz się—powinieneś... masz po temu wszelkie wymagane przymioty! Nastęrczamu ci pole popisu; idź, zobacz i zwycięż!...

— Jeżeli pójdę w istocie, to zwyciężyć muszę.. rzekł syn.

— Tak, choćby ci przyszło nawet najprzód samą matkę bałamucić i zbałamucić.

Rozśmieli się obaj... Ojciec uszczęśliwiony jeszcze raz z serdecznością niewymowną uściskał Zygmunta.

— Poczciwe, dobre, kochane dziecko! zawołał w zapale. Nie ma się tu co namyslać. Wypocznij dzień, opatrz garderobę, ustrój się na wyprawę... i jedźmy.

Po tej naradzie, w dni kilka w istocie ruszył pan Zygmunt sam. W okolicy miał on znajomego hrabiego Justa, z którym razem w klubie strzeleckim grali i dawali wieczorki baletniczkom. Just, chociaż znacznie majątniejszy od Zygmunta, bo miał obszerne dobra i nadzieje na ciotkach, bratersko się z nim przyjaźnił. Był to jeszcze niewyszumiały młodzieniec, który potrzebował Mentora do rozpusty, a Zygmunt najlepszy w tym względzie był dla młodzieży; pokochali się bardzo, tak bardzo, że hrabia Just pożyczył półtora tysiąca talarów przyjacielowi... Rok upłynął od tego czasu, odwiedziny były doskonale nmotywowane tém, że Zygmunt osobiście chciał przeprosić za to, że pieniędzy nie miał i oddać ich nie mógł; w istocie zaś podróż była przedsięwzięta na

wzwiady. Los w tym razie doskonale usłużył Zygmuntowi, bo Zabrzezie od Muranowa, rezydencyi hr. Justa, było o milę, majątki się stykały...

I to za wielkie szczęście poczytać można, iż zastał w domu gospodarza, który nigdy nie siedział tu, a wróciwszy z jednej podróży, natychmiast w drugą się wybierał.

Just nie posiadał się z radości. Trzy dni przesiadziawszy w Muranowie, nudził się śmiertelnie. Powitał w ganku przybyłego, mało go nie udusiwszy przez wdzięczność. Dwa dni nie było mowy o niczem, tylko o rzeczach potocznych. Just powracał właśnie z Baden, gdzie paryżka Żydóweczka Nella opanowała go była na dwa tygodnie; odbił mu ją Anglik i wywiózł z sobą do Egiptu. Just nie mógł się jęć odżalować... Mówił o niej bezprześcannie... Trzeciego dnia przy obiedzie zgadło się o sąsiedztwie... Licząc swych najbliższych, hr. Just wymienił Zabrzezie.

Zygmunt udał, że nazwisko pierwszy raz w życiu usłyszał.

— Dom pański, rzekł gospodarz, stary radca człowiek stateczny i dyabelnie zasobny... Majątek ogromny... Mama lubila figłować, ale to już przechodzi... Za chwilę wybije godzina dewocyi, fundowania bractw i słuchania nabożeństw. Jeszcze to nie nadeszło, ale już są oznaki przygotowawcze... Córka piękna jak anioł.. ale dziwaczka... Miała pretendentów bardzo majątnych i dobrze wychowanych, a za męża iść nie chce. Jest w tém jakaś tajemnica.

— Cóż to być może? podchwycił Zygmunt: tajemnice panien zwykle są całemu światu wiadome...

— Ja nie wiem... wahając się szepnął Just.

— Jak to, nie a nie? badał śmiejąc się z doskonale odegraną obojętnością Zygmunt.

— A no... nie, bo... przyznam ci się, że znowu plotkom głupim wierzyć nie mogę.

— A te plotki?

— Nie ma w nich sensu! zamknął Just: *c'est bête!*
Po chwili sam ciągnął niepytany:

— To pewna, że panna ma lat dwadzieścia kilka, do trzydziestu... że daje harbuzy wszystkim... że zresztą oprócz tego dziwactwa, nie jój zarzucić niemożna, bo i piękna, i rozumna... i dowcipna...

— Zaostrzasz moją ciekawość! rzekł Zygmunt.

— A ba! jeśliś ciekawy, to pojedziemy. Goście są tam pożądani, szczególniejszej samiej pani, która się bieli, różuje, smaruje nawet na dni powszednie i radaby snadź płodami kunsztu przed młodemi oczyma się pochwalić.

Nazajutrz wybierając pomiędzy polowaniem a wizytą, nieznacznie ku temu podlegnięty, hr. Just kazał zaprządz i pojechali do Zabrzezia.

Pańska co się zowie i na najwyższym stopniu elegancyi rezydencya, uczyniła wielkie na Zygmuncie wrażenie. W duchu powiedział sobie, jak Henryk IV, że nabycie takiego wspaniałego pałacu warto pewnej ofiary. Znał dobrze ludzi, wiedział zatém, że tylko ubogich grzechy są nieprzebaczone; majątni na złotych szatach bezkarnie płamy noszą. Im wszystko wolno, są to przywileje stann...

Z wielką uwagą przypatrywał się panu radcy. Był to człowiek niestary jeszcze, a przynajmniej zachowany tak, że się wcale starym nie wydawał, pięknej postawy, twarzy świeżej, oka jasnego, czoła podniosłego, w obejściu uprzejmy, ale szczerze w sobie

zamknięty... Miał w sobie coś żołnierza i coś dyplomaty i wiele pana z antenatów; ostatnim był w istocie, a pierwsze dwie cechy nadała mu cicha walka z losem i utrapienie z żoną. Nie było po nim wcale znać nieszczęśliwego w pożyciu: dla pani był jak najczulszym. Z wielkim taktem przyjął i bawił młodych gości.

Sama pani wyszła nierychło, gdyż musiała stosowniej dokończyć toalety, a może czekała, aby się odrobineczkę zmierzchać zaczęło. Z dała wydawała się jeszcze wcale piękną, chociaż wiek wypełnił formy do zbytku. Głowa była znakomicie wymodelowana, rączki wzorowych kształtów, oko czarne błyskało jeszcze ogniem i dowcipem.—Wprawdzie zmarszczki, choć powyciągane, zarysowały się około powiek i ust, ale o zmroku nikły prawie niedostrzeżone. Zygmunta zmierzyla oczyma ciekawemi, i widać było, że na niej uczynił dobre wrażenie. Może miał nieco podobieństwa do owego Bratanka.

Gdy hr. Just zagadywał o sprawach krajowych, obywatelskich i gospodarskich z panem radcą, Zygmunt z całym fajerwerkiem wiadomości, dowcipów, plotek, nowości i nowinek popisywał się przed panią. Był niesłychanie wesół i odegrał do końca rolę człowieka, któremu gospodyni niezmiennie przypadała do temperamentu, smaku i humoru. W pół godziny nawet oświadczył jej po cichu, iż rzadko tak miłą znajdował na wsi rozmowę. To pochlebstwo i kilka wyrazistych wejrzeń dopomogły do porozumienia się. Pani była zachwycona tym gościem.

Panna Olimpia, domyślając się jakiegoś nowego myśliciela, polującego na jej posag, nie wyszła. Zygmunt był tak przewrotny, iż nie okazał najmniejszego znaku, że go to obeszło.

W końcu rozmowy, gdy się coś zgadalo o nim, o jego projektach, napłótl najdziwniejszych rzeczy o swych przyszłych podróżach i dal do zrozumienia, iż nierychło się tu znowu pokazać może.

Tym sposobem pierwszy rzut oka na dom zyskawszy, nie kompromitując się wcale, nabral przekona-
nia, że się tu da coś zrobić, postępując z taktem a ostrożnie. Pozostał kilka dni u hr. Justa, i równie chodząc zręcznie okolo niego jak w innych wypadkach, naprowadził go na to, że mu folwark wypuścił dzierżawą. Zygmunt łaskę niby robił Justowi biorąc go, i niby najmniejszego nie miał zamiaru, i niby dał się umodlić. Dokonawszy tego, pojechał do ojca. Ten niecierpliwie nań oczekiwał, przysposobiwszy się do zaciągnięcia długu, jeśliby syn konkury chciał rozpocząć. Po herbacie rozmówili się otwarcie.

— Widzi kochany ojciec, ja, ja muszę postępować z całą rozważą i obrachowaniem, rzekł Zygmunt. Z tego, co wiem o ludziach i domu, przypuszczenie gwałtownego szturmu, zwykle formy konkurów na nieby się tu nie zdały. Tu trzeba iść powoli, z ukosa, nie okazując dokąd się idzie... zniewolić do tego, aby oni sami poddali myśl starania się... Trzeba ująć ojca wielkim taktem i prawością, matkę zdobyć prawie czułością i śmiechem, umizgiem i zabawą... Co się tycze córki, téj, zdaje mi się, okazać należy, iż może być pewną swobody i poszanowania... I tam dalej, i tam dalej. Dla tego, dodał Zygmunt, nie występuję wcale jako starający się kawaler: jestem sobie dzierżawca, przyjaciel od serca hr. Justa,—przeniosłem się do Księztwa dla tego, że mi w Królestwie było duszno... o tém mówi się niewyraźnie, tajemniczo, dając wiele do myślenia. W dzierżawie

trzeba się urządzić jak na popasie, ale po pańsku i z wielkim gustem, kucharz i piwnica muszą być doskonale, konie znakomite... służba... Francuz albo Anglik... Nie mogę być dzierżawcą zwykłym, jakim malkontentem szukającym spokoju... Ojciec mnie zrozumie... Potém nudzę się, bywam z rzadka, bardzo rzadko, nawet u radcowstwa... Pani mnie sama musi zniewolić do częstszych odwiedzin i zapraszać. Panna, gdyby była świętą, nie oprze się ciekawości widzenia mnie przynajmniej. Będę zimny, obojętny i zajęty — matką. Matki laski zaskarbię... Cóрка... ha!... Zobaczywszy ją, znajdę środki podobania się... zresztą, na wpływ ojca i matki rachuję... A propos! herbowne guzy i blachy... papa dostarczy, nawet taśmy dla lokajów, taśmy z herbami... są *très comme il faut*...

Ojciec słuchając, o mało się nie rozplakał; niemy uścisk nagrodził rozsądnego syna.

— Zygmuncie! tobie dyplomatą było trzeba zostać, tybyś Talleyrand'a w kąć zapędził... Słowo daję! Co za takt! jakie obrachowanie, zimna krew w twoim wieku. Przeszedłeś moje oczekiwania... Nie cofajże się! zawołał z uniesieniem. Co cię obchodzi przeszłość panny, o której nikt nie wie! Daj jej do zrozumienia, że jesteś zwolennikiem emancypacji i zupełnej swobody kobiet, że krępować jej w niczem nie będziesz. To głupstwo!

Zygmunt podparty na łokciu, patrzył na ojca z uśmiechem prawie protektorskim... Szambelan czuł, że w dziecięciu znalazł mistrza, który go przeszedł o wiele.

— Teraz tylko jedna rzecz, kochany ojcze! rzekł Zygmunt, dawszy mu się zupełnie wygadać aż do

niedorzeczności. Gramy obaj, ażeby grubo wygrać, bez stawki tu nie będzie: musisz kochany ojeze dostarczyć pieniędzy... Położenie moje wymaga nieodzownie pewnej *mise en scene*, hr. Justowi muszę dług zapłacić, wyekwipowanie się, dzierżawa i t. p. kosztują sporo...

Szambelan potarł się po czuprynie, lecz nie protestował, konieczność pieniężna była oczywistą. Biedak jednak stracił tak kredyt zarywaniem wsząd i nieregularnością w wypłatach, że Żydzi nawet nie chcieli mu pożyczać. Na ten raz osnuł wszakże plan, i nawet napisał brulion listu do bardzo bogatego brata żony nieboszczki, wystawiając mu, że los rodziny od jego pomocy zawisł... Zygmunt miał dołożyć z właściwą sobie zręcznością wystylizowane pismo do wuja... Na tém opierała się cała kombinacya, wszystkie nadzieje. Gdyby te jednak chybiły, szambelan miał tajemny zamiar udania się do źródła bardzo wysoko położonego...

Nazajutrz wyprowadzono rekomendowany list do wuja, domagając się jakiegokolwiek, ale stanowczego i prędkiej odpowiedzi... Z każdą pocztą przychodzącą rosła niecierpliwość. Zygmunt był milczący... Szambelan pakował się już w drogę do stolicy... Naostatek wuj odpisał, jak był zwykł, gdy go napastowano o pieniądze, co się nie po raz pierwszy trafiło.. Krótko a węzłowato oświadczył, że ten ostatni raz chce jeszcze przyjść w pomoc ojcu i Zygmuntowi, lecz zapowiada stanowczo, że ten raz jest nieodwołalnie ostatnim, i że na listy następne, gdyby miał być niemi obarczany, nawet odpowiadać nie będzie.

Ton tego pisma był obrażający, ale dołączony do niego weksel na dom bankierski w Warszawie prze-

chodził wszelkie nadzieje... Zygmunt ledwie oczom wierzył. Skąpiec dał sześć tysięcy rubli, ażeby się raz pozbyć natrętów. Szambelan miał wielką ochotę coś z tego dla siebie urwać, ale syn stanowczo oświadczył, że nie da złamanego szeląga, i że to będzie zaledwie wystarczającym na tę wyprawę po złote runo.

W ten sposób złożyło się wszystko bardzo łatwo i dobrze... Zygmunt pojechał do Warszawy a że sam miał wielu wierzących, podjął summe cichuteńko przegrał w klubie nie więcej nad tysiąc rubli i wrócił na wieś. Nie widział się nawet z tą nieszczęśliwą panną Adela, która bodaj czy nie była jego pierwszą i ostatnią miłością. Dalbyśmy całę fałszywe wyobrażenie o niej, mówiąc tylko, że była ozdobą warszawskiego baletu. Zręczne jęj nóżki były niezem w porównaniu do główki, języka, sprytu i szyku. W Paryżu panna Adela zrobiłaby była fortunę kolosalną, w Warszawie o mało nie wyszła za bogatego Ormianina, a zakochawszy się w Zygmuncie, biedaczka i sobie, i jemu wiele strat i kłopotów ściągnęła. Tak bowiem było... tak! jakkolwiek rzecz się zdaje nieprawdopodobną: panna Adela kochała się najprzód w Zygmuncie, potem on się w nią kochał, potem przez czas krótki kochali się oboje... a naostatek rozstać się musieli... Panna Adela sama się zrujnowała tą miłością, kosztowała wiele Zygmunta i musiała uledez matce, która w imię rozsądku, starości i zdrowej rachuby skłoniła ją do przejścia na stronę Armenii.

Miłość panny Adeli dla Zygmunta była niezmiernie głośną w rocznikach teatralnych, wiedzieli o niej wszyscy, cytowano ją jako rzadki kwiat wystrzelony

na śmieciisku... Zygmunt zyskał niezmiernie w oczach kobiet wielkiego świata, powzięto o nim wyobrażenie bardzo pochlebne, bo umiał rozniecić ogień, gdzie zwykle panują chłody. Winien był nawet temu kilka wielce pochlebnych stosunków w salonach i stanowisko znakomitego seduktora. Potrafił się otrząść potem zupełnie ze swój namiętności do pauny Adeli, ona zaś, jak powiadają, nigdy o nim zapomnieć nie potrafiła... Są cuda, o których się psychologom nie śniło. Wróciwszy do Wierchówka, Zygmunt nie przyznał się przed ojcem do przegranego w klubie tysiąca, wymógł wszakże na nim dodatkową sumkę, gdyż znajdował, że nigdy nadto pieniędzy w takich wypadkach mieć niemożna. Z bijącym sercem, z patryarchalném błogosławieństwem wyprawił go ojciec z domu, zaręczając, że gdy będzie powołany do Zabrzezia, stawić się z gwiazdą swoją i orderami nie omieszką.

Objąwszy dzierżawę, pan Zygmunt urządził się wedle pierwotnego swego planu na stopę pańską, człowieka, któremu o grosz nietrudno, i który do niego zbytniej nie przywiązuje wagi. Hr. Justa zastawszy, ujął go sobie jeszcze bardziej... Do Zabrzezia się nie śpieszył. Dozwolił, aby tam wprzód dochodziły różnemi drogami wiadomości o jego dworze, koniach, domu, zajęciach, rozbudzając ciekawość.

Czuł, że okazanie zbytniej skwapliwości musiałoby mu zaszkodzić. Nadzwyczaj zręcznie przygotowywał wprzód grunt i uprawiał go pod zasiew. Dopiero gdy godzina stanowcza wybila, gdy pani radeczyni sama kazala mu powiedzieć, że się go spodziewa, wyruszył ekwipażem jak z igły, końmi przepysznyemi, z groomem eleganckim jak laleczka. Nie brakło nie

do uczynienia wrażenia, iż był człowiekiem, z francuzka mówiąc, najlepszego świata.

Powitano go bardzo mile. Sam radca uprzejmy dla wszystkich, przy pierwszych już odwiedzinach bacznie rozpatrując się w młodzieńcu, na którego miał podejrzenie (jak i na innych), że się starać może o Olimpię, uderzony był jego rozsądkiem, wytrawnością i tonem doskonałym.

Prawda każe przyznać, iż Zygmunt jak dobry wirtuoz, grał zawsze z takiego tonu, jakiego mu było potrzeba, i doskonale się od razn do pana radcy dostroił... Zupełnie w innym tonie przedstawił się on pani radczyni, która nim była zachwyconą, wyznał jój bowiem, że miał ten szczególny gust, iż dojrzalsze kobiety przenosił nad młode, że dla niego *une femme de quarante ans* była ideałem. A że pani nie przyznawała się do więcej nad czterdzieści, wzięła to do siebie. Tak dawno biedna nic podobnego nie słyszała!

Zgodne pochwały ojca i matki, to *unisono* prawie niesłyszane, uczyniło wrażenie na pannie Olimpii, ciekawa była poznać człowieka, który potrafił się razem jój ojcu i matce podobać.

Odwiedziny przypadły w godzinach poobiednich. Konie z całą paradą zostały przed gankiem pałacowym. Nierychło, ale z pośpiechem wyszła sama pani, tym razem mając z sobą córkę.

Trudno opisać Olimpię. Nawet pan Zygmunt, który widział tyle, przeżył i był pewien, że mu już wszystkie niemal typy niewieście doskonale są znane, z podziwieniem znalazł w niej nowy... Uderzyła go najprzód piękność, wzrost, kibić, kształty, majestat chodu, dumna osada głowy, jakby do dźwigania korony

przeznaczonój, wyraz tragiczny czarnych oczu nieulekłych, które z żadnem wejściem spotkać się nie baly i nie cofnęły przed żadnem badaniem, śliczne maleńkie usta niemal ze wzgardą podniesione nieco, ale nadewszystko wyraz całej postaci i fizyognomii, Było w niej coś z tragedyi greckiej, przypomniala mu Rachełę na teatrze francuzkim, Ifigenię, Medecę... Nawet nieświadomy jęj tajemniczej historyi, mógł ją, nietajoną, wyczytać z wyrazu tęg pięknej a dziwnie smutnej twarzy... Zygmunt całę czego innego się spodziewał, a znalazł potęgę, w obec której prawie zwątpił o sobie. Widział teraz dobrze, że tu, aby zwyciężyć, trzeba się było poddać na łaskę i nielaskę... Zwątpił też, czy się podobać potrafi, czy do tego tonu nastroi się tak, aby nie był znowu dyssonansem dla matki i ojea.

Kwestya starania się o pannę wydala mu się zawilszą, niżeli ją sądził z razu. Lecz nie rozpaczal. Przyszłość tylko czarną i chmurną się przedstawiała. Nie była to kobieta płocha, zalotna, ani npokorzona grzesznica, lecz niewiasta czująca swą godność, swe prawa i nieugięta pod ciosami losu.

W czarnej sukni, z białemi tylko mankietkami i kołnierzykiem, ubrana z prostotą prawie przesadną, Olimpia była przecięż tak wielką panią, że Zygmunt doskonały aktor, ezul się przy niej mało co lepszym od lokaja.

Ponieważ całę towarzystwo skupiło się przy jednym stoliku, i Zygmunt nie mógł specyalnie do nikogo się zalecać, ograniczył się chłodnym dowcipem i wielkiem umiarkowaniem. Nie przeszkadzało mu to popisać się zręcznie z wielkimi stosunkami w świecie, ze znajomością obcych krajów, z literac-

kiem wykształceniem, z miłością sztuki i z nader wybitnemi zasadami zachowawczemi, które w każdym palacu naturalnie najlepsze znajdują przyjęcie.

Odwiedziny były krótkie, strzegł się bardzo w nich spłoszyć pannę natarczywością swą, owszem znajdował się obojętnie; kilka tylko razy oczyma strześlił, nadając im ekspresyję zdumioną i pytającą. Wzrok ten wszakże odbił się od panny Olimpii jak od porfirowej bryły. Nie chciała go ani zrozumieć, ani nań zwrócić uwagi.

Taki był początek, a raczej wstęp do konkurów, niezdający się nie rokować. Dalszy ciąg z niezmierną sztuką był obrachowany. Zygmunt bywał bardzo rzadko; najpodejrzliwszy człowiek nie mógł go posądzić o jakieś zamysły matrymonialne. Przed matką wyznawał, że śpieszyć się z tém i nie może, i nie chce, dopóki by czegoś nie znalazł ze wszech miar odpowiedniego. Tymczasem szczegółniej przywiązał się do matki... Niewiele potrzeba było, aby ją zająć, obudzić najżywsze uczucia i podbić zupełnie. Pani radezyni z zachwytem mówiła o nowym sąsiedzie. Radea wstrzemięźliwszy w pochwałach, oddawał mną sprawiedliwość. Panna mileżała... Ciągnęło się to tak długo, że Zygmunt w domu zupełnie się sponfalil, i jako dobry sąsiad bez ceremonii był każdego czasu przyjmowany. Pożyczał książki, posyłał dzienniki, których sam prawie nie czytał, robił małe przysługi. Panna Olimpia przekonała się, jak się zdaje, iż to nie był konkurent, i śmielszą się stała z nim. Spotykając się coraz częściej, prowadzili najrozmaitsze rozmowy... i niebardzo godzili się z sobą. Zygmunt był w tém położeniu, że choć chciał potakiwać jej, nie mógł, przyznawszy się wprzód głośno do pewnych

myśli, wręcz gloszonym przez nią przeciwnych. Modyfikował je wprawdzie i ścierał z nich kanty ostre, ale się to na niewiele przydało.

W charakterze Olimpii było zresztą to, że chętniej występowała zawsze z opozycją niż zgodą. Nawet gdy pozornie na jedno się godzili, wymykała się, posuwając dalej niż Zygmunt, aby na jednej z nią linii nie stanął. Matka, której ten miły, kochany baron stał się bożyszczem, umiała tak kierować towarzystwem, gdy przybywał, aby z nim być jak najwięcej na nboczu... Zygmunt zdawał się jej do tego dopomagać, przyjaźń zawiązała się serdeczna, gorąca do zbytku ze strony pani, nadskakująca z jego.

Radca patrzył na to okiem człowieka, który rad jest bardzo, że mu ktoś żonę bawi i rozwesela. Olimpia patrzała obojętnie z wysokości na przybysza...

Żadne ludzkie oko postępu i rozwoju tych stosunków dobrze wysledzić nie mogło... Zygmunt zachował w nich tak powolne stopniowanie, iż poufałość, do jakiej doszedł, nie razila... W całym też domu co żyło, oprócz starego gracyalisty Macieja, chmurno nań spoglądającego, było njęte, przekupione, zyskane grzecznością, datkiem, uprzejmością jakąś lub niezbadanemi środkami... Sieci zarzucał rybak z dala, cicho, ale tak, aby mu się nie wymknąć nie mogło z saku.

W końcu pierwszego roku dzierżawy — trwało to niemniej nad rok — doszedł do tego, iż pani zaszczona utraceniem takiego przyjaciela ostatniego, pierwszy raz podsunęła mu sama myśl starania się o Olimpię.

Zygmunt zakrzyknął:

— Ja? o pannę Olimpię?.. ale to rzecz niemożliwa! Sama pani to wiesz najlepiej...

— A ja panu powiadam, ściskając dłoń jego szepnęła matka: że jeśli mnie będziesz słuchał, jeśli od niej nie będziesz wymagał za wiele w pierwszej chwili, ja ją potrafię skłonić... Staraj się pozyskać mojego męża, bądź dla niej uprzejmy, zbliż się... chciej... ja mówię, że będzie twoją...

Po pierwszych tych wynurzeniach, rozpoczęło się dopiero staranie, do którego radczyni dołożyła ze swjej strony największą troskliwość i zręczną rachubę. Olimpia zbyła pierwszą insynuację matki milczeniem, potem przyszło do otwartej rozmowy, do przekonywania, do sporów i do nieustannych nalegań... Radczyni też poddała najprzód mężowi myśl tę, iż nieźleby było mieć dla Olimpii takiego zięcia jak Zygmunt. Rada od dawna bardzo, widząc smutek i zgadując cierpienia córki, licząc jej lata, pragnął niezmiernie wydać ją za mąż. Odmówiła tylu, iż zgodziłby się być na każdego, mniej więcej przyzwoitego człowieka. Gdy żona mu powiedziała, iż spodziewa się córkę skłonić do tego zamełcia, chwycił się projektu oburącz. Zygmunt przez ten rok zachowywał się tak, iż nic mu zarzucić nie było można. Gospodarstwo nawet okazało się dobrém i wielce praktyczném. W sąsiedztwie miał tylko przyjaciół. Ojciec, trapiiony postrachem starego panieństwa córki, bądź co bądź wydać już ją pragnął. Jej smutek, milczenie, dojrzałość przedwczesna, zobojetnienie na wszystko przerażały go. Obawiał się melancholii, choroby...

— Jeśli to jest rzecz możliwa, odpowiedział żonie, jeśli Olimpia przystanie na to, ja się zgadzam. Miełszy go czas poznać lepiej, niżeli się zwykle stara-

rających zna... człowiek bardzo zręczny, miły i przyzwyczajony... Ojciec wprawdzie nienajlepszej używa reputacji, ale trudno wszystko mieć razem...

Najdziwniejszym w tém było, że panna nie sprzeciwiała się z raz. Uwiodło to matkę i uczyniło jej nadzieję, że związek latwiej skojarzy, niż się później okazało... Olimpia badała narzeczonego jej męża i zdawała się czuć ku niemu wstręt, którego nie objawiała słowy, lecz milczeniem.

Zygmunt zbliżył się do niej już widocznie, starając się porozumieć. Trudno mu było dobyć słowa, słuchała go jakby z tajoną wzdargą, śmiała się, ruszała ramionami, zadawała mu sfinksowe zapytania... Jak skoro rozmowa zaczynała się stawać drażliwą i niebezpieczną, zrywała ją. Były chwile, iż się zdawała prawie zdecydowaną: potem odskakiwała przerażona... Matka zabiegała na próżno. Znając przywiązanie córki do ojca i uległość jej dla niego jednego, radczyni skłoniła wreszcie męża, iż sam na sam rozmówić się o tém postanowił z Olimpią... Nakazano mu być stanowczym i nalegającym.

— Moja droga Olimpko, rzekł, przyszedłszy do niej na górę ojciec: mam z tobą pomówić w ważnej sprawie. Bądź łagodną, dobrą i nie zbywaj mnie tém swym zabójczym milczeniem. Raz przynajmniej chcę widzieć jasno w sercu twojem.

Olimpia usiadła naprzeciw niego, i podała mu białą, wychudłą rękę.

— Chcesz mnie widzieć spokojnym i szczęśliwym? Masz-li odwagę zrobić dla mnie ofiarę? dziecko moje, mów...

— Jeśli nie przechodzi sił moich...

— Zrób wybór, dodał ojciec: zaklinam cię, idź za mężem... Spróbuj innego życia, gdy to zdaje ci się ciężkie, a twój smutek moje zatruwa...

— Rozumiem, odezwiała się powoli: idzie o to, abym poszła za pana Zygmunta.

— Wołałbym, ażebyś poszła za niego niż za kogo innego, nie taję...

— Ale dla czegoż mam tak koniecznie, pośpieszyć, za mężem wychodzić?

— Moje dziecko! proszę cię, policz lata! Straciłaś najpiękniejsze... w późniejszym wieku, mówię ci to z doświadczenia... szczęście jest trudne... Ja nie jestem wieczny. Matka twoja nie potrafi pokierować wyborem... ona sama często, mimo całego swojego rozumu i najlepszego serca, potrzebuje opieki. Daj mi odetchnąć... niech będę o twój los spokojny... Zygmunt jest człowiekiem statecznym, wytrawnym, ma wiele dobrych przymiotów, familia nienajgorsza... Zapewne, pod względem imienia, miałaś partye świetniejsze.. ale ty sto razy mi mówiłaś, że do tego nie przywiązujesz wagi.

— Najmniejszej, odczuwała się Olimpia. Lecz ojciec kochany, pozwól sobie powiedzieć, że ja nie, mam najmniejszej ochoty iść za mężem.

— Przecież to jest kolój nieuchronna... Musisz pójść w końcu, mówił radca. Z twoim charakterem klasztor się jeszcze mniej godzi... Moje dziecko! zawolał: daj mi odetchnąć swobodnie, uczyni mnie szczęśliwym, niech ja cię widzę zamężną... weselszą, inną!

Smutnie spuściła głowę Olimpia.

— Mój dobry ojciec, rzekła z uśmiechem pełnym goryczy: zobaczysz mnie zamężną, jeśli to do twego

szcześcia jest potrzebne; ale szczęśliwą, ale weselszą—wątpię.

— Ty nie znasz sama siebie...

Błysnęły oczy córki, gdy usłyszała te słowa; usta się poruszyły jakby chciała powiedzieć: „Biedny ojciec! ty nie znasz córki swojej...” — lecz milezała...

Długi czas jeszcze mówił, przekonywał, prosił radca... zobaczył w oczach jej łzy...

— Dosyć tego, ojcze kochany! rzekła rękę mu dając: masz słowo moje, iż jeśli rzecz będzie możliwą, jeśli się zdołam przezwyciężyć—jednym słowem, jeżeli zdobędę się na siłę... stanie się, czego pragniesz... Błagam cię o chwilę namysłu, nie naglijcie...

Pierwszy raz od lat dziecinnych ojciec zobaczył córkę we łzach; wzruszyło go to niezmiernie. Łzy jej nie były zwykłym łatwym płaczem niewieści; czuł, że je wycisnęła boleść, że płynęły krwią serca, że paliły twarz, po której eiekły... Z po za nich czarne oczy płomieniem jakimś dzikim gorzały... Stała drżąca, poruszona, straszna jak ofiara, która na stos wiodą...

Chciał mówić, skinęła ręką prosząc, aby ją samą zostawił, i padła na kanapę. Od téj chwili rozpoczął się dramat pomiędzy matką a córką nieustanny... Olimpia prawie nie wychodziła od siebie... Gdy Zygmunt przyjeżdżał, posłuszna ojcu, pokazywała się w salonie. Matka siadywała godzinami u niej, słysząc było rozmowy, żywe okrzyki, to znowu jakby jęk i prośby.

Naostatek pan Zygmunt, na dany znak przez matkę, w ganku zostawszy sam na sam z Olimpią, oświadczył się jej.

Przygotowana zapewne do tego, panna stała jak posąg marmurowy, słuchając Zygmunta, patrzyła nań to z gniewem, to z politowaniem... Gdy zamilkł, i miała odpowiedzieć, lkanie podobne do serdecznego śmiechu przerwało jej mowę; opamiętała się jednak prędko i wróciła do chłodnej powagi swojej.

— Dawnom się mogła domyślać pańskich zamiarów, rzekła. Dziwna rzecz, iż pan, tak przenikliwy, nie potrafiłeś się dopatrzeć tego, iż przyjmując jego oświadczenie, najokropniejszy gwałt zadać sobie będą musiała... Ale rodzice moi życzą sobie tego, pan się nie lękasz...

— Rachuję na przyszłość, na staranie najczulsze o jej szczęście...

— Nie rachuj pan na nic! myślą rachuby ludzkie, zwłaszcza z istotami tak dziwacznymi jak ja. Powtarzam pannę pytanie: nie lękasz się pan?

— Będę szczęśliwy!

— Ja taką być nie mogę, i pan być nie potrafisz! dodała Olimpia.

— Przyszłość jest w ręku bożych... a ja ufam w serce gotowe do poświęceń dla pani.

Ruszyła ramionami.

— Nie mówmy lepiej o sercach! rzekła spokojniej; nie mogę przypuścić, abyś mnie pan kochał, ani bym ja go kochać mogła. Jestem szczerą...

Zygmunt się skłonił.

— Ja jestem uparty... szepnął.

— A ja sceptyczną. Umialesz pan tak szczęśliwie poprowadzić swe interesa (wyraz ten wymówiła delikatniej), iż oprzeć się naleganiom nie mogę. Uprzedzam go jednak, iż położę warunki z mej strony, że będą ciężkie, i że od nich nie odstąpię.

— Ja ślepo je przyjmuję...

Od stop do głowy zmierzyla go oczyma Olimpia.

— Jeśli tak, odezwala się, rzecz jest skończona. Pomówimy o nich później; teraz zostaje tylko panu rozmówić się z moimi rodzicami... Lecz powtarzam panu: warunki będą ciężkie, stanowcze, a ja z nich nie ustąpię.

To mówiąc, odwróciła się i powolnym krokiem przeszła do salonu. Tu porzuciwszy Zygmunta, na którego się nawet nie obejrzała, poszła mileżąca do swego pokoju.

Na drodze spotkała ją matka; badającym wzrokiem niecierpliwie rzuciła pytanie.

— Wszystko skończone, odezwala się idąc: pan Zygmunt się oświadczył, ojciec tego żąda, mama mnie zmusza... snadź przeznaczeniem mojem być ofiarą, więc nią będę.

Matka chciała się jój rzucić na szyję. Olimpia zasłoniła się rękoma i pierzchnęła. Radezyni podbiegła do Zygmunta, który pozostał na progu sali, jakby przykuty we drzwiach. Nie widać było na nim najmniejszego wzruszenia; ujął pnielną rękę zbliżającą się pani, pocałował ją i cicho rzekł:

— Skończone... jestem przyjęty...

Ton, jakim to wymówił, nawet panią radezynię, najlepiej dla niego uprzedzoną, jakoś zdziwił i nieprzyjemnie uderzył.

— Pozwól mi pani, poczał pośpiesznie, abym natychmiast do najbliższej stacyi pojechał i zatelegrafował do ojca... Lękam się, aby panna Olimpia jeszcze się nie cofnęła... trzeba więc świadków i pewnych form...

— O mój Boże! wzruszona zawołała kobieta, padając na fotel: jak się to wszystko skończy!...

— Niech pani droga będzie spokojna i ufa mi, że lepiej i łatwiej pójdzie wszystko, niż się w tej chwili przedstawia. Widzi pani, że ja, cobym miał największe prawo do obawy, mam odwagę spojrzeć w przyszłość okiem pewnym...

Schylił się jeszcze pan Zygmunt, całując czule podaną rękę, i chciał odejść. Matka poprowadziła go do ojca. Radea przyjął nowinę wzruszony, ścisnął dłoń Zygmunta, ale w tej chwili najpilniej mu było widzieć Olimpię.

Pobiegł do niej, pożegnawszy odjeżdżającego. Drzwi zastał zamknięte; dopiero na głos jego otworzyła mu córka... Stała z rozpuszczonemi ślicznemi włosy, splakana, bolejąca; z po za łez uśmiech się dobył ze zbladłych warg drżących.

— Ojczy, rzekła: to ofiara dla ciebie!... Bądź spokojny, a nie miej mi za złe, że stara, zwiędła, niedowierzająca niczemu i nikomu, popłaczę trochę... Było mi znośnie w rodzicielskim domu, było mi dobrze z wami... żał mi porzucić i ten kąt drogi, i to życie, do którego nawykła... Wyście tak dobrzy byli dla mnie! matka... ty .. wszyscy. Jakże nie mam płakać?...

W kilka dni ojciec Zygmunta nadjechał zdyszany, rozpromieniony, a glupszy niż był kiedykolwiek w życiu...

Syn zobaczywszy go, zląkł się, bo był pewien, że ze zbytku szczęśliwości utnie mu jakiegoś bąka, wygada się, skompromituje siebie i jego. Pierwszego więc dnia, pomimo własnej niecierpliwości, nie puścił ojca, dopóki go nie ostudził, [nie przywiódł do opa-

miętania, nie postawił na żądanym stopniu temperatury... Szambelan dawał sobie mówić co chciał... chodził tylko po pokoju nieprzytomny, powtarzając:

— Ha! ha! mówili mi zawsze... głupi: otoż macie! otoż wasze rozumy tego nie dokazały co ja z moim pocziwym Zygmuntem!.. A co? a co? he? W pokrewieństwie z pierwszymi domami, milionowa fortuna... należymy do arystokracji... Jeżeli się doczekam wnuka, to go ożenię z kim zechcę... prosić się o niego będą Potoccy... Gdyby dziad twój żył, o mój Boże! coby to było za szczęście dla niego! Dam na mszę! na wotywę! To opiekka bozka wyraźna nad domem naszym...

Paplał stary, upił się przy obiedzie, wyspał w fotelu, i monitowany cały wieczór, dopiero nazajutrz był gotów do Zabrzezia... W ganku już roztkliwił się szambelan, i witając radcę pocałował go w ramię, bił się w piersi, jak grzesznik odchodzący od konfesyonału...

Zygmunt go musiał w przechodzie do salonu strofować, i reszta tego dnia uroczystego przeszła dobrze... Wprawdzie Olimpii chciał się do nóg rzucić szambelan, dziękując za szczęście syna, ale go powstrzymano. Nastąpiły umowy o dzień ślubu, a że wyprawa była z dawna gotowa, i wszyscy życzyli sobie przyspieszyć gody, a pan młody wedle zwyczaju nowego, mając zaraz sięść do wagonu z żoną, nie potrzebował wielkich przygotowań, dzień wyznaczono dość blizki. Olimpia na próżno odwlec go usiłowała..

Ze strony Dobińskich nie było ani mowy o żadnych układach co do interesów, co do posagu, ani wymagań. Sam radca wziął ich po obiedzie na cygarko do siebie i oświadczył, że projekt interecyzy jest na-

pisany. Stało w niej, iż państwu młodym z ojcowizny i macierzystych funduszów dawali tymczasowo państwo radcowstwo trzy folwarki i pięć tysięcy talarów rocznego dochodu do nich. Po najdłuższém życiu pana radcy, cały majątek ziemski obejmowała córka, obowiązując się dożywotnio wypłacać matce pewną summę. Radczyni na wszelkie się warunki zgodziła. Dobińscy ani mogli marzyć o świetniejszych.

— Kochany szambelanie, dodał trochę zakłopotany gospodarz: pozwól mi jeszcze dodać coś do tego i nie obrażaj się proszę... Wiem, że nie z waszjej winy, interesa macie zawiklane... pan Zygmunt może potrzebować na początek kapitału... Nie wejdzie to w żaden rachunek, a pozwólcie, abym mu ofiarował po przyjacielsku małą sumkę, o której proszę, aby nikt nie wiedział. Chcę, by miał głowę spokojną...

Mała ta sumka wynosiła dziesięć tysięcy talarów, a nigdy trafniej nie mogła przyjść niż w tej chwili. Że szambelan słysząc to nie zwaryował, wienien zapewne szczególniej opiece patrona swego... Zygmunt podziękował z godnością wielką, radca uściskał go czule.

— Staraj się tylko, aby Olimpia była szczęśliwą, bądź dla niej czułym i dobrym... bądź wyrozumiałym... I we łzach utonęła reszta.

*

*

*

W dniu przeznaczonym na wesele, mała garstka zaproszonych gości cała już była zebrana w Zabrzezin. Radca nie chciał tłumu, a Olimpia wyraźnie go prosiła, ażeby ślub odbył się jak najciszej i przy najmniejszej liczbie świadków. W miarę jednak jak się

zbliżała chwila stanowcza, Olimpia, pomimo najczulszych starań matki, zdawała się coraz bardziej przeżoną tém małżeństwem, i dawszy ostatnie słowo, cofała się i zwlekała. Prawie nieodstępna była przy niej matka, która niepokoiła się, zamiast rezygnacyi widząc w niej coraz większą rozpacz, niemal dochodzącą do gwałtownych wybuchów. Gdy w salonach zabawiało się wesoło zebrane towarzystwo, a szambelan szczęśliwy, ożywiony, prawil i opowiadał o swych podróżach do stolicy i stosunkach z najwyższymi położonemi osobami; gdy radca (który o usposobieniu córki, ukrywaniem przez matkę, mało co wiedział, z pogodną twarzą grał rolę szczęśliwego ojca i uprzejmego gospodarza; gdy pan młody usiłował promienieć szczęściem, chociaż mimo chłodu swego upokorzony był i gniewny, w pokojach Olimpii odgrywała się jedna z tych tragedij domowych, które, jak tajemna choroba we wnętrznościach człowieka, najsilniejszy organizm zniszczyć mogą.

W zaniedbanym stroju, blada, na przemiany gniewna, smutna, zrozpaczona, płacząca, chodziła Olimpia godzinami, aż do znużenia, lub padała nieruchoma na kanapę, i milcząca jak posąg, bez ruchu, z oczyma wlepionemi bezmyślnie, siedziała nie odpowiadając na pytania, nie dając znaku życia...

Nadszedł naznaczony dzień ślubu... Olimpia była chora—odłożono go do następnego dnia, ale jeszcze nie czuła się na siłach... Matka nalegała... Wieczorem o zmroku, znalazły się sam na sam przeciw sobie, obiedwie przejęte, zmęczone i gniewne... Radczyni postanowiła rozmówić się stanowczo. Odkładane to wesele czyniło jak najgorsze wrażenie. Zygmunt zaklinał, aby temu koniec położyć.

Matka weszła o zmroku i usiadła przy córce, czekając z razu, aby zawiązać rozmowę; ale kwadrans upłynął, Olimpia nie zmieniła położenia, nie odwróciła się ku niej, nie przemówiła słowa...

— Dziecko moje! odezwiała się nareszcie matka: na miłość bożą, posłuchaj mnie! Co ludzie powiedzą? co pomyślą? Zapomniane historie odświeżą się w pamięci ludzkiej... zlituj się—raz z tego położenia wyjść trzeba.

Córka podniosła się z zaognionemi oczyma.

— A któż mnie wprowadził w to położenie? zawołała gwałtownie: dla czego chcecie koniecznie, abym szła za męża, kiedy serca nie mam dla niego, kiedy go oddałam innemu? kiedy przed Bogiem i sumieniem należę do innego człowieka?...

Matka klasnęła w dłonie przerażona.

— Na miłość Boga! cicho! Olimpio... cicho!.. Przecież uległaś woli ojca...

— Tak, ale nie mogę wymódz na sobie, abym oszukiwała nawet tak nieczemnego człowieka jak pan Zygmunt. Wprzódby nim mu oddam rękę, on powinien wiedzieć wszystko—tak! wszystko... powinien się dowiedzieć, że zaślubia wdowę... endzą żonę, kochankę innego...

Radeżyni rzuciła się ku córce, zatulając jej usta. Przeraziło ją co mówiła, lękała się podsłuchania, obawiała ścian.

— To szaleństwo! poczęła po cichu: dla czego masz się poniżać dobrowolnie w jego oczach, zdawać na łaskę?.. po co?.. Zostaw mnie staranie o to...

— Ja? na łaskę?.. przerwała Olimpia: — na jego łaskę?—rozśmiała się szydersko. O! nie! znam człowieka i nie myślę mu uleść. Właśnie dla tego, aże-

bym na łasce nie była, powinnam mu położyć warunki. Niech wie, czego się ma po mnie spodziewać...

— Ja na to nie pozwolę! powstała radezyni: nie! to być nie może. Obwiniając siebie, obwinisz mnie. Ja tego nie chcę... Po ślubie powiesz mu, że... że winien zyskać serce twoje, nim żoną jego będziesz... Nie żyj z nim... niech ślub będzie formą tylko... na to się zgadzam... ale takich wyznań, rozmowy... nie dopuszczę!

— To ślubu nie będzie!.. zawołała Olimpia chłodno.

— Zobaczymy, jak się wytłumaczysz przed ojcem, któremu dałaś słowo...

Zaczęła się przechadzać po pokoju..

Olimpia swoim zwyczajem zamilkła... Dzień ten tak przeszedł. Nazajutrz już kościół przystrajano, gdy Olimpia oświadczyła znowu, że czuje się chorą, że nie wyjdzie...

Ojciec przybiegł do niej sam... ale spojrzawszy na zmęczoną twarz dziecięcia, na wypalone łzami oczy, nalegać nie śmiał. Musiano zgromadzonych gości zbyć tém, że lekarz jeszcze dzień wstrzymać się radził, że wzruszenie było zbyt wielkie...

Ojciec Zygmunta pochuurniał; on sam, ledwie nadzwyczajnym wysiłkiem woli nadrabiając, mógł twarz spokojną i rozpromienioną w salonie ukazać. Oprócz radey, który wiedział o ofercie córki, ale nie domyślał się, jak była wielką, reszta osób wchodzących do tego dramatu kłamała twarzami, słowy, postawą... i była na mękach.

Zygmunt, który stojąc w salonie, jeszcze tak ubrany, jak się był ustroił, sądząc, że pójdzie tego dnia do ołtarza, udawał człowieka doskonale spokojnego, a podrażnionego tylko chwilową słabością najdroższej

istoty. Rozmawiał o rzeczach obojętnych, siłił się na dowcip, ale mu źle było, i czuł, że głowa go pali. Wtém spostrzegł w mroku matkę w całym majestacie elegancyi, z jaką występowała do stołu, ale z chmurą na czole, dającą mu niespokojnie jakieś znaki, dla drugih niedostrzeżone.

Domyślił się łatwo, że mówić z nim potrzebuje; skłoniwszy więc z lekka głowę na przeprosiny tym, z którymi rozmawiał, udał, że go troskliwość o zdrowie narzeczonój pędzi ku niej.

Matka nie kryła wielkiego zakłopotania się niespodzianą, przedłużoną córki chorobą; ale baczniejsze oko mogłoby było dostrzedz w jej twarzy, której wszystkie mięśnie drgały hamowaniem jakimś oburzeniem i namiętnością, coś więcej nad prosty o dziecię frasunek.

W salonie gwarno dość było i ludno. Szambelan, który prawie cały dzień monopolizował rozmowę, co raz ciekawsze rzeczy opowiadał o wspaniałości stolicy, gmachów, o zbytku i przepychu bogatych rodzin arystokratycznych i kupieckich... Gwar ten dostatecznie tłómaczył, że Zygmunt z matką mógł potrzebować cichszego kąta do rozmowy... Poważnie, z wolna, powstrzymując niespokojne kroki, wprowadziła go pani radeznyi do gabinetu, gdzie parę osób zbłąkanych na ustroni, jak tylko posłyszały ją wchodzącą i straszliwie do lady Macbeth podobną, ustąpiło, przeczuwając, że zawadzać mogą. Obejrzała się, i westchnienie wyrwało się z jej piersi, które ręką uciskała białą, jakby je powstrzymać chciała... Zwróciła twarz z oczyma czarnemi, łez i ognia pełnemi, ku Zygmuntowi. Ten stał chłodny, przyzwoity, ostygły,

ale odważny. Na nim już nie widać było pomieszan-
nia najmniejszego.

— Olimpia jest tam, w saloniku, idź pan do niej,
chce się z nim widzieć.

Słowa te wyrzekła głosem wzruszonym i przery-
wanym.

Zygmunt się natychmiast poruszył, lady Macbeth
go wstrzymała.

— Czekaj! rzekła jakby wabając się; głos jej za-
brakło, obejrzała się niespokojnie i dodała cicho: Proszę
cię! bądź rozsądny... Ufam twojemu charakterowi...

Ujęła go za rękę; czuł, jak dłonie jej rozpalone
drżały.

— *Soyez raisonnable!* proszę... to dziecko... pan ją
znasz! *Beaucoup de calme pour conjurer la tempête...*
Ja zostanę na straży, aby wam nikt nie przerwał
rozmowy i podsłuchać nie mógł...

Pochwyciła się za głowę i padła na fotel, jakby
ją siły opuszczały...

— Niech mama będzie spokojna, nśmiechając się
zimno, szklano, odparł Zygmunt, chociaż twarz mu
bladła. Będę się starał odpowiedzieć położonemu we
mnie zafanin *et être à la hauteur des circonstances...*

To mówiąc wyszedł, a oczy lady Macbeth poszły
za nim. Podparła bladą głowę na białej dłoni, zadu-
mała się rozpaczliwie; piękna jej jeszcze twarz, w tém
zapomnieniu o sobie, stała się nagle starą, zapadły
usta, pofalowały się policzki...

Zygmunt z lekka otworzył drzwi saloniku, w któ-
rym półmrok nadechodzącego wieczoru już panował.
Doskonale jeszcze można było rozeznąć twarze i ich
wyraz, ale jakby mgła jakaś osłaniała wszystkie
przedmioty...

Na kanapie Olimpia, którą zmuszono ślubnego stroju spróbować, siedziała w białej sukni morowej, ale z rozpuszczonymi włosami, poplątanemi niedbale... Wsparta na rękę, leżała posągim bladym, jak Cezarowa żona z marmuru w Real-Museo w Neapolu. Czarne jej oczy świeciły wśród mroku jasno, straszny blaskiem jakimś, jak dwoje źrenic dzikiego, podrażnionego zwierza... Była zarazem cudownie piękna i przerażająca. Na twarzy zawsze bladój, teraz białej, dwa wypalone rumieńce ceglane, jak dwie plamy od policzków się wydawały. Miała coś w sobie męczennicy i coś zrozpaczonej poganki... Zmarszczyła brwi, usta jej poruszyły się, zmierzyla od stop do głowy Zygmunta i jego klasyczną toaletę weselną— coś ironicznego przebiegło po jej wargach... Wskazała mu krzesło naprzeciw siebie, w drugim końcu kanapy, tak, aby niezbyt blisko, całym go na oczach miała.

Zygmunt siadł, i pochyliwszy się z wyszukaną grzecznością, już miał na ustach wypytywanie przesadnie czule o tak nieszczęśliwie dla niego przyebodzącą chorobę, gdy Olimpia zamknęła mu je, odzywając się sucho i niemal pogardliwie, z niewypowiedzianą dumą królowej, mówiąc do niewolnika:

— Proszę pana, nie grajmy z sobą komedij żalnych, mówmy szczerze, poważnie, otwarcie. Jest to chwila stanowcza, ja grzeczności nie potrzebuję, bo nie wierzę w nie...

Zygmunt milezał, lecz niezmieszany wcale, sklonił głowę na znak posłuszeństwa. Ona zmierzyla go oczyma, raz, drugi, lekko ruszając ramionami. Istota, co miała być jej mężem, zdawała się jej niezrozumiałą.

Olimpia wstała, zbierając rozrzucone włosy i wiążąc je białemi rękoma; potem milcząca zaczęła żywo, nierównemi, przerywanemi krokami chodzić po pokoju; naostatek stanęła przed nim, w całym majestacie dumy swój i piękności, mierząc go oczyma długo, nim przemówiła...

— Tak! stłmionym ozwała się głosem: potrzeba mówić otwarcie. Staraleś się pan o mnie, muszę mu oddać tę sprawiedliwość, bardzo zrzęcznie, i wystarałeś się mimo mój woli, a bierzesz mnie gwałtem... Nie inaczej! gwałtem... dodała z przyciskiem. Pan umiałeś sobie ująć matkę moją, matka potrafiła wmówić w ojca stosowność i konieczność tego związku.. Miłości dla ojca, prośbom jego nleż musiałam... Jestem znękana, zmęczona, skuta własnem słowem: muszę iść za pana! Lecz powinienes wiedzieć, że idę za pana z mnsu, bez najmniejszego przywiązania, ze wstrętem, że go nie kochała, nie kocham i kochać nigdy nie będę...

— Pani! przerwał Zygmunt łagodnie, głosem mięciuchnym i intonacją słodką, mdlą aż do przerażenia, bo naturalną być nie mogła: pani! gdybym jęj nie kochał, mógłbym się łądzić; alem kochał ją, bolałem nad tém; a jednak miłość mi dała odwagę walczenia z jęj wstrętem... Pozwól mi zachować nadzieję...

— Pan mówisz jak na teatrze dobry artysta. Do dziś dnia taka mowa niechodziła; należy do *mise en scène* zwyczajnój. Oceniam znakomity jego talent. Lecz dziś, proszę, mówmy inaczej, jak prości śmiertelnicy.. Staraleś się pan o mnie dla mojego majątku i imienia... nie dla serca...

Zygmunt trochę zmilezał, krew oblała mu twarz, jakby został spoliczkowany, ale w téjże chwili wrócił do pierwszej błądoci i chłodu...

— Sądziś mnie pani za surowo, rzekł, chociaż zapierać się nie myślę, że wszystko co ją otaczało, dodawało jej uroku. Nie jestże to naturalném?

— A! tu nie ma żadnych uroków, to jest prosty interes, rzekła sucho. Moi rodzice osądzili go wedle siebie dobrym, każą mi iść — idę; pan obrachowałeś co zyskujesz, i ważysz się na wielkie niebezpieczeństwo... cóż mi do tego? Nie uczynię pana szczęśliwym, i nie możesz powiedzieć, że go zdradziła, żeś wpadł w zastawione sidła... Z góry oznajmuję mu... że puszczasz się pan w grę niebezpieczną... *Mais c'est votre affaire...*

Zygmunt zdarł jedną rękawiczkę, ale milczał.

— Ponieważ pan trwasz w nieuleczonym uporze, ciągnęła dalej, nie żałuję nawet pana. Mnie dziś zupełnie wszystko jedno być oddaną temu lub drugiemu. Z każdym jednak byłabym szczerą, będąc więc i z panem, choć... choć... dodała coś prędko i niewyraźnie, jakby: choć nie zasługujesz na to... (ale Zygmunt nie dosłyszał).

Zagryzła usta i siadła znowu na kanapie naprzeciw niego. Jedną z gałązek kwiatu pomarańczowego, zdołbiących suknię, oberwała bez litości i poczęła się nią bawić, rozdzierając ją, kwiatkami i listkami uścielając ziemię.

— Widząc mnie taką, jaką jestem, niepodobna, ażebyś pan nie posądzał przeszłości i nie obwiniał jej o teraźniejszość. Uważam to za konieczne, mówiła żywo, abyś pan poznał tę tajemniczą przeszłość kobiety, którą masz zaślubić.

Zygmunt podniósł głowę, jakby ją prosił o litość nad nią samą. Nie pomogło to nic.

— Zapewne pan wiesz, że lat 29 skończyła... nie jestem dzieckiem, przeżyłam i przecierpiałam wiele.

Kochałam... Tak jest, kochałam raz w życiu, i ta miłość zappełniła życie całe. Wyznanie to nieby nie znaczyło, gdyby nie było pełne jak spowiedź, otwarte jak ona... Gorycz muszę wypić do dna... nadtom dumna, bym milczeniem kłamała... Nie jesteś pan sentymentalny i wrażliwy, ale przypuszczam, żeś uczciwy... Wychowywałam się przy matce mojej za granicą, miałam lat ośmnaście, serce dziecka, wiarę dziecka, nieświadomość świata dziecinną. Uczylałam się muzyki, którą namiętnie lubilałam, a której, jak pan wiesz, teraz nie znoszę... Nanczycielem ostatnim był młodzian, człowiek genialny, człowiek godny tego imienia, szlachetny, pełny prawdziwej poezji w duszy... piękny jak anioł, biedny jak wyrobnik, zacny jak bohater... Kochaliśmy się... Rajskie to były chwile! Z nim raz w życiu sięgnęłam niebios, ażeby upaść do piekła. Chciałam mu się poświęcić, narzuciłam mu się gwałtem, zmusiłam go, żeby mnie uwiozł... Długo nie mieliśmy żyć z czego. Postanowiliśmy być szczęśliwi choć dni kilka i umrzeć razem. Uciekłam z nim od matki, w głąb jego kraju, do ubogiej chaty w wiosce, w której się urodził...

Tu głosu jej zabrakło.

— O! te dni, te dni szczęścia, dodała po chwili te godziny rajskie, nigdy niezapomniane, niepowrotne nigdy! Spędziliśmy je, sypiąc garściami tę troszkę złota, którą zabrałam matce, jako mój posag jedyny... Kupiliśmy dwie piękne trumny, wysłane kwiatami, które stały w drugim pokoju... i tak żyliśmy między niebem a śmiercią... i byliśmy bardzo, bardzo szczęśliwi!...

Głos jej coraz się cichszym stawał, lzy zaczęły płynąć po twarzy. Zygmunt siedział zgięty, ze spuszc-

czoną głową, patrząc na rękawiczki poszarpane, jak gdyby wzięto go na męki, które męstwo kazało, nie jęknawszy, przecierpieć.

— O! te dni niezapomniane! powtarzała Olimpia, jakby sama do siebie: te dni tkane ze złotych słońca promieni, pośród kwiatów, muzyki, w cichym kątku, gdzieśmy sądzili, że dopiero dwa nasze trupy ktoś odszuka, gdy upojeni sobą, wypijemy przygotowaną truciznę... Odkładaliśmy ją od dnia do dnia, byliśmy tak szczęśliwi! Potrzebuję panu powiadać, żem była jego kochanką, żoną, niewolnicą?...

Na tych wyrazach przerwała, zasłoniła sobie oczy, czekała odpowiedzi.

Była chwila milczenia grobowego... Nareszcie Zygmunt odezwał się głosem zmienionym, schrypłym, jakby go dusiła żółć wezbrana.

— O tém wszystkiém nie potrzebowałaś mi pani mówić: wiedziałem...

Olimpia zerwała się z kanapy.

— Od kogo? od matki?

— Nie.

— I pomimo to zaślubić mnie się ważysz?

— Przeszłość pani nie należy do mnie, odpowiedział Zygmunt z powagą: ja poślubiam tylko przyszłość.

Gorzko, pogardliwie uśmiechnęła się panna młoda, ruszając ramionami.

— Frazes! zawołała szydersko: ani przeszłość, ani teraźniejszość, ani przyszłość moja do pana nie będzie należała, tylko pozornie... tylko z imienia... Pan mi powiadasz, żeś o tém wiedział i nie od matki? Więc moja historia jest tak powszechnie światu znana, i pan nie wahasz się mnie wziąć? osławioną?

— O tém nikt nie wie w świecie, a mnie odkrył tę wiadomość wypadek.

— Klamiesz pan!... przerwała Olimpia: troskliwa, dobra, ostrożna matka moja przez miłość dla mnie i dla zięcia przyszłego musiała mu to wyznać... nie prawdaż?

Zygmunt milczał.

— A więc, gorączkowo poczęła Olimpia: ze świadomością sytuacji przystępowales pan do tego związku?... namyśliłeś się dobrze?... wiesz kogo bierzesz? Mnie się wszakże zdaje, że się ludzisz, biorąc mnie za pospolitą istotę, która ci będzie wdzięczna i okupi błąd poddaniem się! To fałszywa rachuba. Kobieta w położeniu mojem, z mojem sercem, z uczuciem, z dumą, nie może być żoną drugiego, tylko — z nazwiska.

— Będiesz pani swój woli panią... ale przyszłość..

— Rachujesz pan na swe powaby, na słabość niewieścią, na seduktorstwo!

Ruszyła ramionami i usta jej zadrgały.

— Ale pan mi jesteś wstrętny; nie mam dla niego nawet... szacunku.

— Starać się go będę pozyskać.

— Znowu ładny frazes; *vous en avez pleines les poches*, mówiła Olimpia. Muszę jeszcze dodać i to, że prawdopodobnie kochanek mój żyć musi... Matka nie dała się nam otruć obojgu razem, a ja przy rozstaniu wymogłam, że sobie życia nie odbierze. Schwytano nas z pomocą policyi saskiej w parę tygodni... Biedny mój anioł, poszedł pewnie dźwigać kajdany, gdy ja w złotych bransoletach musiałam grać rolę dziewicy dla ocalenia honoru domu!... Po dwóch latach podróży wróciłam do kraju jako panna na wy-

daniu... Jeśli ten człowiek żyje — jeśli go spotkam, choćby galernikiem, nędzarzem... pójdę za nim, przysięgam!

— Będę się więc starał, abyśmy się z nim nie spotkali, rzekł Zygmunt, na którym to wszystko mało na pozór czyniło wrażenia. Idzie o moje szczęście, będę go strzegł z całą...

— Z całą troskliwością człowieka, dla którego ono reprezentuje pewną w świecie pozycję. Ja wiem, że jestem dokumentem na majątek, więc niepowinno zaginać...

— Pani jesteś dla mnie okrutną...

— Mniej daleko, niżeli pan byłeś dla mnie.

— Sądz mnie pani jak chcesz... lecz sama jej piękność...

— Moja piękność? Ja dla pana nie chcę być piękną... nigdy... pan mi jesteś obrzydliwy...

— Pani!...

— Chcę, byś przed ślubem wiedział co cię czeka, jaką jestem i jaką będę. Czynię krwawą dla rodziców, dla ojca ofiarę, dla świata, ale ma ona granice... Ja ich nie przekroczę i przejść ich nie dopuszczę. Masz pan majątek... kolligację, stosunki... wszystko co chcesz... ale mnie mieć nie będziesz nigdy!...

— Będę się starał pozyskać jej serce...

— Frazes, znowu frazes! niecierpliwie rozśmiała się Olimpia. Mówmy zimno, mówmy rozsądnie. Ja od pewnych warunków nie ustąpię.

— Możesz pani postawić jakie się jej podoba, zgadzam się na nie, pozostaje mi nadzieja, że je sama cofnąć zechcesz.

— Nie! odpowiedziała Olimpia: dziesięć lat jedno, niezmienione noszę w sercu uczucie, jedną stałą za-

łob! Znam siebie: we mnie kamienieje co w serce wpadnie, miłość i nienawiść zarówno... Lecz podobno zbyt długo pana tu zatrzymuję, poprawiła się wstając z kanapy. Skończym w kilku słowach. Moje warunki...

— Słabo je przyjmuję, przerwał z niecierpliwością pewną, wstając z krzesła Zygmunt.

— Jest jeden, nazwię go pan dziwacznym, ale ja nie mogę od niego odstąpić. Raz w życiu ślubowałam temu człowiekowi, zamieniliśmy obrączki... Od tej pory żadna siła ludzka zdjąć mi jej z palca i z serca nie mogła. Jutro przy ślubie... nie przyjmę innej tylko tę samą...

To mówiąc, zdjęła powoli z palca złoty pierścionek, i trzymając w białej ręce, pokazała Zygmuntowi.

— Pan mi dasz słowo uczciwego człowieka, że nie inną tylko tę poświęci jutro kapłan i włoży mi na rękę... Sklam pan, że to obrączka jego matki, rób co chcesz... Jeśli mi inną poda ksiądz—a to poznam i poczuję wszędzie! — odejdę od ołtarza... Raz przysięgam i nie zmienię uroczystego słowa. Pan dla mnie będziesz tylko pełnomocnikiem tego króla, do którego należy moje życie...

Czarne swe oczy wlepiała w niego, trzymając w drżących palcach obrączkę.

— Słowo honoru? zapytała.

Zygmunt mgnienie oka wahał się, pot mu wystąpił na blade czoło.

— Słowo honoru! odparł cicho — wyciągając rękę po obrączkę.

— Wierzę jego honorowi, zawołała Olimpia. Teraz wszystko skończone — ślub jutro... to mi już jedno... Odegrajmy tę komedię jak najprędzej, z zadowoleniem dostojnego parteru! dorzuciła szydersko. Nie

lękaj się pan, nauczyłam się przez te lat dziesięć być wcale niezłą aktorką.

Mówiąc to skłoniła mu się ceremonialnie, lecz gdy Zygmunt biorąc obrączkę chciał pocałować ją w rękę, cofnęła ją prędko, gniewnie, i oczy jej błysnęły strasznie, jak w chwili gdy wchodził do saloniku... Zmieszany uklonił się niezgrabnie i poszedł do progu. Tu zaledwie otworzył drzwi, ujrzał matkę oczyma badawczemi wpatrującą się w niego niespokojnie.

— Wszystko skończone... jak najlepiej— wyjąknął stłumionym głosem. Ślub może być jutro...

*

*

*

Program dnia ślubu, pomimo że liczba gości zaproszonych ograniczała się do rodziny i najbliższych przyjaciół, skreślony był przez samą panią tak, aby wesele świetnym się stało i uroczystem. Olimpia zgadzała się na wszystko; ojciec tak był szczęśliwy, iż się niczemu nie sprzeciwiał.

W kościółku wiejskim, przybranym w kwiaty i wieńce, około południa miała być msza, którą staruszek pleban odprawiał. Wikaryuszowi przypadła mowa do nowożeńców, bo ksiądz Hrehorowski, ośmdziesięcioletni, drżący, głos miał cichy i mowę trudną. Następnie wspaniała uczta trwać miała do późna. Zamówiono do niej muzykę całą sprowadzoną z Poznania... Herbata, wieczerza cukrowa, rozmowy zając były powinny jak obrachowywano czas do północy... Państwo młodzi wzięwszy raz jeszcze błogosławieństwo rodziców, odprowadzeni przez nich i przez całe towarzystwo do najbliższej stacyi, nocnym pociągiem pośpiesznym mieli wyruszyć w zwykłą podróż, do

Szwajcaryi, aby tam lub we Włoszech spędzić miodowe miesiące.

W tym przeciągu czasu, nieoszacowany szambelan, który się na tém znał doskonale, miał się zająć urządzeniem dworu państwa młodych; z ojcowską pieczołowitością podjął się tego, narzuciwszy się Zygmuntowi i ściskając go w obec pana radcy, prawdę powiedziawszy w téj nadziei, iż na tém się nieco odbije za niezmierne wydatki, jakie miał w ostatnich czasach. Zygmunt znający dobrze ojca swego, brocił się jak mógł, wiedząc co go to będzie kosztowało. Szambelan nie dał się ze zřęcznie zdobytego stanowiska wyrugować, i ofiarował poświęcić się mimo wieku i dostojności...

Radca obiecywał dostarczyć na to funduszw. Przezorny zięć wolałby był sam niemi rozporządzać, utyskiwał nad tém, że ojciec słabego zdrowia, skłonny do reumatyzmów i fluksyi, może odcierpieć. Szambelan ani słuchać nie chciał...

Piękny bardzo dzień letni, ochłodzony wietrzykiem wschodnim, z niebem laznowém, przerzynamém chmurkami białutkami jak rozrzucone runa baranków rajskich, przyświecał temu dniowi szczęścia. Gromady z wiosek przysły z rana, z darami i powinszowaniami... Scena była nader rozczulająca, gdy państwo młodzi z uśmiechami, o których nikt nie wiedział, że są pożyczane, wyszli dziękować... Olimpia choć blada po kilkudniowych cierpieniach nerwowych, była dziwnie spokojną i majestatyczną; pan młody w oczach obcych wydawał się najszczęśliwszym z ludzi. Na twarzy ojca promieniało uczucie zadowolenia, i lzy kręciły mu się w oczach. Sama pani musiała nadzwyczajnych środków toaletowych użyć, ażeby pokryć

ślady wrażeń, jakich doznała, i wzruszenia, które nią miotало... Nie dziw też, że rumieniec kupny wydawał się nieco jaskrawego koloru, że bielidło, które od gorąca schodziło, żółte odsłaniało plamy, że oczy miała w obwódkach ciemnych, w oprawie starannie dobranej, mimo to zgasłe i blade...

Co do szambelana, stary prezes Drogolewski, który był nielitościwym drwiarzem, przypadł aż do neha radcy, żeby mu powiedzieć:

— Zięć jak zięć, ale co tatka toś sobie wybrał w takich splendorach, żeśmy gotowi patrząc na niego oślepnąć...

— Śmieszny jest, ruszając ramionami cicho odezwał się prezes...

Ks. wikary po wczorajszej rozmowie z p. Maciejem, mowę przygotowaną już zmienić musiał zupełnie. Z razu mniósł w niej admonicyę do pana młodego, ażeby ten czysty kwiatuśk dziewiczy, na łonie matki wypielęgnowany, tulił i ochraniał od trujących oddechów zepsutego świata. Później musiał z wielkim żalem nad rubryką, którą trzeba było odrzucić, ograniczyć się do ogólników o obowiązkach stanu małżeńskiego i życzeń przeszłości...

Gdy przyszło do włożenia pierścienia, a starszek z tacki je drżącą ręką wziął zamieniając, oczy Olimpii niespokojnie padły na obrączkę. Zygmunt dotrzymał słowa: była to ta, którą znała, która jej była drogą, nad którą inną postanowiła nie nosić nigdy... Ponieważ pleban starszek nieco był głuchy, nie mógł dosłyszeć przysięgi. Olimpia poruszyła ustami, i to było zupełnie wystarczające. Któż się mógł domyślić, że przysięgła temu, czyją wzięła obrączkę?

Kilkaset zaledwie kroków dzieliło kościołek od pałacu. Ścieżka wiodąca do niego, wysłana suknem, zarzucona była kwiatami... poszli więc państwo młodzi, depeąc te symbole nietrwałości szczęścia ludzkiego, uśmiechające się chwilę przed zgonem. Dziecińce pełne były sług, dworn, włościan, ciekawych z miasteczka i sąsiednich wiosek.

Patrząc na tę piękną parę, iluż to stojących z dala zazdrościło Zygmuntowi jego doł! jak ona zdawała się świetną i szczęśliwą! I niejedno serce niewieście zabiło na widok pięknego młodzieńca, który z taką swobodą, z takim wdziękiem kroczył uśmiechając się do bogdanki... Jeden stary Maciej w rogu domu, przytłniony do muru, zakryty chustką, płakał, łkał i jęczał... Któżby się dziwił osłabłemu staruszkowi?...

Towarzystwo było wyborowe: ludzie stanowiskami poważni, majątni, pięknych imion — kilka pań, śmietanka wielkopolska — kilka panien pięknych, jak tylko Polki być umieją, pięknych tak, że się nikt nie dziwi (nawet Niemcy), że my wszyscy z rozumami i sercami naszymi ciśniemy się pod ich pantofelki, bo pod niemi raj — a na ostatku kilku młodych ludzi, kuzynów, powinowatych, sąsiadów... Pomiedzy nimi na herbacie był hr. Just, który sobie przypisywał, że kochanego Zygmunta tak świetnie i szczęśliwie ożenił.

Był on w okolicy ceniony przez młodzież i uważany za wyrocznię w sporcie, w zabawach, przy stolikach gry i w wielu innych ważnych życia kawalerskich stosunkach... Sumienie jednak wyznać każe, iż ci panowie, którzy wszyscy prawie z kolei zabiegali na próżno drogę pannie Olimpi, z pewnem podziwieniem

widzieli, iż ich ubiegł wprawdzie wielce utalentowany, ale ani nazwiskiem, ani majątkiem, ani nawet wykształceniem i dowcipem, ani też powierzchownością równać się im niemogący, biedny przybłąda z za kordonu...

— Wiesz co Kaziu, cichuteńko mówił jeden z kawalerów, który się szczerze i długo kochał w Olimpi: niech mi się stanie co chce, jeśli rozumiem jak ten człowiek doszedł do tego szczęścia!..

Kazio przysunął się do ucha pierwszego i szepnął:

— Jeśli się to może nazywać szczęściem...

— Ale czegoż ty chcesz?.. piękna jak anioł, bogata i imię znakomite!..

— Staralem się i ja o nią, ale przyznam ci się, żem lżej odetchnął, gdy mi odmówiła...

Drugi się rozśmiał:

— *Bonne mine à mauvais jeu! Ils sont trop verts?*

— Nie, rodzice mnie popychali... ale ile razy uśmiechnęła mi się tym uśmiechem... jakże ci go nazwę? wdowim, chłodnym, szyderskim... dreszcze chodziły po mnie.

— Prawda, że Olimpia strasznie królewską ma postać, a jeśli pójdzie po mamie, trudną będzie do przyswojenia... ale małżeństwo... ale miłość...

— Dziwaczna, to prawda, mówił Kazio. Słyszałeś pewnie, bo któż o tém nie wiedział, że grała niegdyś na fortepianie jak Liszt... że była namiętnie muzykalną... potem nagle... nie tknęła już fortepianu, nie cierpiała muzyki... i Erarda u nich otworzyć nie było można?...

— Mówią, że jój doktorowie zakazali!

Kazio ruszył ramionami niedowierzająco...

— Jest w tém wszystkiém, przysięglbym, jakaś tajemnica, szepnął ledwie dosłyszczanym głosem. Przypatrzyć się jój, to heroina romansu...

— A wiesz, że mama liczy jój lat trzydzieści.

— Bardzo być może...

— Zygmunt przy niej na młokosa wygląda, choć żył i przeżył wiele...

— Ha! ha! cóż na to powie Adela! zaśmiał się jeden z nich...

— Jaka Adela? spytał drugi.

— Jak to! nie wiesz? Ten człowiek wczepku się rodził, by wszelkiego szczęścia kosztował. Wystaw sobie, że najśliczniejsza z solowych tancerek, gwiazda warszawskiego baletu, kochała się w nim do szaleństwa. Nie on w nią, bo w tém nie byłoby nic tak szczególnego, ale ona w nim... Płaciła za niego długie... Chciała się truć, gdy ją zdradzał, i gdyby nie matka, kobieta rozsądna... Mówią, że teraz jeszcze, gdy go zobaczy, wmdłości wpada...

Młodzi panowie poszeptali po cichu, rozśmiali się i zamilkli.

W kołach żeńskich, między starszemi paniami, z pod wachlarzów wyrywały się też uwagi różne...

— Proszę cię, moja prezesowo, mówiła stara kobicina: przypatrzyć się tej naszej nieszczęśliwej gospodyni... co się to z jój malowaną twarzą zrobiło!.. Gdyby ją kto choć przestrzegł... Gorąco i lzy macierzyńskie mappy jój porysowały... okropna. Ale po co udaje młodą, kiedy o rok starsza odemnie!

— Widzisz, jaka ta Olimpia piękna?

— Ale błada aż strach... boję się, by nie zemdlą...

.. — Czy też oni się kochają? wrzuciła trzecia.

— Chłopak ładny... kto wie...

Bardzo ciche, niepochwyczone szepty zakończyły urwaną rozmowę...

Jedna z pań przed nadchodzącą gospodynią zaczęła się unosić nad śliczną nowożeńców parą...

— A kochająż się oni, moja radczyni? powtórzyła ciekawa jejmość.

— Zygmunt traci zmysły, odpowiedziała matka, a moja droga Olimpia choć tego nie daje poznać po sobie, bo bardzo jest dumna, wiele ma dla niego inklinacyi. O! to będzie bardzo szczęśliwe małżeństwo...

— Wszystkie warunki szczęścia, poddała trzpiotowata sędzina: młodość, piękność, zgodność charakterów...

— A tak! tak! śpiesznie rzuciła matka, ocierając twarz i wachlując się silnie.

Olimpia przed obiadem znikła... Nikt się temu nie dziwował, bo po kilkudniowej słabości potrzebowała odpoczynku... Wlokąc za sobą białą swą suknię morową jak kajdany, szła z wolna do swojego pokoju... Zbolalą głowę opierała niekiedy o marmoryzowane ściany pokoiów, aby ją ochłodzić... Powolnym krokiem doszła do progu swojego panieńskiego mieszkania... ledwie siłę miała drzwi sobie otworzyć i zsunęła się na fotel najbliższej stojący...

Widok dziwny przedstawił się jej oczom... Stara panna służąca, która niegdyś towarzyszyła im jeszcze do Drezna, zachodząc się i rycząc z płaczu, pakowała już do podróży to, co wiedziała, że jej drogiej panience milćm być może.

Pocziwa Szafrąńska, w siwych już lokach, z twarzą pomarszczoną, chustką ocierała się i ręce zalamywała. Zobaczywszy swą panię, przy której była

od dzieciństwa, z którą tyle lat cierpiała razem, rzuciła zawiniątko z rąk i padła jęj do kolan... Nie nie mówiąc, zrozumiały się... Szafrąńskięj żal było biednej Olimpii... Obawiała się Zygmunta i przyszłości... Stara sluga, dziś siwa już i złamana, niegdys żywa, zwinna i zalotna, miała wiele bardzo dobrych stron i wad niemalo; za ostatnie placilo jęj serce dla państwa, których kochala szczerze... Zresztą nie trzeba tam było szukać ani logiki w postępowaniu, ani wytrwałości i pomiarkowania w charakterze.

Olimpia widząc ją placzącą, otarła oczy chustką.

— Moja staruszko, rzekła cicho: plakać już nie czas lub jeszcze nie pora... trzeba walczyć z nieprzyjacielem... Do drogi gotowe wszystko, nie prawdaż?..

— A! moja droga pani, gotowe! gotowe... ale ja... ale mnic... ale starą Szafrąńską musicie wziąć, ja od tego nie odstąpię. Mówilam już ze starszą panią... Starsza pani żąda, żebym z nią została .. a ja muszę jechać. Wielka rzecz: on dla pani znajdzie slugę szpiega, zdrajcę, nieprzyjaciółkę... wam trzeba mieć choć w sludze sprzymierzeńca... któż to wie co wypaść może? Ja muszę jechać... nie prawdaż?..

— Ale, moja Szatrańska, jeżeli matka...

— Pani powiesz, że chcesz mnie mieć z sobą, i po wszystkiém... takiego dnia jak dzisiejszy nie się nic odmawia. Przynajmniej jedną mieć będziesz duszę, na którą rachować możesz...

Patrzała jęj w oczy... Olimpia cicho szepnęła:

— Mów z matką, powiedz jęj, że ja tego żądam... dobrze ..

— Jak mi Bóg mily, nie myślcie, żebym to ja czynila z trzpiotowstwa, aby się po świecie pokręcić... na to już siwe mam włosy!.. Wołałabym za piccem

siedzieć tutaj... Ale co to taka podróż z nieznanym człowiekiem, proszę panienki (omyliła się umyślnie), kto może wiedzieć co wypadnie? co on myśli? co on zrobi? Już dziś, paplała, gdy państwo odeszli od ołtarza ręka w ręce, może mi się tego mówić nie godzi, ale czy panienka jemu w oczy kiedy spojrzała? co to za wzrok!... jakby nożem stalowym kto błysnął! Gdyby się kiedy pogniewał, buchnął, zaczerwienił, drgnął... chodź jak machina... Ja się tego człowieka boję, i dla tego chcę być przy pannie. Ja mu nie wierzę. Niech pani nie myśli: „Co tam taka staruszka pomoże?” Nie pierwszyby to raz sługa panią wyratowała.

— Więc jedź, jedź moja droga, rzekła Olimpia. Uczynisz mi wielką przysługę... bądź pewna, że cenić cię umiem...

Rzuciła się do pakunku uradowana Szafrąńska, gdy weszła matka.

— Szafrąńska jedzie ze mną! odezwała się Olimpia. Radczyńni ruszyła ramionami.

— Po co? żeby ci fluksyą i reumatyzmami swemi zawadzała?... I dla niej, i dla ciebie to na nic się nie zdało.

— Przepraszam mamę, choć przez kilka pierwszych miesięcy chcę mieć kogoś przy sobie, komu bym zaufać mogła. Szafrąńska jedzie ze mną.

Matka zmięczała. Zbliżała się godzina obiadu: potrzeba było wyjść do gości i na nowo odgrywać tę rolę pani młodej, na którą się wzdrygała Olimpia. Ciężył jej ten strój godowy, urągający się uczuciu, sercu, które pod niem biło... rada była zerwać ze skroni pomarańczowe kwiaty kłamiąc dziewczycą jej świeżość, gdy się czuła wdową w żalobie; palił ją

naszyjnik piękny, który szambelan złożył jej w podarunku, a który matka włożyła zmusiła...

Gdy się to dzieje w pokoju Olimpi, salon rozlega się wesolą... Jadalna sala przystrojona przepysznie, przedstawia widok pełny wytworności i smaku. Ulegając tylko łatwo odgadnionemu życzeniu córki, rodzice zgodzili się na to, ażeby na wesele całego sąsiedztwa nie spraszać i ograniczyć się małą liczbą wybranych; lecz radca nie odstąpił od tego, aby wszystko odbyło się z jak największym przepychem i okazałością. Dobyto więc z odwiecznych schówek starożytne srebra rodzinne, szkła, porcelany, szafy błyszczące pułkami, roztruchanymi, zlocistymi półmiskami i srebrnymi beczkami. Sam stół uginał się pod ciężarem trzech ogromnych waz, widocznie tylko dla ozdoby wykutych, bo każdą z nich z podstawą dwóch ludzi dźwigać musiało... Pomiędzy nimi bukiety w wazach ze starej porcelany saskiej przepysznie malowanych, kunsztowne płody cukierników i całe szeregi rżniętego szkła, zajmowały stół z końca w koniec, i nie dozwalały widzieć bielizny z herbami domu, niegdyś umyślnie tkaną dla nich na Szlązku. Salę tę zdobiły portrety antenatów w bogatych ramach, a na chórze już mieściła się muzyka, która przygrywać miała do obiadu...

Radca sam jeszcze raz wyszedł obejrzeć, czy wszystko wykonano po jego myśli, i zadowolony obszedł stół, rozpatrując wszystkie szczegóły...

Nie potrzebujemy mówić nawet, że obiad miał być arcydziełem umyślnie przybyłego Francuza, który nie żałował ani wydatku, ani konceptu.

Przy dźwiękach muzyki grającej mendelssohnowski *Hochzeits-Marsch*, weszli wszyscy do jadalni, której

okiennice i firanki osłoniły dzień jeszcze jasny, aby illuminacya wcześniej zapalona lepiej się wydać mogła. Państwo młodzi siedzieli obok siebie w pośrodku stołu, naprzeciw piramidy cukrowej, wystawiającej ogromną grecką świątynię. Zygmunt, który doświadczył szczytu życzeń, mógł być jeżeli nie szczęśliwym, to dumnym. Olimpia błada siadła przy nim, jak skazana na śmierć istota... Okiem zgasłym powiodła nie widząc po sali... niedostrzeżona iza powłokła je mgłą. Szambelan za to, zakładając serwetę pod brodę dla zabezpieczenia swych dekoracyj od sosów, miał minę tryumfatora... Reszta gości, śmiejąc się i rozpatrując w twarzach głównych artystów dramatu zajmowała miejsca... Służący w białych rękawiczkach roznosili już zupełne...

Może być co nudniejszego nad ucztę podobną, ceremonialne jedzenie z obowiązkową rozmową, wśród których ceremonia zawadza jedzeniu, jadło przeszkadza rozmowie, i nie wie się najczęściej ni co się jadło, ani jakie się powiedziało niedorzeczności? Nikt nie uważał pewnie ani się dziwił, że Olimpia nie do ust nie wzięła, że pan młody pił tylko wino, które sobie machinalnie nalewał... kilka razy próbował z cicha odczuwać się do żony, która zwróciła się do niego. Posłuchała, nie zrozumiała snadź i odwróciła się. Z drugiej strony siedział ojciec szambelan, żarłok i smakosz, który czuł się w obowiązku bawić synową, a szatan obżarstwa kusił go na te wszystkie przysmaki, iż dławił się rozmową razem i jedzeniem.

— Jedźcie państwo, kiedy już taki jest powszechny zwyczaj teraz, mówił do Olimpii wdzięcząc się stary,—ale powracajcie rychło... Ja tymczasem dolażę starań, aby urządzić mój drogiój synowej, królo-

wój naszój, jój przyszłą rezydencję — jak naj... jak najwspaniałej... Ja byłbym szczęśliw, gdyby zaszczycając mnie zaufaniem swém, raczyła mi wydać rozkazy jakie... gdyby mną rozporządzić chciała, powiedzieć mi czego pragnie...

Olimpia słuchala go z uwagą — trudno się jój było odezwać. Szambelan ze swą dworacką szczebiotliwością, uśmiechami, łamańcami, obudzał w niój wstręt niewysłowiony... Lecz tyle na nich oczu patrzało! Olimpji nie szło o siebie, wzgardziłaby sądem ludzi; ale nie chciała ojcu zrobić przykrości, i zmusiła się do odpowiedzi.

— Bardzo panu szambelanowi dziękuję, odrzekła po namyśle, z obojętnością znaczącą. Nie przywiązuje najmniejszej wagi do mieszkania, do wygod. Fantazyom staram się bronić.

— A! tak surową dla siebie nie godzi się być! przerwał dworak. Przecież pani coś lubić musi: kwiaty, obrazy... książki...

— Wszystko co piękne cenię... ale nawykłam nie przywiązywać się bardzo do niczego...

Sądziła już, że podany poncz zamrożony, który szambelan pochwycił bardzo lapeczywie, obroni ją od dalszej rozmowy; ale nielitościwy papa ciągnął dalej:

— Szanowna pani lubiła podobno i uprawiała muzykę?... wszak tak?... i lekarze jój wzbronili używać tego talentu dla siebie i dla drugich?... Ja mam nadzieję, że się zdrowie poprawi, i wirtuozka, która zachwycała dwór saski, nam powróci...

Na te wyrazy rumieniec błyskawicą przebiegl po białém licu Olimpji. Z razu nie odpowiedziała nic, westchnęła, potem szepnęła:

— Zupełnie zapomniałam muzyki...

W téj chwili ktoś zainterellował szambelana o wątpliwość genealogiczną. Stary był chodzącym almanachem gotajskim... i począł wnet wywód żądany, co Olimpię na chwilę od niego uwolniło...

Z drugiej strony siedziała przy Zygmuncie radczyni... Tu rozmowa poufna, którą muzyka niepochwyconą czyniła dla dalszych gości, daleko była żywsza.

— Stało się więc! mówiła matka: najgorętsze życzenie moje spełnione, oddaję ci córkę...

— Wiem, że to winien tylko pani... lecz, chciej wierzyć, iż najwyższą do tego cenę przykładam dla tego jedynie, że to mnie do niej przybliża...

Matka spojrzała i westchnęła:

— A! gdyby to była prawda! szepnęła. Olimpia nigdy cię tak kochać nie potrafi jak ja, ani tak cię ocenić. To biedne dziecko zbołałe, zrażone... potrzebuje człowieka z takim taktem i rozumem, z taką jak wy szlachetną delikatnością... Zaklinam was, kochany panie Zygmuncie, postępuj z wielką oględnością; jeden krok fałszywy...

— Ja raczej nie stąpię kroku, niż popełnię fałszywy, odezwał się Zygmunt...

— Nie śpiesz się!... O! gdybym ja mogła jechać z wami...

Zygmunt nic nie odpowiedział.

— Pisz do mnie, mówiła matka—często, otwarcie o wszystkiém... Ja chcę wiedzieć wszystko, wszystko...

Namyślała się trochę, i schylając się do ucha Zygmuntovi, szepnęła:

— Olimpia chciała wziąć z sobą starą sługę, która z nią była od dzieciństwa. Nie mogłam się oprzeć jęj życzeniu—dzisiaj; staraj się jęj pozbyć...

— Lub pozyskać, przerwał Zygmunt.

— O! to jest niepodobieństwem!

Toast wzniesiony przez pana prezesa na cześć państwa młodych ze stosowną, przygotowaną przemówką, po której muzyką huczną odezwała się fanfara, a goście okrzykiem, przerwał rozmowę matki z zięciem... Olimpia drżąc ręką ujęła kielich, podniosła się nieco blada... martwa, bez uśmiechu nawet na ustach... powiodła okiem po twarzach i siadła. Zygmunt wychylił swój kielich do dna...

W miarę jak butelki się wypróżniały, duch z nich przechodził w gości, którzy z zarumienionemi twarzami gwarzyli coraz głośniej, coraz weselej. Szambelan opowiadał sąsiadowi anegdotki, których głośno nie śmiałyby był powtórzyć... Zygmunt o najgorętszym swém przywiązaniu i wdzięczności zaręczał matkę... Olimpii myśl tonęła gdzieś w siniej oddali wspomnień, może u progu téj chatki, w której stały dwie trumny kwiatów pełne.. Nigdy smutniejszej panny młodej nie widział nikt z tych gości, którzy na nią ciękawo rzucali wejrzenia...

Prezes, który miał przy sobie sędziego, starego przyjaciela od serca, po kieliszku jednym i drugim węgryzna, zasłoniwszy się ręką, rzucił mu w ucho:

— To nie tajna, mości dobrodzieju, że pannę matka do tego skłoniła... żeby Jezusowych łatek w wianku nie doczekała... ale wygląda też jakby ją na stos prowadzono... Piękna panna, ano ja panu Zygmuntowi nie zazdroszczę! Znać, że to tam z tą śliczną heroiną nie będzie życie łatwe. Co?..

Na to pytanie sędzia, ogryzający skrzydło kuropaty, rzekł cicho:

— Jakoś to będzie! zachciełście... nawykną do siebie... obędą się z sobą, przyzwyczają, i wyrobi

się *modus vivendi*. Zygmunt ma minę człowieka z wielkim taktem.

— O! o! nie przeczę, odezwał się prezes, znać po nim, że kuty, ale kiedyż to, koehany sędzio, mężczyzna kobietę zwycięży?

— To go weźmie pod pantofel! rozśmiał się sędzia: a ma do tego prawo, boć ona w domu pani... Cóż on jój przynosi, a co ona jemu?! he?

— Chyba, że była chora... teraz chorobie wierzę, szeptał prezes: wygląda jak z krzyża zdjęta...

— I nie dziwuję się: małżeństwo to przecież ostatnia lotcrya. Jak się na niém stawkę przegra, pozostaje tylko modlić się do św. Józefa, patrona dobrej śmierci.

— No, dosyć jnż... a to śliczną prowadzimy rozmowę przy weselnym stole... cha! cha!

Trącili się kieliszkami starzy przyjaciele:

— Żeby się nam dobrze działo!..

— Kochajmy się!...

Pito zdrowia po zdrowiach. Uczta przedłużała się, półmiski nieprzeliczone następowały po sobie. Szambelan jadł, jadł, jadł—zaczynając boleć, że może najlepszych rzeczy w końcu już, przy najlepszej chęci laknąć nie będzie mógł... Niestety! żołądek jego nie odpowiadał chęciom.

Muzyka grała Straussów i Labitzkich... Olimpia zdawała się z niecierpliwością oczekiwać końca tego nieznośnego obiadu...

Zygmunt, który dotąd nie miał czasu i sposobności spytać nawet o rozkazy żony na podróż, idąc za podszeptami matki, pochylił się nieco ku Olimpji z zagadnieniem:

— Jedziemy do Szwajcaryi?

Spojrzała nań, jakby nie rozumiejąc.

— Sądziłem, że Genewa przypadnie pani naj-
lepiej...

— Wszystko mi jedno...

— Możeby było życzeniem jćj gdzie spocząć?

— Zatrzymamy się dzień w Berlinie, jestem chora.

Zygmunt skłonił głowę i zmilezał. Wtém Olimpia
sama zwróciła się do niego żywo:

— Spodziewam się, rzekła, iż rozporządzenie po-
drożą przy mnie zostanie. Chcę być swobodną tak
w tém, jak w innych rzeczach... Wiesz pan warun-
ki... Ja posłuszeństwa nie przysięgłam... a pewną
względność zachowam, choćby dla oczu ludzi...

I nie czekając odpowiedzi, zwróciła się w drugą
stronę.

Zygmunt zbladł. Ścierpiał jednak tę zapowiedź,
która rolę jego ograniczała do marszałkowstwa dwor-
u... Zdawało mu się, że to się później da zmienić...

Wśród dźwięków drugiego marsza uroczystego,
goście od stołu wstali nareszcie. Zygmunt podał re-
kę téj, która się nazywała jego żoną, i przeszli do
rzęsiście oświetlonych salonów, w których już czarna
kawa i likwory oczekiwały.

O tańcach nie mogło być mowy, panien było tyl-
ko kilka, a choć kawalerowie i one bardzo sobie ży-
czyły zaimprovizować choćby mazura... w powietrzu,
nie było zachęty do tańca. Smutna twarz Olimpii,
matki, poważny wyraz pana młodego, który się tłó-
maczył troskliwością jego o zdrowie najdroższej isto-
ty, nie uspasabiały do tańców. Starsi mężczyźni za-
czeli się wysuwać do pokoju, w którym ich cygara
czekały.

Pociąg, który miał zabrać z sobą państwa młodych, odchodził ze stacyi po północy. Dwie mile drogi dzieliły Zabrzezie od miasteczka, do którego przodem już wyprawiono kufry i ludzi dla zajęcia osobnego coupé pierwszej klasy... Zygmunt miał czas przestrzedz, ażeby biletów dalej niż do Berlina nie brano...

Przed stacyami przygotowywały się już powozy, pochodnie, które konni masztalerze nieść mieli, i wszystko co było potrzebne do drogi. Szambelan jednak nie odstąpił od cukrowej kolacyi, która z herbatą razem w sali na dole miała być podana. Zaiste zachwalstwem było chcieć walczyć z panem radcą o wystawne przyjęcie, ale sprowadzono massy cukrów z Paryża, lakoci i win, i elegancją najświeższą starano się przepych zastąpić... Wprzód jednak, nim na dole ostatnie miano wychylić kielichy szampana i musujących burgundów, Olimpia poszła się przebrać do podróży, której w stroju ślubnym odbywać nie mogła. Matka w obawie, aby się strojem jakim nie zdradziła, pobiegła za nią. Potrzeba było prośb, zaklęć i modłów, aby ją skłonić do trochę staranniejszego ubrania... Milcząca, zmęczona dała się wreszcie przebrać, nie wiedząc prawie co kładła na siebie.

Ostatni raz rzucając okiem Izawém na te pokoiki swe, w których tyle lat przebolala, do których ścian przyległy jej dumania, myśli i sny gorączkowe, Olimpia rozplakała się... serce jej zamknięte dla matki od dawna otworzyło się... Nagle rzuciła się jej na szyję, lkając i jęcząc:

— Matko moja! zawołała: chciałaś dla mnie szczęścia wedle świata, wedle pospolitego ludzi

pojęcia o niém, przebaczam ci... aleś mnie pchnęła na mękę!...

— Olimpko! uspokój się na Boga!... ten człowiek...

— O! ja go znam teraz, tego człowieka, który cię złudzić potrafił, przerwała córka. Ja go znam lepiej niż wy wszyscy... Stało się... matko kochana! bądź moim obrońcą; jeżeli w tém życiu głowa mi się zawróci, jeśli oszaleję... nie potępiaj mnie!... Ciemna przyszłość, ja jej rozeznac nie mogę, ja za nic nie ręczę, ja za siebie nie ręczę...

— Olimpko droga! Olimpko!... Ten człowiek przysiągł uroczystie, że będzie dla ciebie najwyrozumiałszym, pierwszym twym sługą. On cię kocha... dała ciszej.

Śmiech dziki, przerażający powitał te wyrazy.

— On mnie kocha! ach!... on mnie kocha!... ale ja go nienawidzę! Byłam skazana na milczenie, on mnie skazuje na kłamstwo! Jego żoną! on mnie będzie mieć prawo nazywać żoną?

I rzuciła się znowu matce na szyję.

— Nie prawdaż? jestem szaloną? przebacz mi! o! przebacz mi... nie chcę ciebie obwiniać, nie chcę przypominać, lecz któż winien, że Olimpia jest wdową?... Byłam dzieckiem... żyć mi kazalaś w atmosferze parnej, która serce rozkołysała. Sądziłam wówczas, że miłość nie jest wymysłem, że ona rzeczywiście i celem... że to nie poetów szyderstwo, ale boże przeznaczenie... Zapomnijmy, matko moja, i tyś biedna... i ciebie życie zawiodło sto razy, i ty nie byłaś szczęśliwą...

Już w podwórzu słychać było klaskanie z batów, gdy obie splakane, matka i córka, otarłszy łzy z powiek, schodzić zaczęły, gdzie już tylko na nie czeka-

no. W ganku stały tace i kielichy strzemienne, całe towarzystwo śmiało się i gwarzyło... jeden radca miał łzy w oczach...

Zbliżył się do córki, która szła ku niemu, przyklękla, schyliła głowę, od niego jednego chciała wziąć błogosławieństwo, choć wiedziała, że ono jęj biednej przynieść szczęścia nie może. Żądała go nie dla siebie, lecz dla niego, dla tego ojca, który nie wiedział przeszłości, nie domyślał się tragedji jęj serca, i mógł potem usnąć spokojnie z myślą, że przez dłoń ojcowskie Bóg zlewa promień swęj łaski na dzieci!.. Starzec zę swą twarzą smutną, ale spokojną, stał przed nią, uchwycił jęj pochyloną głowę w dłoń drżącą i szeptał modlitewkę:

— Dziecię moje!... Bóg Abrahamów, Izaaków i Jakóbów... Błogosławieństwo Przedwiecznego niech będzie z wami na każdym kroku drogi żywota!..

Zualazł się i Zygmunt po to błogosławieństwo i przyklękl obok Olimpii... Nikt nie widział, jak uczuwszy go zbliżającego się, drgnęła i podniosła się, unikając otarcia, dotknięcia do wzgardzonej istoty...

A tu wtórzyli goście, gromady, dwór, czeladź, służba:

— Niech żyją! niech żyją!

Powóz bukietami zarzucony, z kołmi niecierpliwie deptającymi, stał już przed gankiem. Służba jeszcze raz chcąc się zbliżyć do swęj pani, zachodziła jęj drogę, chwytając ręce, całując szaty, bo Olimpia jak anioł była dobrą i broniła wszystkich, i w niebezpieczeństwie a frasunku endzym ratowała jakby braterską boleść. Słychać było płacz i łkanie... Siadano do powozów... Latarnie i pochodnie rzucały smugami światła na ten uroczysty pochód, który gdyby nie

śmiecchy i kwiaty, pogrzebby może przypominał. Na dany znak ruszyło się wszystko z przed ganku, na którego balkonie muzyka znów grała marsza. Cały dziedziniec, klomby, aleje oświetlone były lampami kolorowemi... Noc letnia, jasna, gwiaździsta, na której tle massami malowały się stare drzewa gdzieś niegdyś jaskrawym oblane blaskiem,— zdawała się umyślnie wybrana, aby obrazu dopełnić. Przed oczyma Olimpii mignął kościółek, w którym się tyle razy modliła... i lipy ją żegnały znajome, i krzyż z cieniową koroną na połu... a potem nie widziała już nic... Obok niej milezący siedział Zygmunt, nie śmiejąc przerywać zadumania. Naprzeciwko owinięta w płaszczyk Szafrńska plakala. Ta nocna podróż do stacyi mignęła jak chwila... Żegnali ją tu jeszcze, ale opóźnienie do pociągu i nieublagany despotyzm kolei, skrócił tę scenę ostatnią.. Otworzono drzwi wagonu pierwszej klasy. Olimpia wbiegła, Zygmunt i Szafrńska ledwie czas mieli usiąść, gdy świst lokomotywy zapowiedział ruch jej, i pociąg wśród okrzyków a wiwatów dźwignął się rozkołysany coraz chyżej, coraz chyżej, w nieznane światy...

Genewa, jak wiele innych miast w Europie, które nie mają innego do życia wątku, wyglądała cała na wielką gospodę. W pewnych porach roku, gdyby jej odjąć cudzoziemców, cożby zostało? kilku zegarmistrzów i puste ulice... Nie jest to miasto ani francuzkie, ani włoskie, ani niemieckie, wszystkiego w niem po trosze. Godzi się tu z sobą, co żyje... a kto ma wiele pieniędzy, może wygodnie chwile życia przebalamucić, przeziwać, patrząc, jak czasem odłożony Mont-Blanc karmazynowym płaszczem się odziewa, słuchając jak jezioro mruczy...

Grand Hôtel de Bergues, może nie wstydząc się i bez wielkiego wysiłku, choćby książąt udzielnych przyjmować, ustaloną ma sławę, i nie troszcząc się o nią, każe jeść jak podadzą, a płacić jak mu się podoba. Tu jednego wieczoru letniego, powóz obladowany kuframi przywiózł młodą panię, zmęczoną i bladą, ze starą służącą... Za nim szedł drugi fiaker, w którym siedział rozparty, znudzony, kwaśny mężczyzna, młody, w towarzystwie jednego tłomoka i torby podróżnej. Oba powozy zatrzymały się przed hotelem, portyer uderzył w dzwonek, pierwszy kelner we fraku, z włosami misternie na łysiejącej głowie podzielonemi, stawił się u wrót, i rozpoczęły się układy o mieszkanie. Sama pani nakazała dla siebie pokoje dwa z salonikiem dać na pierwszym piętrze. Nadechodzący młody pan zażądał obok pokoju. Na nieszczęście nie było stosownego, o co pani nie musiała się troszczyć wcale, bo nawet nie spojrzała i nie przemówiła do tego jegomości, który zdawał się być jednak jej towarzyszem podróży... Pani i służąca objęły natychmiast we władanie salon, z którego balkoniku kelner ukazał widok na jezioro i góry. Jegomość ów z torbą i kufrem zmuszony był powędrować na drugie piętro.

. Oberkelner, znakomity znawca ludzi i charakterów, z pierwszego wejrzenia na młodego pana, nie mógł wszakże tak dalece wywnioskować nic o stosunku jego towarzyskim, iż uciekł się do trywialnego nader środka i przyniósł książkę meldunkową, prosząc o zapisanie nazwiska. Zdziwiony był nawet trochę zobaczywszy w niej potem barona i baronową Wręby Dobińskich, jako męża i żonę. Prędzejby się był z razu każdego innego pokrewieństwa domyślał.

Przybywszy, baronowa zażądała dla siebie herbaty. Na zapytanie: czy ją mieć chce na dwie osoby? służąca odpowiedziała, że pan baron pić ją będzie u siebie, bo pani chora potrzebuje odpoczynku. Jakóż baron został w swym pokoju na górze... Z razu padł, porozpinawszy się na kanapę, zapalił cygaro, zadumał się, potem jął się przechadzać żywo, a twarz miał jak noc pochmurną. Na przemiany zaciskał usta gwałtownie i ziewał nieprzyzwoicie. Zdziwił się nieco, gdy mu przyniesiono herbatę, o którą nie prosił. Zżymnął się, ale zasiadł do niej, nie mówiąc słowa. Kelner, który ją podawał, począł się domyslać bardzo ucziwie, że pani musiała być słabą, i że dla tego mąż jest w takim fatalnym humorze. Spodziewał się nawet, że go spytają o doktora, ale gość nie spytał o nic; żuł jakąś biedę i chodził.

Był to, jak widzicie szczęśliwy małżonek Olimpii, któremu cała prowincya zazdrościła tego ożenienia... tak świetnego! Niktby po nim nie poznał, że tak był szczęśliwy.

Wypiwszy herbatę, wypaliwszy cygaro, popatrzywszy przez okno na uspokojone jezioro, Zygmunt zobaczy na zegarku, że wcale jeszcze nie było późno. Wieczór był piękny, samotność go nudziła, przebrał się więc na prędko i zszedł na pierwsze piętro. Przechodząc około pokoiów żony zapukał, po chwili wyszła z siwą roztarganą głową i bardzo poważną miną Szafrąńska.

— Co pani robi?

— Pani potrzebowała odpoczynku... i zamówiła kąpiel... Niemożna się z nią widzieć.

To mówiąc Szafrąńska stała w progu jakby wnijsia bronić miała, trzymając za klamkę. Zygmunt zmierzył ją oczyma gniewnymi oś stop do głowy.

— Proszę pani powiedzieć, że wychodzę na miasto... rzekł nakładając rękawiczki.

Na to służąca nie odpowiedziała nic, ale wyraz jej twarzy zdawał się mówić: „Z panem Bogiem! nie nas to nie obchodzi.”

Szafrąńska zatrzymała się, dopóki go nie zobaczyła na dole, i weszła nazad do pokoju, na klucz drzwi zamykając za sobą.

Olimpia siedziała w oknie na pół rozebrana, Szafrąńska gotowała dla niej herbatę. Miała w ręku jakąś książkę w podróży jeszcze rozpoczętą, ale jej nie czytała; oczy błądziły po pięknym krajobrazie... Błada jej piękna twarz, od czasu wyjazdu z Zabrzezia i owego ślubnego wieczoru, wymizerniała jeszcze. Oczy opasywała ciemna jakaś jakby plama, usta zbierały, policzki zapadły, głęboki smutek i znużenie malowały się w rysach. Nie mogła się skarżyć na Zygmunta, lecz sama jego nieodstępna przytomność jej ciążyła. Mówili do siebie tylko tyle, ile konieczność wymagała. W bardzo wielu wypadkach Olimpia za pośredniczkę używała Szafrąnskiej, która przenosiła wolę pani i zgodzenie się posłusznego małżonka. Dotąd bowiem greczny i posłuszny nie sprzeciwiał się w niczem, nabijał jak najmniej, milczał i starał się dać o sobie zapomnieć. A jednak ile razy oko Olimpii choć przypadkiem padło na niego, odwracała się z obrzydzeniem i wstrętem i jakby jakąś obawą. Sama nie przemówiła do niego ani razu; grzeczne posługi przyjmowała w milczeniu, unikając o ile możności wywołania ich i następczenia sposobności zbliżenia się. Zaraz w Berlinie prosiła o osobne mieszkanie. Zygmunt przyszedł na rozmowę, lecz znalazłszy ją milczącą upornie i odmawiającą odpo-

wiedzi, musiał ustąpić. Zdawało mu się, że droga dalsza nastręczy sposobność zbliżyć się, że pierwsze chwile tęsknoty, obawy przejdą, że samotność ją znuży. w ciągu jednak podróży nie zmieniło się nic. Olimpia patrzała w okno, czytała, odpowiadała głowami skinieniem, w najgorszym razie wyręczała się Szafrąską, i tak dojechali do Genewy, a Zygmunt nie mógł się pochlubić, ażeby choć na krok dalej postąpił. Nie naraził się, nie popsuł nic, lecz też i nie naprawił. To życie, przedłużone do nieskończoności, zdawało mu się nie do wytrzymania. Szło o to jak wyjść z tego położenia? co począć?

Wybiegłszy z hotelu, Zygmunt, który niegdyś znalazł Genewę, poszedł wybrzeżem nad jeziorem, zbierając myśli i tworząc plany... Co miał począć? Czekać, aż Olimpia sama zlitowawszy się nad nim wyciągnie mu dłoń, było trudno; złamać pierwsze lody otwartą rozmową, mogło niewiele pomódz, a bardzo zaszkodzić; zdać się na losy?... Wahał się tak i wahał, starając obrachować następstwa wedle danych, jakie mu nastręczał charakter Olimpii, ale do żadnego postanowienia nie przyszedł. Położenie jego było upiarkające, nawet w oczach znajomych ludzi, bo stosunek zimny państwa młodych musiał być w oczy wszystkich...

Machinalnie tak przechadzając się bez planu, wszedł na wysepkę Russa i usiadł na ławce. Tu gwaru było dosyć i wiele osób przechadzających się. Wieczór dosyć gorący zwabiał na lody... Zygmunt zapalił cygaro, i nie zważając na sąsiedztwo, zadumał się tak, iż nie widział otaczających go osób. Pograżony w téj zadumie, musiał rozpaczliwą fizyognomią zwracać wejrzenia przechodniów, bo mu z kolei kil-

ka osób mocno się przypatrywało... Jedna szczególnie pani, młoda jeszcze, wcale ładna, niewielkiego wzrostu, okrągłutka blondynka, dobyła lornetki, popatrzła na niego, przetarła ją, zbliżyła się, przeszła raz i drugi, narreszcie stanęła uparcie zatapiając wzrok w Zygmuncie, jak gdyby własnym oczom wierzyć nie chciała, że go tu spotyka...

Zygmunt jakby jej nie widział, nie dał znaku życia... Zatopiony był w planach zdobycia serca i łask żony... Była to dla niego kwestya życia lub śmierci.

Blondynka z niebieskimi mocno wystającymi ładnymi oczyma, choć już niepiękną młodości, świeża była i wyglądała pociągawie, pociągawo. W ruchach, w wyrazie twarzy znać było trzpiota, filuta, kobiecość spragnioną miłości, której życie nie poprawiło. Wielki znawca ludzkiej natury domyśliłby się patrząc na nią wielu, wielu przygód, chociaż śladu po nich nie zostało na tej pełnej twarzy, na białych ramionach i błyszczących oczach ciekawych. Natura nie dała jej majestatycznej postaci, ani posagowych kształtów, odmówiła klasycznych form, lecz troskliwa matka obdarzyła ją za to wielką uroczą, kołorytą wiecznej młodości, białością i rumieńcem piętnastoletnim, nóżką dziecięcą, rączką aniołka, i krągłymi ramionami, i uśmiechem wyzywającym, i ustami jak dwa listki różane. Znać też było, że w tej figurce zwinnej mieszkała dusza niecierpliwa, pełna fantazyi, ognia pełna, i dowcipki szyderskiej, i ciekawość wszelkiego złego...

Jakim sposobem tak nęcąca osóbką mogła wieczorem sama jedna przechadzać się po wysepce, nie wlokąc za sobą adoratorów, było niewytłómaczone.

Z ubioru znać w niej było jedno z dwojga: albo rozrzną Paryżankę bez jutra, która nie mając koszulki knpuje koronki, lub wielką panią nawykłą do zbytku... Strój był na pozór skromny, lecz kosztowny i wytworny, a w nim najmniejszy szczegół zdradzał rozpieszczone stworzenie, które nie znosi nic pospolitego, nic trywialnego, nic bezmyślnie dosztukowanego. Zaczawszy od torebki u pasa, aż do rękawiczek, parasolika, trzewiczków, wszystko było od najpierwszych artystów, drogie, wykończone, kapryśne, dobrane i śliczne.

Jakim sposobem Zygmunt mógł tego motylka uwiłającego mu się przed samemi oczyma nie zobaczyć, byłoby niewytłómaczoném, gdyby mąż pani Olimpji nie znajdował się w położeniu, które wszystko uniewinnia i tłómaczy. Piękna kobieta w końcu zdawała się obrażoną tą ślepotą, i zbliżyła się już wprost nachodząc do zadumanego.

Z uśmiechem przystąpiła do niego i zawołała:

— Mr. Sigismond! Mr. Sigismond! budzę pana! w jakim kolorze? Co panu jest?

Jakby od postrzału zerwał się dopiero Zygmunt, wstał, wlepił oczy i niezmiernie zdziwiony, wykrzyknął:

— Pani tu?

— *En chair et os!* i sama jedna, i znudzona, i chora! Od godziny studyuję pana i nie mogę zrozumieć... Wszakżeś się pan ożenił... to wiadomo całej Europie! Z dziennika poznańskiego powtórzyły tę wiadomość niemieckie... najbogatsza w Księztwie dziedziczka... I ożeniwszy się, jak w bajce z zaczarowaną księżniczką, siedzisz tu sam jeden na ławce z cygarem, jak człowiek zrozpaczony, który szuka grubej gałęzi, aby się na nią obwiesił.

Zygmunt stał jak obwiniony, nie wiedział jeszcze co odpowie, a różowy mlynek pięknych ustek nie ustawał pyłować:

— Cóż pan tu robisz? sam jeden! osierocony, stęskniony! gdzież moja Olimpka? A! jabym tak bardzo widzieć ją pragnęła... Wszak pan mnsiałeś choć słyszeć o tém, że myśmy kilka lat razem spędziły w Dreźnie, że jesteśmy prawie rówieśnice... tylko ja biedna o lat dziesięć — *pardon! mais c'est comme cela*, poszłam wprzód za męża, rozwiodłam się, spróbowałam pójść drugi raz, i mąż mi umarł... i jestem wdową już, gdy ona dopiero rozpoczyna żywot jako młoda mężatka... Ale mówże pan...

Zygmunt dotąd przy najlepszej chęci z trudnością by był mógł słówko wycisnąć, bo piękna pani mówiła bez wytchnienia:

— Jakież to szczęście dla mnie, że ja tu panią spotykam! odezwał się wreszcie, podając jęj rękę i nastrajając twarz, aby kłamała. Myśmy tn dopiero przed parą godzin przybyli... Olimpia jest zmęczona drogą i trochę chora.

— A! już chora! a pan nie siedzisz przy choréj i włóczysz się po wyspach... to niegodziwie! Pan w kilkanaście dni (nie wiem czy i tyle upłynęło po ślubie?) powinienes stać u progu, klęczeć u jęj łoża...

— Olimpia potrzebuje spoczynku i samotności!

To mówiąc spuścił oczy, piękna pani podniosła je i wlepiła w niego ironiczne wejrzenie.

— Dajże mi pan rękę, przecież to nie będzie grzechem przejść się z przyjaciółką serdeczną żony, bo należy wiedzieć panu, żeśmy były jak dwie siostry z sobą. Ja bez nięj, ona beze mnie obejść się nie mogła. Im większa między nami różnica charak-

terów, tém lepiej godziliśmy się z sobą. Ona milcząca, mnie się usta nie zamykają... zważ jak to dla mnie było szczęśliwie...

To mówiąc, pochwycawszy rękę Zygmunta, pociągnęła z sobą na brzeg jeziora, wzdłuż rodańskiego wybrzeża.

— Przejdziemy się trochę, powietrze teraz zaczyna być znośniejsze... Pan mi opowiesz wszystko... Ale najprzód, gdzieżecie stanęli, bo ja dziś jeszcze tę kochaną Olimpę widzieć i uściskać muszę!...

— *Hôtel de Bergues!*

— Ale to i ja tam stoję! Co to jest przeznaczenie! A! jakże mnie to cieszy! już miałam znudzona jechać dalej, bom sama, wystaw sobie, wożę tylko koczodana Angielkę jakąś, żeby mieć parawanik od natrętów... ale to mi nie zawadza... robię co chcę. Mówże pan, jak to było... ja dwa lata nie byłam w kraju... nie wiem, tylko to, żeś się pan z nią ożenił. Cóż to? czy konwenanse?

Wystrzeliwszy mu tak w same piersi pytaniem zuchwałém, hrabina Klara, widząc minę zakłopotaną Zygmunta, zaczęła się śmiać.

— A, przepraszam! poprawiła się przypatrując mu się złośliwie: *je suis d'une indiscretion!* Ale, widzisz pan, mam do tego trochę prawa. Pan dwa tygodnie kochałeś się we mnie za życia nieboszczyka męża, a z Olimpią jesteśmy koleżankami... więc jesteśmy w domu ze swymi, nieobcy, i mogę się pytać bez ceremonii...

Zygmunt dziwnie zmieszany uśmiechał się przymuszoną wesołością.

— Cóż bo ci jest panie Zygmonic? zapytała hrabina Klara: albo cię tak małżeństwo nagle zmieniło

w bardzo krótkim przeciągu czasu, lub są w niém tajemnice, których lękaś się odkryć przedemną?

— Tajemnic nie ma w tém żadnych, odezwał się nareszcie Zygmunt: pani dwa razy przechodziła przez nowicyat stanu małżeńskiego, który się zowie tak niesłusznie miodowym miesiącem, znasz więc lepiej niż inni, że te chwile przedmowy do pożycia są trudne i nudne. Otoż my właśnie stajemy w tym prog...

— Tak, z którego się ludzie często na wieki rozchodzą nadąsani, dodała hr. Klara: o! wiem bardzo dobrze! Widzę jednak, że mnie chcesz zbyć ogólnikami... *à la bonne heure*, nie będę cię więc pytała o nic, dowiem się wszystkiego od Olimpki. I może to być przyzwoitszém a łatwiejszém niż badać pana...

Zygmunt zdawał się namyślać głęboko, a hrabina dawała mu czas do postanowienia co miał począć. Szli z wolna brzegiem jeziora. Ponury wyraz twarzy Zygmunta, bądź co bądź w nowożeńcen niezwyklejny, którego on pozbyć się nie mógł, widocznie intrygował hrabinę. W téj chwili małżonek pięknej Olimpki strwożony myślał o jednym tylko: czy towarzyszka i przyjaciółka jego żony wiedziała o wielkiej tajemnicy, którą on rad był ukryć przed całym światem? Hrabina czytając w twarzy zakłopotanie, przypisywała je położeniu Zygmunta, którego się z charakterem Olimpki domyślała.

— Bądź pan spokojny, rzekła z cicha: nie chcę go męczyć więcej pytaniami niewłaściwemi. Mówmy o rzeczach obojętnych... Długo zabawicie w Genewie? Czy jedziecie ztąd do Włoch? kiedy? jak?

— Prawdopodobnie, wypocząwszy tu nieco, odezwał się Zygmunt. Zależy to zupełnie od Olimpki, do której woli ja się zastosuję. Ona nic jeszcze nie postanowiła.

— A! doprawdy... szczęśliwąbym była do was się przyczepić. Ja mogę jechać, dokąd mi się podoba. Olimpię kocham... nudzę się sama z Angielką moją... a mogłabym być młodemu małżeństwu radami mojemu użyteczną.

Zygmunt z trwogą jakąś spojrział na nią; rozśmiała się, pokazując białe ząbki...

— Nie bój się pan! podchwyciła: nie przerwę wam upragnionego *tête à tête*! Chciałam tylko pana nastraszyć za jego uparte milezenie... A teraz chodźmy do hotelu.. Ludzie gotowiby nas wziąć za parę czułych kochanków szukających mroku, aby ich skrył od oczu zazdrosnych... i moja reputacya byłaby w oczach Szwajcarów na szwank narażoną...

Zaczęła się śmiać. Zygmunt milezał. Cały przejęty swém położeniem obrachowywał właśnie, czy to spotkanie dla niego korzystne, czy niebezpieczne być może?... W tym nowym dla niego świecie, wśród którego się obracał, i to było dla niego zagadką. Zdawało mu się wszakże, iż przytomność osoby obcej a poufalej, mogła Olimpię wyprowadzić z tego stanu apatii i smutku, w jakim była od wyjazdu z domu. Roztargnienie, wstrząśnienie, przymus do wejścia w świat i wyjścia na świat, mogły na nią oddziaływać zbawiennie.

Odezwał się więc zwracając do swój towarzyszek:

— Przyznam się hrabinie, że choć taki milezący i nudny, w tej chwili jestem niewymownie szczęśliwy, a to z jej łaski...

— *Par exemple?* zapytała zdziwiona.

— Olimpia tyle lat przeżywszy w domu, tęskni po ojcu, po rodzicach, po Zabrzeziu, a ja nie umiem

rozerwać jęj i zabawić, dodał Zygmunt. Myślę, że pani przyjdiesz mi w pomoc miłosiernie... a daleko łatwiej będzie jęj to wykonać niżeli mnie, obawiającem się narazić w najmniejszej rzeczy... O nie tak nie proszę, jak żebyś ją pani rozbawić, wyciągnąć z domu, zmusić raczyła do wyjścia z tęg tęsknej apatyi!

— A! przyznam się panu, że jeśli pan tego nie mogłeś dokazać!... przerwała hrabina Klara.

— Czyż pani nie widzisz swojej wyższości nad mną?...

Blondynka słuchała, odgadywała, i uśmiechnąwszy się, rzekła w końcu:

— Chcę być pańskim pomocnikiem w dobrej sprawie, ale głównokommanderującym nie mogę. Olimpia za długo się samotnością dobrowolną męczyła, życie to stało się dla niej nalogiem... Z nalogów nawet do szczęścia wychodzi się powoli... Jestże w istocie chorą?

— Jest stęsknioną i zmęczoną...

— A! to ją rozbawimy... Chodźmy tylko prędko... i spuść się pan na mnie, że tę drogą przyjaciółkę będąc się starała ożywić... Młodość jęj niebardzo była szczęśliwą... Przyznam się, że przyczyniłem się do tego... ale... zobaczymy... *j'ai la meilleure volonté du monde...*

Stanęli w progu hotelu.

— Prowadź mnie pan do niej! odezwiała się hrabina..

Zygmunt trochę się zmieszał.

— Jak to? dzisiaj? teraz? Zdaje mi się, że chciała być samą i nikogo nie przyjmując...

— To nic, *je serais sa garde-malade...*

To mówiąc, wyrwała rękę hrabina, zapytała o numer, i skinieniem głowy pożegnawszy Zygmunta, pobiegła do drzwi Olimpii.

Właśnie gaz zapalano w ciemniejących korytarzach, gdy zapukała do drzwi... Szafrńska wyszła z miną nasrożoną Cerbera pilnującego progu od napści mężowskich, lecz wpatrzywszy się w uśmiechniętą, mało zmienioną, a z Drezna sobie jeszcze znaną twarz hrabiny Klary, krzyknęła chwytając ją za rękę...

— A! to Pan Bóg tu ja zesłał! a! to dla nas szczęście prawdziwe! Cóż panna Klara tu robi?

Przez zapomnienie nazwała ją panną jak dawniej. Usłyszawszy tę „pannę,” hrabina rozpoczęła od serdecznego śmiechu.

— Szafrńsiu droga, od tego czasu miałam dwóch mężów, a kochających się kopami... Puszczaj mnie... gdzie twoja pani! niech ją uścisnę...

I wbiegła jak burza szukając Olimpii, która byłaby jej o zmroku nie poznała, gdyby nie głos.

— Klarcia? ty tutaj?...

— Olimpio moja!

I rzuciły się sobie na szyję. Szafrńska zapalała świece co prędzej, uszczęśliwiona.

— O! jakżem szczęśliwa! zawołała Olimpia: jakżem szczęśliwa!..

— Ty?... to nie! masz zapas szczęścia w domu, to tylko maleńka przyjemnostka; ale ja wdowa, samotnica... tyś dla mnie prawdziwem wybawieniem... Chciałam się truć z nudów lub jakie wielkie głupstwo zrobić, aby się potem martwić a nie nudzić... Nuda to powolna trucizna... jak zasądzenie przykra...

Mówiąc to przypatrywała się Olimpii z uwagą wielką, i przestrach jakiś a zdziwienie małowało się na jój twarzy...

— Chodź tu bliżej do światła, rzekła prowadząc Olimpię i pilno w oczy jój zaglądając. Tyś okropnie, okropnie zmizerniała! tyś doprawdy chora!...

Olimpia smutno się uśmiechnęła i szepnęła głosem prawie niedosłyszonym:

— O! nie... tylko... tylko tak jestem szczęśliwa...

Hrabina przerażona puściła jój rękę. Zamilkła, i obejrawszy się na kręcącą Szafrąską, dała znać ruchem, że na dalszą rozmowę poczeka. Stara sługa snadź domyśliwszy się, że przyjaciółkom może być zawada, spytała czy hrabina nie żąda herbaty? i zabierała się do wyjścia. Pani Klarze nie potrzebniejszém nie było nad wyjaśnienie położenia, wyrzekła się z chęcią herbaty i podziękowała za nią. Zygmunt zamyślenie, smutek i wynędzniała twarz Olimpii napęłniały ją ciekawością gorączkową.

— Moje serce drogie! chwytając za obie ręce przyjaciółkę i gwałtem sadząc ją w fotelu naprzeciw siebie, poczęła hrabina: siadaj... boję się, żeby ci się słabo nie zrobiło, wyglądasz tak mizerna, jakbyś nie od ołtarza, ale z choroby powstała...

Olimpia spuszczone miała oczy... Słowo nie mogło jój się dobyć z piersi. Z tą trzpiotowatą, ale dobrą i kochającą Klarą, były niegdyś jak dwie siostry. Ta przyjaźń dotrwała aż do chwili wielkiej katastrofy... Klarę rodzice właśnie wywieźli z Drezna, aby ją wkrótce potem wydać za mąż. Nie widziały się już później, tylko gdy hrabina nie mogąc wyżyć z pierwszym mężem, szła do rozwodu... Spotykały się rzadko, bo Klara kręciła się po świecie, a tak była

sobą, swém nieszczęśliwém sercem, swemi przygody zajęta, że los Olimpii, o którym wiedziała, został dla niej zagadką.. Domyślała się łatwo, iż rodzice może mimowoli wydają ją za Zygmunta, którego aż nadto dobrze знаła, a raczćj przeczuła i nie miała dla niego wielkiego szacunku; cała jednak ta historia Olimpii, budząca w niej wielką sympatyę, była jćj obcą.

— Mój aniele drogi! dodała żwawo Klara: znałaś mnie dawniej, dając ci słowo, że choć ludzie sobie o mnie pleść mogą co chcą, nie jestem gorsza niż bylam, lepszą nawet może... Zdaje mi się z tego wszystkiego co widzę, że się tu może opatrznosciowo znalazła... że ty mnie i rady mojego starego doświadczenia bardzo możesz potrzebować... Byłyśmy niegdyś rówieśnicami, to prawda, bardzo staro nie wyglądam, choć wiesz, jak się kocham—po cichu ci się przyznam: mam już zmarszczki! ale jestem teraz daleko, daleko starsza od ciebie. Miałam, wystaw sobie, dwóch mężów, i na obudwóch się oszukałam... To coś znaczy... Dla tego trzeci raz za mąż nie pójdę tak prędko, (w tćj chwili pocałowała Olimpię), tylko się nie gorsz, póki ostatniego (bo już to musi być ostatni *aux derniers les bons*) nie wypróbuję... gruntownie...

Olimpia popatrzała smutnie, nawet to jćj rozśmieszyć nie potrafiło.

Hrabina mówiła dalej nieznużona, jak rozpędzony koń z góry, który leci coraz szybcćj na złamanie karku:

— Mów, spowiadaj się, ulżyj sobie, wylej na łono przyjaźni (*vieux style!*) troski i utrapienia swoje! Żart na stronę! niezawodnie wygadanie się ulgę ci

przyniesie. Jest to w naszej naturze, że my się wyplakać i wygadać musimy...

— Za wielebymi ci mówić musiała, szepnęła Olimpia.

— Ale nie! zobaczysz, ja ci się domyślę wszystkiego z półsłówka, nawet bez słowa!... wrzuciła hrabina. Mów tylko, bo mnie żal nad tobą i ciekawość spali... Ja ci poradzę, tyś niedoświadczona... ja nawet twego Zygmunta doskonale znam, uczynił mi ten honor, jeszcze za życia mego męża, że się we mnie całe dwa tygodnie, nie mając co robić, kochał i sądził, że mnie zachwyca... A ja wówczas, sama bylam zakochana w kim innym—a! nie w mężu, taki był nudziarz, świeć Panie nad jego duszą!... Zygmunt mi służył za parawanik... czego mi pono nigdy nie daruje... A ty?

Olimpia ruszyła ramionami z tak nieudaną obojętnością pogardliwą, że hrabina już z tego wielu się rzeczy domyślić mogła.

— Powiedzże mi najprzód, bo widzę, że cię potrzeba wziąć na konfessatę, jakże się stało, żeś ty za niego wyszła?...

W głębokiëm zadumaniu pogrążona Olimpia nierzchyłó główkę podniosła.

— Moja Klaro kochana, rzekła, powiem ci wszystko. Nie mam nikogo, jestem straszliwie sama, potrzebuję rady... lecz na krzyż Pański zaklinam, to co ci powiem, niech umrze z tobą...

— Na cienie mojej matki, którą wiesz jak kochałam! zawołała Klara: zaklinam ci się, zamknę to w sobie, mów—nie lękaj się!

Chwilką zatrzymała się Olimpia i milczała... podniosła oczy na nią...

— Z uśmiechem tu przyszedł, boś może sądziła, że się tu spotkasz z jedną z tych prozaicznych historyj powszednich, które śmiechem zżyć można, lecz wyjdiesz ztąd ze łzami. To nie komedia charakterów, to nie dramat, to moje życie, to tragedia Shakespeare'a. Pamiętasz, Klarcin, chwilę, gdyśmy się zegnali? czy ty ją pamiętasz?

— Jak dzisiaj! przyjechaliśmy z matką i znalazłyśmy ciebie przy fortepianie, matkę z książką w ręku, a w dodatku pana nauczyciela muzyki, który odszedł grzecznie do kątku.

— Spojrzalaś ty na niego?

— Na niego? Ja przecie widywałam go często, to był ten Czech Bratanek, taki ładny chłopak, że mu się w ulicy Saksonki przypatrywały...

— Jam go kochała! on do szaleństwa mnie kochał... a matka moja, moja matka...

— Kochała się w nim, ale o tém całe Dreźnie wiedziało, że się jęj w głowie przewróciło, śmiano się z tego... dokończyła hrabina.

— Rozumiesz ty ten pierwszy akt domowej tragedyi mojego życia?

— Droga moja! zniżając głos, rzekła hrabina: ileż ja potem podobnych spotykałam po wielkim świecie! Tobie, poczciwemu, niewinnemu dziecięciu, wydawało się to poczwarném... a w obrzydliwej rzeczywistości to, niestety! ledwie nie chleb powszedni...

Wzdrygnęła się. Olimpia mówiła dalej:

— Widzialesz piękną, szlachetną twarz tego człowieka, aleś jego duszy nie знаła. On jeden godzien był imię człowieka nosić, tak wielkie miał serce, tak bohaterka gorzala w nim dusza... Musiałam go kochać... na pół dziecko jeszcze, dojrzałam w tém uczu-

ciu jak w ogniu, spaliłam się niém. On się opierał, bronił, uciekał. Narzuciłam mu się, zdobyłam go szaleństwem... Chciałam z nim być chwilę szczęśliwą, a potem umrzeć...

Hrabina rozplakała się i padła jęć na szyję.

— O! ty moja anielska Olimpio! tyś umiała kochać.

— Nie! droga Klaro: ja umiem jeszcze... ja go dziś tak kocham, jak tego dnia, gdyśmy z nim uciekłszy razem, w ubogiej chatce czeskiego wieśniaka sprawili sobie raj. Dwie trumny wysłane kwiatami stały w jednej izdebce, myśmy się upajali sobą w drugiej... trucizna stała na stoliku otoczona kwiatkami... My z nim śpiewaliśmy pieśni, tworzyli kantyki i płakali, i byli szczęśliwi, jak w raju!

Z ust hrabiny wyrwał się krzyk, zbladła potem i głosu jęć zabrakło...

— I ty się śmiesz skarżyć na życie! wykrzyknęła po chwili: ty! niewdzięczna! Bóg ci dał przeżyć taką rajską godzinę... której wspomnieniem wieki żyć można, a ty!..

— Jam ją odpokutowała wickiem! odezwała się Olimpia płacząc. Odkładaliśmy śmierć, ostatni akt Romea i Julii od dnia do dnia... Żał nam było światła, który tak śliczny, młody, jasny... tak cudowny się nam wydawał, szczęście nasze kołysząc na swém łonie... Zdawało się niemożnością, aby nas wysłedzić miano... gdy matka moja, której w pomoc przyszły wszystkie władze, napadła nas upojonych i... wyrwała mnie jemu... Okuto biednego Bratanka, a mnie ścięto! O tak, droga Klaro, ja tego inaczej nazwać nie mogę; straciłam głowę, straciłam poczucie życia, żyłam upiorem za karę... Zawieziono mnie najprzód

pod włoskie niebo, aby zmylić poszlaki, aby zatrzeć wspomnienie, aby mnie obmyć z téj plamy. O! to nie była plama, jam mu ślubowała na życie i śmierć, jam mu została wierną i będę taką do zgonu.

— Zmilnij się! a po cożeś szła za męż? zapytała Klara.

— Ojciec mój nie wiedział o nieczém, on męczył się losem moim, ja kocham ojca... jam musiała...

— I... nie rozumiem? zawołała hrabina.

— Jak to? ty znasz. Zygmunta tego i nie rozumiesz? śmiejąc się szydersko dokończyła Olimpia. Ten człowiek chciał nie mnie, ale majątku i imienia, gotów je był okupić jakąkolwiek bądź ceną.. Matkę moją zjednał sobie, udając w nią zakochanego.. wybrała więc go za męża dla mnie. Rok czyhał, plaszczył się, pochlebiał, wsuwał w ten dom, do którego wnosil swą podłość...

— Ale to twój mąż!

— Nie, to handlarz, co mnie kupił... Nie lękaj się: postawiłam warunki... nie mam sobie nic do wyrzucenia. Gdy ojciec zmusił mnie łzami, abym wyszła za niego, powiedziałam matee: „Dobrze, lecz nie „inaczéj, aż mu powiem wszystko i położę za warunek, że tylko imieniem będę mu żoną, że zostanę „wolną, i że Bratanka pierścioneł zamiast swojego „zamieni ze mną przy ołtarzu!...”

— Olimpko! co ty mówisz! nderzając w dłonie krzyknęła hrabina: czyż to być może? i ten człowiek się zgodził?

— Przystal na wszystko! Gardzę nim... dodała wstając. Oto masz obraz położenia mojego, naszych stosunków...

— Daj mi ochłonać, biorąc się za głowę i ciskając skronie, rzekła Klara: to coś znów tak nadzwyczajnego że, gdyby nie Olimpia mi to mówiła, nie uwierzyłabym nawet! Z ust twoich...

— Czytasz na czole prawdę téj męczarni... i nędzę mojego położenia.

— Ale bo ty to nadto bierzesz tragicznie! odezwala się hrabina. Cóż u licha ten piękny Bratanek może sobie gdzie umarł, tyś wolna, mąż tylko jest figurantem, który ci zawadzać nie będzie... powinnaś żyć! trzeba się z tego odretwienia oencić... Zresztą kochaj sobie ten ideał, ja bynajmniej ci tego za złe mieć nie będę, ale życie jest życiem, moja droga... potrzebujesz dystrakcyi... Zmarnowałaś dziesięć lat, jesteś zupełnie wolna, pan Zygmunt ci się nie będzie śmiał sprzeciwiać... Na Boga, jeśli nie chcesz z suchot narzeć, trzeba się ratować... trzeba się bawić, roztrzepać... Ci wszyscy mężczyźni, powiadam ci, ile ich jest, to funta klaków niewarci! jak oni z nami, tak my powinniśmy z nimi.. Pozwól mi tylko wziąć siebie w opiekę, a zobaczysz...

Olimpia patrzała na nią...

— Ty, moja droga, rzekła, masz temperament szczęśliwy...

— Bom go sobie rozumem wyrobiła! rozśmiała się Klara: gdy mnie pierwszy kochanek zdradził, miałam flaszeczkę laudanum od bólu zębów, słyszałam, że się tém ludzie trują... Skosztowałam... pfe! gorycz! szkaradzeństwo... odeszła mnie desperacya, i nazajutrz zbałamuciałam drugiego, a męczyłam go tak, że sobie włosy z głowy rwał, i to była cała zemsta moja nad losem... Od téj pory mężczyzn lubię jak raki, żeby ich jeść, potem usta poplókać, ręce

nmyć, a skorupki na śmiecisko wyrzucić.. Nawet mi czasem smakują, ale ich nie biorę na seryo i nie rozczulam się nad nimi... To całe twoje nieszczęście, paplala hrabina, że ty swojego Bratanka miałaś kilka dni i nie spowszedniał ci, i nie zdradził cię, i nie ostygł, i w twój pamięci jak mucha w bursztynie uwiązł ze złotemi skrzydłami...

To mówiąc porwała się i uścisnęła Olimpię.

— Serce moje! teraz musimy trochę pospiskować, rzekła żwawo: ja to bardzo lubię! Zygmunt niepowinien się domyslać wcale, żeśmy się tak porozumiały... Ja będę mu okazać wależne pozory szacunku, jakiego nie mam dla niego, i politowania, którego nie czynię. Uczynię mu nawet nadzieję, że się może dasz jego pokorą przelamać i przypuścisz go do łask swoich, ale niech cię od tego pan Bóg broni! Zresztą powiem ci poufnie, że wcale nieponętny.. kochał się nie wiem w wielu, żył z Adellą baletniczką; proza chodząca... Mnie, gdy się zakochał... nawet na chwilę myśl nie przyszła, ani fantazya. zabawić się romansem z nim, choć każdy romanse, szczególnie z początku, jest bardzo zabawny... Ale to ruina ten człowiek...

— Nawet nie ruina, odparła Olimpia: są piękne ruiny—a to stos gruzów i śmiecia...

— Widzę, że go właściwie oceniasz! rozśmiała się Klara: a! tak! to dobrze... będziesz z niego miała doskonałego lokaja, choć trochę drogiego, a żenować się z nim po zawartéj interezyzie nie potrzebujesz... Jesteś jak ptak wolna.

— Ale swobody mojej nie mam najmniejszej ochoty używać.

— Ja cię nauczę... ja ci będę mentorem! o! zobaczysz, wszystko się to odmienić musi... Przecież ci się jeszcze coś od życia należy.

— Nic, prócz tego jednego, bym raz jeszcze mogła zobaczyć go i paść mu na szyję i powiedzieć: „Patrz! oto twój pierścionek ślubny... bylam i jestem „ci wierną, bylam i jestem twoją!...”

— Przyznam ci się, że zhyt wiele znowu wymagasz od losu... Każe ci za długo na to czekać, a tymczasem przecię żyć czémś trzeba. Będziemy chłopców balamucily! zobaczysz, jak to ci przyjdzie łatwo... A powinnaś to uczynić, choćby dla tego, żeby się ten paskudnik, co ci się gwałtem narzucił, wściekał ze złości...

Klasnęła w dłonie... Szafrąńska, która była pewna, że na nią znak dano, wbiegła do pokoju.

— Patrzajże, już dziesiąta! zawołała Klara: po drodze musisz iść spać. Do zobaczenia jutro!..

Uściskały się, i hrabina wyszła szczęśliwa, że tak się nudy jój dobrze skończyły.

*

*

*

Nazajutrz, zaledwie się hrabina Klara miała czas ogarnąć i ze swą Angielką zasiąść do herbaty, z masłem i miodem, wedle szwajcarskiego obyczaju, kelner przyniósł jój bilet proszącego o posłuchanie pana Zygmunta. Karta wizytowa wystylizowana była: „Mr. le Baron Sigismond de Wręby Dołbiński.” Klara z uśmiechem położyła ją przed sobą na stoliczku i odwróciła się do swój Angielki:

— Kochana miss Draper... mam poufną rozmowę...

Towarzyszka zrozumiała od pół słowa, i przestraszona prawie chciała uciekać do pokoju obok...

— Ale ja ci tam całą herbatę przyszlę...

Kelner dostał rozkaz wprowadzenia barona, który wszedł, jakby już z rannéj powracał przechadzki, z twarzą odświeżoną i usilującą okazać weselość. Wiedział, że hr. Klara nie cierpiała zasczpionych, jak ich nazywała, egoistów. Zmierzyła go okiem szybko, jak dobry wódz rzuca wejrzenie na wojsko nieprzyjacielskie, aby obrachować jego siłę. Nie oszukały jćj rozłożone szeroko oznaki weselości, maskujące wątle nader zasoby. Hrabina od wczoraj już rozważała, jaką ma rolę odegrać, nie mogła innéj. Podala mu rękę uprzejmie, wskazując najbliższe miejsce i przybierając minkę kondolencyjną, pełną żywego współczucia:

— Siadajże panie Zygmuncie, proszę...

Zygmunt się oglądał do kola...

— Ale bądź spokojny, nikogo nie ma, a moja miss Draper nie rozumie słowa po polsku.

Obróciła się ku niemu:

— Jakże pani znalazła Olimpię?

— Hm! spuszczaając oczy cicho wybąknęła zapytana: Olimpia jest bardzo, bardzo podrażniona... Nie będę taila przed panem, kochany panie Zygmuncie, że położenie jego bardzo drażliwe i przykre... Zdaje mi się, że stokroć trudniéj dobić się serca żony w podobnym składzie rzeczy niż zdobyć serce kochanki najtwardsze... *Vous avez eu tort*, starając się wicéć o ojca i matkę niż o nią, obraziłeś ją... Posłuszna spełniła ich wolę, ale nie jest zlamana. Trzeba znać charakter Olimpii... niepodległy... wyniosły... Słowem... jest złe, bardzo złe...

— Cóż mi pani radzisz? zapytał Zygmunt.

— Przepraszam cię, panie Zygmuncie, przerwała piękna hrabina: jabym najprzód wiedzieć powinna, co ty sobie radzisz? Tu cudze rady na nic... jeśli serce własne nie podda czegoś...

— Pani hrabina Klara jest dziś bardzo seryo, rzekł Zygmunt.

— Cóż chcesz? jestem wrażliwa. Wczorajsza rozmowa z Olimpią oddziaływała na mnie, czuję się smutną... mam do niej szczere przywiązanie... żał mi jej i trochę was, choć mężczyzn doprawdy nigdy niewarto żałować...

Zamilkli. Zygmunta twarz wykrzywiła się jakby stłumionym gniewem.

— Trzeba wiele także i cierpliwości, z ukosa nań rzucając wejrzenie, rzekła hrabina. Naprawić pan musisz, coś popsuł fałszywą idąc drogą, choć naprawienie i zatarcie jest zawsze najtrudniejszą w świecie rzeczą... Nie bądź nadewszystko natrętny.

— Niemożna mniej być niż ja jestem! odezwał się Zygmunt z bolesnym uśmiechem: — lecz... lecz to nie a nie nie pomaga.

— Ale pan nie na dni, ale na lata musisz rozłożyć przebłaganie Olimpi! wykrzyknęła hrabina. To nie może być sprawą tygodni! to nie jest rzecz tak łatwa!

Pochmurniał Zygmunt.

— Jeślim zgrzeszył, trzeba wyznać, że pokuta będzie też niepomierne ostrą... szepnął zniechęcony.

Hrabina ruszyła ramionami.

— Cóż na to poradzić? Zakochać się ona w panu nie może, trzeba wyrobić najprzód, aby go mogła znosić... a potem nudy i wiek... Któż wie? jakiś przypadek, jakiś dowód cichego i cierpliwego przy-

wiązania, może spowodować zmianę, *tout est possible dans ce bas monde*, nawet miłość między takim dwojgiem małżonków jak państwo...

— Bardzo to pocieszające, co mi pani zwiastować raczysz! rzekł ironicznie Zygmunt.

— Lecz któż winien? kto winien? szybko dokończyła Klara: sam pan sobie nawarzyłeś tego piwa! Jakżeś mógł sądzić, by kobieta jak ona, jak Olimpia, wzięta gwałtem, przymusem, mimo woli, zmuszona przez zdobytą matkę i namówionego słabego ojca, nie chciała się mścić na tym, który takich przeciw niej użył środków?

— Ale ja... ja... kochałem... kocham!

Hrabina się śmiać zaczęła serdecznie.

— Mój panie Zygmuncie! *à qui le dites vous?* ja przecież jestem stara i doświadczona kwoczka... Gdybyś się pan kochał, ho! ho! ho! przekupiłbyś może służącą, popełnił jakąś niedorzeczność, nieprzyzwoitość, szaleństwo, alebyś nie posługiwał się rodzicami.

— Innego sposobu nie było!

— Alboś pan naiwny jak... nie mam do czego porównać, lub masz mnie za najniewinniejszą w świecie istotę. Kochany panie Zygmuncie, ja ani niewinną, ani prostoduszną nie jestem... Odkryj swą grę i mów szczerze. Ożeniłeś się z nią dla imienia i majątku: masz oboje, ale serca, o które się nie starałeś, ona ci nie da... i ma słuszość.

Zygmunt zerwał się gwałtownie z krzesła, i ze zmienioną twarzą, zuchwalszą, straszniejszą, począł się po pokoju przechadzać...

— Ja jestem, rzekł, łagodny i unikam walki... ale... ale w ostatku można mnie przywieść do rozpacz; naówczas!

— No? palniesz sobie w leb?... spytała hrabina: nie zdaje mi się, abym się tego przełękła lub tém zmartwiła...

— Może być coś gorszego, przerwał baron: mogę użyć méj władzy, mogę być przykrym, natrętnym, niecznośnym, dokuczliwym...

— A! a! nadto jesteś.. dobrze wychowany, żebyś dla zemsty poświęcał interes. Ona się tego nie lęka, a to może zerwać nienawistny jój związek. Ojciec, który skojarzył, rozerwie go... a...—tu szydersko spojrziała na Zygmunta z półuśmiecchem, i po cichu zakończyła:—pan wiesz najlepiej, że najmniejszego do niej nie masz prawa... bo żoną pańską jest tylko z imienia...

Zygmunt się zarumienił, chciał spytać, z kąd ma tę wiadomość? i zamilkł. Ze wszech miar go to strwożyło, bo widać Olimpia się z niczém nie kryła.

— A takie małżeństwo, mogę panu ręczyć, paplała dalej Klara—nie potrzebuje nawet rozvodu i właściwie jest żadném...

— Powinienem się był tego spodziewać, z przekąsem odczuwał się Zygmunt—że pani przejdiesz do obozu nieprzyjaciela...

— Ale ja wcale panu źle nie życzę! ofuknęła Klara: przeciwnie, jój i panny jak najlepiej, a mówię prawdę, abyś się darmo nie ludził.

— A zatem? spytał Zygmunt siadając.

— Pokory i cierpliwości! dogmatycznie wyrzekła Klara: wiele pokory, posłuszeństwa i poddania się... woli Opatrzności!

Trzeba było słyszeć i widzieć, jak nielitościwie szydersko wymówiła te pobożne w końcu wyrazy. Żartowała sobie z biedaka.

— Nawet litości nie masz pani...

— Nad mężczyzną? podchwyciła Klara. To prawda, że miełbym niepowinna, a jednak mam ją i gotowam pomagać panu, to jest wam obojgu. Na dowód powiem, że ja, co miałam jechać pojutrze ztąd do Włoch, siedzę z wami... Biorę w opiekę Olimpię, rozbawiam ją, wyrrywam ze zgubnej samotności, a panu nastreczam zręczność rehabilitowania się. Trzeba zaczynać od początku, niestety! od wejrzeń, bukietów, westchnień i nowicyatu... cha! cha!

— Albo od najzupełniejszej obojętności! wybuchnął Zygmunt. Po cóżbym znowu miał się tak zamęczać, tak mało mając nadziei na skutek? Nie wołęż homeopatycznój użyć metody, pójsć sam szaleć, bawić się, a o nią nie troszczyć i dać pani baronowój *carte blanche*?

Klara zdumiona przypatrywała mu się z trwogą.

— Wiesz pan, że to nie jest tak niedorzeczne, jak się zdaje. *Enfin!* któż wie co komu na ból zębów pomoże?... Zyskanie serca, to coś takiego jak ukojenie tego bólu... Jedni używają chłodzących, drudzy rozpalających leków... rób pan co chcesz...

Dobyla zegareczka.

— Ale ja muszę się ubierać i iść do Olimpi; więc się pożegnamy...

Chciał jeszcze coś mówić Zygmunt, hrabina go żegnała już, uklonił się, wyszedł zły i nadąsany.

Hrabina natychmiast pobięła do przyjaciółki, i z wielkiem swém zdumieniem znalazła ją z Szafrańską na naradzie nad wyborem rannego ubrania. Olimpia blada była, smutna jeszcze, ale wczorajsza rozmowa z hrabiną widocznie na nią oddziałała. Ży-

cie tłumione przez lat tyle npominało się o swe prawa... Hrabina dodała ochoty do niego. Dla czego nie miała wytebnać, spróbować się rozerwać? odżyć na nowo? Trzpiotowate usposobienie przyjaciółki odbiło się w niej mimowoli. Uścisnęły się serdecznie.

— Wiesz? odczwala się Olimpia: a to mi ciebie, dobra liłościwa Opatrzność zesłała, moja droga klarcin! Nie opuszczaj mnie, zaklinam, proszę; to *tête à tête* z panem Zygmuntem jest dla mnie zabójcze... Jak cień Banka przeraża mnie ten człowiek... ty rzeczywistość przynosisz z sobą... i rozwiejesz te sny ciężkie...

— Otoż tak to cię Kocham! przerwała Klara. Szafrańska moja!... dawaj tu suknie, strój panią, zrobmy ją z pięknej zachwycającą... idźmy, jedźmy, bawmy się, trzpiotajmy, a pan Zygmunt niech sobie robi co chce... Zapomnijmy, że istnieje...

— A! gdyby to można! cicho rzekła Olimpia.

— Spróbujemy!

Tak się rozpoezał poranek, a hrabinie Klarze tak na rękę była przygoda podróżna, że nie mogła zaniedbać o władnięciu Olimpią i czynnego mieszania się w jej losy. Nie wyszła już od niej. Najprzód naradę nroczystą złożono eo do wyboru rannego ubrania, potem posłano po dziennik, aby się dowiedzieć, jakie na dziś były środki przepędzenia czasu najzabawniejsze. Hrabina wnosila przejażdżkę na dosyć spokojnym tego dnia jeziorze, obiad w restauracyi w osobnym gabinecie...

— A Zygmunt? spytała Olimpia.

— Niech się zaprosi do miss Draper, mojego starego koczkodana, jeśli chce mieć towarzystwo! parsknęła śmiechem Klara. My myślimy o sobie...

— Po obiedzie jedziemy powozem gdzieś w okolicę; jest to środek zabicia czasu do wieczoru... Wieczorem przecież gdzieś być musi jakiś teatr?... Musimy poszukać...

— Albo koncert! dorzuciła Klara.

— O! ja nie cierpię muzyki...

— Z tego się otrząsnąć potrzeba... Kochałaś ją, grałaś jak Liszt i Henselt razem, porzuciłaś fortepian i muzykę, któreby dla ciebie mogły być tak nicoszacowanym resnrsem, dla zerwania ze wspomnieniami kochanka... ale, przeciwnie, powinnaś je pielęgnować!.. To ci uczyni przyjemność... wypłaczesz się, a długie godziny zajmie ci fortepian... wierz mi... Na początek, jeśli dziś jest koncert, idziemy nań.

Olimpia sprzeciwiać się nie umiała. Hrabina zadzwoniła na kelnera.

Wszedł ufryzowany adonis bufetowy, z dewizkami talmi i pierścionkami na palcach:

— Co paunie rozkażą?

— Jest dziś jaki koncert?

— Jak to? pani hrabina (kelnerowie wszystkich Rossyan i Polaków, nie pytając, czeżą hrabstwem, i sami się z tego potem śmieją)—pani hrabina nie wie?... Przecież sławny Ullmann ze swymi wirtuozaami...

— Ullmann z Adeliną Patti!

— I wielu innymi, dodał kelner; tylko że podobno bilety już wszystkie rozkupione.

— *Allons donc!* zakrzyknęła Klara: *quand il n'y en a plus, il y en a toujours.* To tylko o cenę chodzi. Proszę, żebyśmy miały dwa przynajmniej bilety w pierwszym rzędzie, *coûte que coûte.*

Kelner się sklonił, hrabina podbiegła ku niemu:

— Będę waćpanu osobno za to wdzięczna! proszę mi kupić dwa bilety koniecznie...

— A dla pana barona? spytał pełen ortodoksyi kelner.

Hrabina parsknęła mu w oczy.

— Pan baron, jeśli zechce, sam się sobie o bilet postara... *Allez donc...*

Kelner pobiegł. Olimpia nie sprzeciwiała się. Szafrąńska tylko słysząc o koncercie załamała ręce...

— A toż trzeba będzie fryzyera i toalety jak na bal... taki koncert!.. zawołała.

— Postarasz się więc o fryzyera, a toaletę wybiorę ja... Gdyby jeszcze Olimpia pozwoliła mi *un soupçon de rouge...*

— Nie! tego nie chcę...

— Ale mączki...

— Ani téj... będę jak mnie Bóg stworzył.

— Zawsze piękną być musisz... a! któż wie? masz może słusność, że swą bladością będziesz oryginalną.

W godzinę potem dwie przyjaciółki już się kierowały ku jezioru, gdzie na nie wielka najęta łódź czekała. Klara prosiła o pozwolenie, na ten jeden raz, zabrania owdowiałej miss Draper. Wszystkie trzy wymknęły się z hotelu, sądząc, że na nic nikt nie uważał. W pięć minut potem wpadł baron Zygmunt do Szafrąńskiej, która nad porozrzucanemi sukniemi stała zadumana.

— Pani? dokąd pani poszła?

— Nie wiem, z hrabiną Klarą...

— Ale czyż może być, abyś panna nie wiedziała?..

— Cóż to do mnie należy! zimno rzekła Szafrąńska, odwracając się.

Zygmunt widząc, że tu nie nie zyska, pobiegł za paniami. Portyer wskazał mu w istocie kierunek, w jakim poszły. Lecz nie widać ich było... Zygmunt puścił się na oślep, domyślając się, że się skierowały ku jezioru; leciał dosyć szybko i miał tę przyjemność, że przybywszy do małego portu przy grobli, gdzie się zwykle zbierają łodzie do najęcia, zobaczył o dobrych parę staj panie płynące z wolna pod cienistemi brzegi. Klara ukłoniła mu się z daleka... Zygmunt z razu z gniewu nie namyślił się co począć, gdy wioślarz przyszedł mu ofiarować swą łódkę...

— A dogonimy tamtą, tak, żebyśmy obok niej płynąć mogli? zapytał Zygmunt.

— Za dobre *pour boire* będziemy się starali.

Rzucił się więc na łódkę nadąsany, a ta natychmiast odbiła od brzegu. Klara widziała to wszystko...

— Nudziarz będzie nas gonił, rzekła, — i odezwiała się do wioślarzy: Moi przyjaciele! czy też my się damy dogonić téj łódce, która pewnie ścigać nas będzie?..

— Dobre *pour boire*? szepnął stary wioślarz.

— Bardzo dobre! dodała Olimpia: — ale nie dawajcie się dogonić!...

Wioślarze poszeptali z sobą...

Wody jeziora były jak kryształ czyste i spokojne; głębokie jego dno wysłane kredziastemi pokładami, o kilkanaście sążni widać było na wskroś, dziwnemi powleczone barwami. Wietrzyk nie dotykając wód nad brzegami osłoniionemi, zaledwo nieco czuć się dawał górą. Wioślarze prędko podnieśli maleńki maszcik i rozwinęli zapaśny żagiel, próbując *brisy*... Współzawodnicy na mniejszém członku wcale tego nie mieli, wygrana pań była pewna.. Żagiel wzdęty

niósł łódkę szybko z pomocą wiosel na fale ku środkowi jeziora... Zygmunt pozostawał widocznie... daleko, a Klara śmiała się, klaskając w dłonie, i kładła ze śmiechu. Miss Draper nie z tego nie rozumiała.

Ranek był prześliczny, ciepły a nie gorący, brzegi pierwszymi barwy jesieni pomalowane, wody jak gołębie skrzydła nieniące się w tęczowe kolory, w powietrzu falami płynęło życie, wesele, pragnienie szczęścia i nadzieja... Góry dalekie zdawały się z ametystów wykute, a szmaragdowymi łąki wysadzone i malachitowymi zarosłe lasami... Gdzie nigdzie daleki ząb z safiru i lapis lazuli, sterczał w opalonej czapie śniegu. Stoki gór... wieńce białych miasteczek u brzegu, złociste piaski u skrajów, wille z wieżyczkami sterczące, wśród zieloności ciemnej jak zaczarowane palace wszystko to nawet Olimpii potrafiło wyrwać okrzyk podziwienia.

Jakież to piękne! jakie zachwycające! To sny jakiegoś lepszego świata...

— Widzisz! podejwcila Klara: natura boża nie ma, obojętną zdaje się dla ludzi, a stokroć wymowniejszą jest niż my wszyscy... Ona jak muzyka, mówi językiem, który się nie da wytlómaczyć na słowa, ale go dusza rozumie bez pośrednictwa tych zużytych foremek... Bóg przez nią w serce zbolale leje balsam pociechy... Czemuż nie słuchać i nie korzystać z daru bożego?...

Spojrzały mimowolnie ku Zygmunutowi, jakby z obawy, by widok jego całej téj przejażdżki nie popsuł. Lecz łódka niosąca Cezara i jego losy tak dalece została za niemi, iż zdawała się już nie mieć ochoty kusić o się niemożliwe rzeczy...

Z założeniami rękoma, z ironicznym na ustach uśmiechem, z czolem chmurnym, pan Zygmunt właśnie przekławszy swą łódkę i wiosłarzy uznojonych, prowadził z sobą zajmujący, weale nie Hamletowski monolog:

— Ślicznie mi się wszystko udaje! nie ma co mówić! mówił do siebie w duszy. Nawet spotkanie z tym trzpiotem, które miałem za największe szczęście, staje się urągowskiem... Lecz w mojej roli musi wiele być cierpliwości. Pytanie tylko, czy mam się tak koniecznie za nią ubiegać? to śmieszne, a śmiesznym w jej oczach być niepowinieniem...

Kazał dość grubiańsko wiosłarzom zawrócić do brzegu... Łódka z wolna obróciła się znowu ku portowi. Zygmunt dumal płynąc.

— Nie poznaję siebie, mówił: w fałszywej jestem pozycji, splątany, bezsilny, na lasce... Tak trwać nie może... to się musi zmienić. Z panią Olimpią raz się rozmówić potrzeba stanowczo... Powinna choć jakiegoś formy zewnętrzne poszanować... Jestem śmieszny! powtarzał ciągle: jestem doskonale śmieszny... Hrabina ma prawo szydzić ze mnie... Lecz cóż tu począć? Ta kobieta ma wszystko za sobą, ja nie. Jestem mężem królowej, i to jeszcze nuciemanym... Stara ta, niepocziwa Szafrńska nawet obchodzi się ze mną drwiąco i zuchwale... Ja tu zupełnie nie nie znaczę... ceremonii ze mną nie robią najmniejszej... Ale to tak pozostać nie może...

Napróżno szukając środka mogącego wyprowadzić z tego położenia, Zygmunt dobil do brzegu, i nie oglądając się nawet na łódź tych pań, poszedł gniewny do hotelu.

— Mam przynajmniej prawo pójść, siąść u niej w salonie, czekać na nią i prosić o chwilę rozmowy.

Powziąwszy to postanowienie, Zygmunt przebiegł wschody pierwszego piętra żywo i wprost podążył do mieszkania żony. Szafrąńska właśnie tam sprzątała. Nie pytając jej, nie mówiąc słowa, Zygmunt zabrał miejsce w fotelu przy oknie, rozparł się, wziął gazetę porzuconą i zaczął czytać.

Po chwili suchy głos Szafrąńskiej posłyszal:

— Czy pan baron tu myśli siedzieć?

— Czy waćpanna myślisz mi zabronić?

— Nie, tylko ja muszę tu sprzątnąć, i zawołać dziewczynę, ażeby zrobiła porządek. Jużci gdy pani powróci, niemożna, ażeby tak zastała... pełno pyłu... a pan baron...

W téj chwili dzwoniła na kelnerkę, która weszła ze szczotką i wiaderkiem. Zygmunt rzucił z gniewem gazetę i wyszedł, lecz obiecując sobie powrócić. Szafrąńska zaś obiecywała sobie tak się obrachować z porządkowaniem, aby mu i w tém przeszkodzić. Podzielała bowiem nienawiść swój pani do barona. Mściwém a szyderskiém okiem wyprowadziła go za próg.

Zygmunt poszedł do swego mieszkania, i wyciągnął się na swoim szeslongu... Po drodze namówił kelnera, aby mu dał znać, gdy te panie zbliżą się do hotelu. Pięciofrankówka była najlepszą rekojmią, że wola jego będzie spełniona.

Na pierwszym piętrze Szafrąńska kierowała wyporządzeniem gruntowném, kazała dywany pozdejmować i wypylać... Zrujnowała salon. Rachowała ona na to, że gdy panie powrócą, nie będzie gotowo, a Olimpia przejdzie wprost do sypialni...

Tymczasem przejażdżka po jeziorze nad miarę długo trwała... Szafrąńska nie mogła wstrzymać dziewczyny, i wszystko było czyste i świeże dobrze wprzódy, nim się te panie ukazały... Zygmunt jednak nie nadszedł, aż mu dano znać, że panie idą. Naówczas zbiegł do salonu, nie pytając Szafrąnskiej, i zajął miejsce z miną tryumfującą u okna w fotelu. W chwilę potem otworzyły się drzwi, Olimpia weszła sama; Klara z miss Draper poszły się ubierać. Pierwszy to raz tak się panu Zygmuntowi szczęśliwie jakoś złożyło.

Olimpia od progu zobaczywszy tę nienawistną sobie postać, wzdrygnęła się; po namyśle chciała wprost przejść do sypialni, gdy Zygmunt wstał i ukłonem ją zatrzymał, zastępując drogę.

— Pozwoli pani choćby na chwilę rozmowy?

Olimpia nie ruszając się z miejsca, nie siadając i nie prosząc siedzieć, odpowiedziała, dając do zrozumienia, że się to pośpiesznie odbyć powinno.

— Słucham pana, dodała zimno po chwili.

Szafrąnskiej nie było szczęściem w pokoju.

— Czy pani nie widzi, że się narażamy na dziwne sądy i na śmieszność oboje... tak osobliwym sposobem... bycia?...

— A cóż mnie sądy obcych i ich śmiech obchodzić może? spytała Olimpia.

— Lecz pewne formy towarzyskie?...

— Wszakże nie ma w tém wszystkiém nic formy te obrażającego? czegoż pan ehcesz?

— Choćby pozoru, żeśmy mężem i żoną?

— Zdaje mi się, odpowiedziała Olimpia ironicznie, że im będziemy zimniejsi i obojętniejsi, tém lepiej odegramy zwykłą rolę żony i męża...

— Ależ przecię jakikolwiek względ prostej grzeczności...

W czémże uchybiłam?

Pani mnie o to pytasz?...

— Pytam, bo pana nie rozumiem. Wiesz pan moje warunki, odparła z dumą Olimpia: ludzie się nie powinieć, że od nich odstąpię. Jestem wolna i postępuję, jak mi się podoba, a mogę go zaręczyć, że o jego postępowanie, humor, zabawy, weale się dopytywać nie będę. Przepraszam! dodała chcąc iść do sypialni: nie mam czasu i jestem bardzo zmęczona. Żegnam...

Zbladły, drżący Zygmunt nie wiedział co czynić z sobą; wpadająca Szatraniska, która obrachowała snadź, że tu potrzebną być może, zmusiła go do odwrotu. Wyszedł więc, lecz z wyrazem gniewu takiego, któryby inną kobietę mógł przestraszyć. Olimpia ramionami ruszyła... Wszedłszy na górę, Zygmunt świstał przeraźliwie chodząc po pokoju, a nogami kopał krzeselka. Nareszcie rzucił się na kozetkę, podunął i siadł pisać rapport do radczyni. W niej i jéj interwencyi pokładał jeszcze nadzieję.

Tymczasem Klara się pospiesznie ubrała i przybiegła do przyjaciółki... Siedząc na kanapie, przepieptwały godzin parę... Godzina obiadu nadchodziła... nie mówiąc nikomu, pieszo poszły do restauracyi francuzkiej na wybrzeże, oznajmując tylko, iż u table d'hôte nie będą. Zygmuntowi doniósł o tém kelner. Nie było sposobu, musiał skłamać.

— Wiem o tém, rzekł; ja także jem dziś w mieście...

W istocie jeść mu się bynajmniej nie chciało, i weale nie wiedział dokąd pójść. Wściekał się.

Rad nierad musiał wywlece się z hotelu i szukać jakiej takiej restauracyi.

Pierwsza z brzegu, jaka mu się nastręczyła, mająca pozór dosyć przyzwoity, była wystarczającą na zabicie głodu i nudy. P. Zygmunt miał naturę ojcowską lubił wszystkie zycia wygody, nadewszystko: wytworne jadło i dobre wino, łakocie, stół wedle prawideł sztuki, wesołe towarzystwo i pozory państwa... Udawał pana niedbającego o pieniądze weale nieźle, nawet naówezas gdy ich nie miał. Teraz tak mu było gorzkiem wszystko, tak obojętném, że go nawet kuchnia bardzo zaniedbana nie rozbudziła. Był to bowiem jeden z tych traktyerów, które przy wystawnej powierzchowności, nie dbają ani o reputacyę, ani o sumienie. Gospodarz rachował na łapanie cudzoziemców, i obojętném mu było, że go później lajali, że krzyczeli... Drudzy po nich tak samo się łapali na piękny lokal, na służbę i blichtry. Dwa rodzaje kuchni stanowiły spekulacyę: jedna dla cudzoziemców, z nieświeżych ryb i śmierdzącego mięsa, ochrzeszonych pompatycznemi tytuły, druga równie licha dla ludzi ubogich, tania, przeznaczona miejscowym fanfaronom, dbającym więcej o dobry ton niż o żołądek. Stolowali się tu biedni udający ludzi dostatnich, choćby przyszło odehorować...

Zygmuntowi podano w wazee ndającą srebrną, zupę udającą zółwiową, potem łososia odwiecznego, podprawionego jakimś sosem, dalej befsztyk, który mógł za zwierzynę uchodzić... Butelczka wina z czerwona pieczęcią kupiecką, etykietą złocistą, zamykała octowaty napój podprawiony spirytusem cynicznem... Cierpliwy z razu Zygmunt zaczynał się burzyć, podniósł oczy machinalnie, i naprzeciw siebie przy dru-

gim stoliku ujrzał figurę, przypatrującą mu się bardzo pilnie. Zdawało mu się, że ją już gdzieś widział w życiu, lecz nie był tego pewien. Parę razy zamienili spojrzenia, lecz dla barona odnowienie takiej znajomości wcale nie było pożądane. Człowiek ten tak przypadał do téj restauracyi, że go wziąć było można za część jéj składową, do niéj należącą. Był on produktem sztuki robiącej z talmi złoto, naśladowującej szacowny klejnot dosyć niezgrabnie. Mało co starszy od Zygmunta, łysy, z twarzą rozlaną za weześnie, z oczyma otoczonymi krwawemi obwódkami, z wargą zwisłą, wymuskany i odmłodzony pracowicie, woniał z daleka podejrzaną jakąś ambrawą i naśladowanym Jockey-clubem. Z dala widziany w pewnej perspektywie, mógł ująć za coś przyzwoitego; bliższe rozpatrzenie się dozwalało poznać surdut z tandety, białiznę fałszywą z dolepieniami k chwierzycami i miankietami szpilkę z masy naśladowującej lapis lazuli, łańcuszek wiedeńskiéj roboty, rękawiczki myte i czyszczone, lakierki odpendzlowane świeżo a niezgrabnie jakimś werniksem źle pokrywającym ich zgrzybiałość. Wszystko było w tym sposobie... Imitowany ten kawaler z większego świata minę też miał przesadzenie zawieszistą i buńczuczną. Kelnerów traktował z góry, wybredzał, gniewał się, rzueał, rozsiadał, rozkładał, a włożone w jedno oko szkielko skierowane ku Zygmunutowi tymczasem go pilnie badało... Baron nie mógł sobie przypomnieć, gdzie spotkał tę figurę, była mu jednak znajomą i niemiłą. Kończył nawet obrzydliwe jedzenie co prędkiej, aby ująć ztąd co rychlój, gdy ów gość rzuciwszy lornetę, zbliżył się do jego stołu z miną pańską i zapytał po francuzku:

— Wszakże mam honor? zdaje mi się? miałem przyjemność poznać pana barona u panny Adeli?

Zygmunt jeszcze nieprzyjemniej dotknięty tém wspomnieniem, podniósł głowę kwaśno i wyjąknął:

— Prawdziwie nie przypominam sobie...

— Więc mu się muszę przypomniać, jestem baron Artur von Redke, były major.

— A! a! a! zawołał Zygmunt, kłaniając się: bardzo mi miło...

Baron drugie przysunął krzesło do stolika bez ceremonii.

— Jestem tu lat kilka... Najlepiej znam Ceuwę. Pan nie życzy jój sobie poznać? mógłbym służyć za przewodnika... Ja tu już jestem jak w domu. Wszak pan grywałeś w klubie? My tu mamy w domach prywatnych, bardzo szanownych, grę ucziwą, towarzystwo miłe, kobiety zachwycające... Pan ma gust wytworny, świadkiem panna Adeła, lecz i tu się znajda egzemplarze kobiet znakomite...

Zygmunt chciał kilka razy przerwać, napróżno, baron śmiał się i gadał, a oczyma go rozbierał.

— Ja tu nie bawię, jestem w przejeździe, rzekł w końcu, a żonatym będąc...

— A! pan się ożenił! winszując. Ale w stanie małżeńskim dystrakcyje są też potrzebne, rozmaitość dodaje smaku; dobra ekonomika wymaga czasem epizodzików... Cha! cha!

Zygmunt był bardzo seryo.

— Żałuję, dodał, że z łaskawych ofiar pana barona korzystać nie mogę... Jestem na wyjeździe!...

— Przecież nie dziś?

— Nie wiem...

Odpowiedzi były lakoniczne i odstręczające; lecz Redke, gdy postanowił sobie kogo złapać, nielatwy był do odprawienia. Udawał, że nie rozumie...

— Przyznam się baronowi, rzekł, że widząc go samym, nie przypuszczałem, byś był żonaty... A pani tu?

— Tu, chora...

— Nie chcielibyście państwo doktora? mogę im nastroczyć.

— Nie, jedziemy do Włoch...

— A kiedy szanowna małżonka chora... tém bardziej dystrakeya potrzebna, aby nie upaść pod ciężarem frasunku... Dzisiaj mamy znakomity koncert...

— Koncert? spytał Zygmunt, któremu nagle przyszła myśl namówienia żony i hrabiny i towarzyszenia im obu. Czyj?

— Sławny, znakomity Illmanowski!.. Patti śpiewa...

— A! to być może zajmujące...

— Tak, dla tych co mają bilety...

Redke dobył z kieszeni jeden i pokazał go.

— Ale to się nabywa na wagę złota, ci Anglicy podrażają wszystko... Ja, co się tycze mnie, mówił Redke, dość jestem obojętny na muzykę... Mógłbym baronowi mój bilet odstąpić... wprowadzie nabyty ze znaczną prymą, ale o tej godzinie już kurs jest wyższy...

— Gdybyś pan miał ich trzy? rzekł Zygmunt.

Baron zerwał się z siedzenia.

— Zaczekaj pan tu... dostarczę mu ich... Miłoby mi było służyć dawnemu znajomemu...

I pochwyciwszy kapelusz, rzucił się żywo ku drzwiom. Zygmuntowi przyszło teraz na myśl pozbyć się natręta uchodząc, lecz nim się dowolał rachunku,

nim go opłacił, Redke był z powrotem z biletami, nadzwyczaj szczęśliwie nabyteurui za bezen, za trzy luidory... Zygmunt je wziął i zabierał się podziękowawszy odeliodzić, ale fałszywy baron chwycił za kapelusz także, aby go bawiać rozmową przeprowadzić... i nie puścił tak rychło... Być bardzo może, iż idąc po bilety, miał czas przygotować lapkę na Zygmunta inną, gdyż u samych drzwi restauracyi spotkała ich pięknego wzrostu, niezmiernie wystrojona pani, którą Redke powitał jako doktorową de la Vallée i zaraz jej przyjaciela swego barona Zygmunta przedstawił. Chociaż doktorowa była równie taśszywą elegantką, jak Redke nieprawdziwym salownowcem, tak była piękną, tak smutno-lagodny miała wyraz twarzyczki dosyć zmęczonćj, że Zygmunt spotkawszy jej wzrok omdlały, poczuł się tą znajomością mimo woli z intrygowanym.

P. de la Vallée zawiązała rozmowę, szła w tę samą stronę, do domu... Zygmunt nie myśląc przeprowadzać, posunął się za nią kilka kroków... Doktorowa pełna dowcipu i zręczności, zawiązała rozmowę. Najobojętniejszy człowiek, gdy do niego strzela piękna kobieta zręcznemi słowy, nie chce uchodzić za mazgaja. Z sarkazmem i ironią począł p. Zygmunt żartobliwą pogadankę... Szło to jakoś tak dziwnie gładko, że się nie opatrzył, jak się znaleźli na bocznej uliczce, w bramie bardzo okazałej kamienicy, a doktorowa zaprosiła, by raczyli chwilkę u niej wypocząć.

Redke się przyznał, że nie pili czarnej kawy.

— A! więc proszę na nią i na kieliszczyk prawdziwego *liqueur des isles*, który mam od kapitana Brooke'a.

— Od kapitana Brooke'a! temu się oprzeć niepodobna! przerwał Redke: idziemy... służymy.

Zygmunt chciał żegnać, doktorowa z niewieścią natarczywością ujęła go za rękę i rzekła:

— Al! po wschodach mnie pan przeprowadzi! Polacy są zwykle tak grzeczni! Stoję na drngiem...

Szli tedy na drugie piętro, ale Zygmunt zasepiony byli zawstydzony, że się tak dał wziąć po studencku.

— Niech się pan nie dziwi, że biedna wdowa po lekarzu... muszę mieszkać skromnie, póki proces z familią męża nie będzie skończony... Nie przyjmuję też nikogo prócz kilku przyjaciół nieboszczyka, do których baron Redke należy.

Skromne mieszkanie na drugiem piętrze wyglądało w istocie na wynajęte z meblami, lecz było do syć obszerne i nawet okazałe, chociaż elegancya jego przypominała znowu gust i rodzaj barona Redke'go... Piękna doktorowa, zmusiwszy Zygmunta sięść zajęła się kawą... Znudzony mąż Olimpii w końcu poddał się śmiesznej téj awanturze, uważając za dość zabawne to, iż sądzono, że się dał złapać, gdy tak jasno widział, w jakim był towarzystwie. Nie miał nic innego do czynienia, czekał więc na kawę i likwor... Doktorowa była po zrzućciu płaszczyka i kapelusza piękniejszą jeszcze... Uśmiech jój słodczy pełny, głos harmonijny, dziwnie się wiązały z dowiepsem ostrym i śmiałym... Do kawy podano likwory przedziwne... Zygmunt się zagadał, zapomniał, pozwolono zapalić cygaro... pani malutkie ekarte proponowała... Po kawie i likworze możnaż było odmówić?... Baron Redke wśród téj gry znikł niepostrzeżenie... Gdy się ostatnia partya skończyła przegraną dziesięciu luidorów, Zygmunt spojrzał na zegarek: nadechodziła go-

dzina koncertu!... Pożegnał więc co prędzej doktorowką zapraszającą go uprzejmie na rewanż, i pobiegł do hotelu. Ztąd panie już wyjechały, ale nikt nie wiedział do teatru, czy na koncert... Gniewny sam na siebie Zygmunt śpieszył już sam z biletami do sali... Na nieszczęście ktoś snadź dobrodusznego barona Redke niegodliwie oszukał: wszystkie trzy bilety kupione u niego były fałszywe. Zygmunt dostawszy lichy bardzo miejsce, weisnął się do przepelnionój sali.

*

*

*

Życie ma wiele stron smutnych, sztuka ma zagadek bez końca. Przestrasch nieraz ogarnia, gdy się w głąb fenomenów powszednich myśl zapuści. Patrzysz w oczy kobiecie... mówią ci językiem niebios, pieśnią aniołów... lecz nie żądaj, ażeby usta niemą tę pieśń powtórzyły: te śliczne oczy, w których ty czytasz tyle, nie roily o tém, coś w nich znalazł... Artysta wykonywa areydzielo, muzyka brzmi odecieniami najdelikatniejszych, w zachwyceniu idzisz uścisnąć dłoń wirtuoza, zaczynasz rozmowę i znajdujesz najprozaiczniejszego w świecie człowieka. To, czém mówił do twojój duszy, w jego własnej nie pozostało... Jakże tu nie przypuścić, że przez te palce demon jakiś, który je opanował, co je użył za narzędzia, przemawiał? że my wszyscy jesteśmy klawiszami wielkiego organu, na którym grywa czasem duch wszechświata, a czasem prosty organista! Te myśli przychodziły może niejednemu słuchając koncertu Ullmann'a, na który się wszyscy Anglicy, Amerykanie, Rossyanie, Polacy, a nawet oszczędni Szwajcarowie zebrali, aby się napawać cudownie wykonywaną muzyką arcymistrzów, odżywioną natchnieniem

najsłynniejszych wirtuozów Europy, choć, niestety! najpospolitszych w świecie ludzi w dni powszednie. Sławny tenor tego konsoreyum podobien był do heidelberskiej fasy, a piał jak słowik... Trzeba tylko było oczy zamykać słuchając, ażeby narzędzie, z którego wychodziły tony, nie psuło ich wrażenia...

Dwie panie, dzięki kelnerowi i nieszczędnemu złotu, dostały najlepsze dwa miejsca w pierwszym rzędzie. Nieszczęśliwy Zygmunt ściśnięty w tłumie, musiał z niezmiernym wysiłkiem i użyciem łokci zdobywać powoli w bocznej nawie sali stanowisko znośniejsze. Chciało mu się jeśli nie usiąść w jednym rzędzie ze swém towarzystwem, to stać przynajmniej na równi. Popychał więc z wolna mruczających proletaryuszów jak on, i w téj walce o byt przyszedł do tego wreszcie, iż mnogo nadeptawszy nagniotków i nabiwszy boków współzawodnikom, wypłynął do pierwszego szeregu.

Ztąd mógł doskonale widzieć Klarę w blado-liliowej sukni, jaśniejącą pożyczaną młodością i Olimpię ubraną czarno z ponsowemi wstęgami, zwracającą na siebie oczy wszystkich. Słyszał nawet domysły i dopytywania otaczających, z których jedni brali Olimpię za hiszpańską jakąś księżną, drudzy za Włoszkę, inni za Francuzkę... Piękność jéj, matowa bladość twarzy odbijająca od sztucznych rumieńców i białości pań siedzących obok, smutny wyraz intrygowały mężczyzn i niepokoiły kobiety... Najpowszechniejszém zdaniem było, że to być musi jakaś znakomitość arystokratyczna. Jakby dla dodania blasku Olimpii kontrastem obrachowanym umyślnie, wykwitła obok niéj różowa hrabina Klara... Pomimo wielkiego wdzięku

nie tailla sama przed sobą, że zgaszona przez sąsiadkę, służyła jej tylko za *repoussoir*.

Odśpiewała już pierwszą aryę sławna artystka, odegrał wiolonczelista przepyszne koronkowe waryacje, tenor zachwycił słuchaczy słodyczą swojego głosu dobywającego się z dziwną lagodnością z głębin kolosalnych jego piersi, gdy hrabina Klara niemająca programu spojrzała w ten, który trzymała jej sąsiadka. Następny numer zawierał trio Schumann'a, a fortepianową jego partycję miał odegrać Wloch, znakomity, choć jeszcze mało znany, artysta Fratelli. Sąsiadka nieznajoma, Amerykanka czuła się w obowiązku hr. Klarze udzielić wiadomości, iż Fratelli szczególnie nadzwyczajnym uczuciem w grze celował, że Ullmann go pierwszy gdzieś odkrył i dał poznać światu i nie wątpi, że Rubinstein i Bülow mieć w nim będą niebezpiecznego współzawodnika. Jeszcze szeptała Amerykanka, gdy pan Fratelli, piękny, słusznego wzrostu mężczyzna ukazał się na estradzie, witany rżęsiłtemi oklaskami. Postać była szlachetna, głowa pełna wyrazu, twarz jeszcze młoda, acz smutna i blada, a co najdziwniejsza, bujny włos otaczający ją, jakby dziwaetwem jakimś i igraszką natury był jak u starca siwy, prawie białe. Amerykanka właśnie szeptała na ucho Klarze, iż siwizna ta przedwczesna miała być owocem jakiejś strasznęj boleści, która pana Fratelli załedwie dwndziestokilkolętniego dotknęła, tak, że wysiwiiał jednęj noey. Podanie to, podobne do legendy więzienia Paganini'ego, nowego uroku dodawało wirtuozowi. Oczy wszystkich pań zwróciły się na niego z niewysłowionęm współczuciem. Piękny był, sympatyczny i jakaś poezya wiała od niego... Nie znać w nim było na popis

wychodzącego grajka, ale jakby kaplan melodyi występował z powagą surową, z czołem mgłą jakąś osnutém... Piękne rysy, wyraz oczu czarnych melancholicznych obudzał dla niego sympatyę.

W chwili gdy wychodził, Olimpia wzrok miała spuszczony i nie postrzegła go z razu, oklaski ją obudziły jakby ze snu, podniosła oczy, i hrabina Klara przerażona ujrzała ją zrywającą się z siedzenia, wyciągającą ręce i z krzykiem upadającą na krzesło. Ledwie miała czas ją pochwycić. Olimpia na pół była omdlala. Artysta w téjże chwili zobaczył ją także, drgnął, zdawało się, że z estrady zeskoczy, powłókl dlonią po czole... chwilę jakąś wahał się i chwycjącym krokiem poszedł do fortepianu. Zajęcie wirtuozem było tak wielkie, iż mało kto dostrzegł ten epizod, dosłyszał wykrzyk... przypisano go zresztą uwielbieniu dla Fratellego. Klara tylko przestraszyła się widząc słabnącą przyjaciółkę, podała jój śpiessnie sole, bez których nigdy nie wychodziła, i cichym głosem zapytała:

— Na miłość bożą! co ci jest?

Słabym głosem Olimpia mogła jój tylko odpowiedzieć:

— To on...

— Kto? gdzie?

— To on, to on, to Bratanek... powtórzyła Olimpia: ja go widzieć muszę... ja... umrę, jeśli go nie zobaczę...

— Nie masz potrzeby ani umierać, ani tak się niepokoić... jeśli to on w istocie... natychmiast go ściągniemy do ciebie. Zdaje mi się, że cię widział i poznał, dodała hrabina.

W téj chwili zwrócona ku Olimpui, spostrzegła Klara po raz pierwszy Zygmunta, który oczy miał wlepione w żonę. Trąciła ją, oznajmując o tém i szepnęła:

— Zygmunt tu jest, szpieguje...

— Nie myślę z tego robić tajemnicy, gorączkowo wzruszonym głosem odpowiedziała Olimpia, zapowiedziałam mu, że kiedykolwiek, gdziekolwiek spotkam tego, któremu się oddałam cała i na wieki, wrócę do niego... i będę... jego...

— Wszystko to bardzo heroiczne, przerwała Klara, ale Zygmunta ' trzeba znać. Sprzeciwić się nie będzie, ale napadnie Bratanka, obrazi go, wyzwie i zabije. Zygmunt strzela i szermuje doskonale... Na miłość Boga! nie unosz się Olimpio... abyś sobie i jemu nie zaszkodziła. Trzeba umieć kłamać i udawać. W sumieniu mówisz, żeś czysta i nie masz sobie nic do wyrzucenia... to dobrze, lecz od złych ludzi należy się uzbroić w środki ostrożności.

*

*

*

Ze spuszczoną głową a oczyma wlepionemi w wirtoza, który zdawał się już usiadłszy przy fortepianie potrzebować krzepić i otrzeźwiać, co rozpoczęcie tria opóźniało. Olimpia siedziała nieruchoma już i milcząca. Klara za nią egzaminowała otaczających, usiłując odkryć, czy się czego domyślali, czy co postrzegli... Zdawało się, iż porwanie się i krzyk Olimpii utonęły w entuzyazmie i oklaskach publiczności.. Szło Klarze o to, czy ich oko Zygmunta nie wysłodziło i nie obndziło podejrzeń...

Musiała za towarzyszkę myśleć i troszczyć się, bo Olimpia siedziała w jakimś zachwyceniu i niepokoju razem, wzruszona, nieprzytomna, nie widząc tłumu, co ją otaczał, ani się troszcząc o ludzi.

— Proszę cię Olimpio, miej baczność na siebie... Zygmunt niepowinien nic wiedzieć, niczego się domyślać... Tu idzie o twoje szczęście, o jego życie, powiedz to sobie...

Dla hrabiny Klary być wpłataną w tak zajmującą a osobliwszą intrygę było prawdziwem błogosławieństwem losu. Nudziła się tak okrutnie, a tu nagłe spadały na nią obowiązki, zajęcia, nad które miłych wyobrazić sobie nie umiała. Nie wiem czyby własny romans tak jęć był miły, tyle ich już przeżyła i ze wstrętem zerwała!

Wirtuoz właśnie ochłonawszy rozpoczynał grę, gdy Klara nie słuchając go wcale, zatopiła się w obmyślanu środków posilkowania przyjacielce...

— Ja ztąd nie wyjdę, szepnęła Olimpia, dopóki się nie upewnię, iż widzieć go będę. Znam go, będzie się sądził natrętnym, niebezpiecznym dla mnie i mojego spokoju, gotów ująć, trzeba temu zapobiedz... Ja się ztąd nie ruszę...

— Na Boga! miej rozum i spnść się na mnie Olimpio, żywo poczęła mruczeć jęć do ucha, podnosząc się Klara. Zygmunt patrzy... Ty... ty nie doczekawszy końca koncertu odjedziesz do domu, ja zostanę... Powierz mi swoją sprawę. Jeśli chcesz mi ją ułatwić, zabierz Zygmunta, posłój gdzie, zrób z nim co chcesz, aby mi tu nie przeszkadzał i wszystkiego nie popsuł. Jeśli odjedziesz, on się do mnie uczepli i wszystko sparaliżuje... Ty, jedź... pozwól mu, każ nawet jechać, choć na koźle...

— Nie mogę się poniżyć kłamstwem, stłumionym głosem odpowiedziała Olimpia.

— Zgubisz się tą przesadzoną szlachetnością. Ko-bieto! na miłość Boga i... tego twego muzyka, zakli-

nam cię, rób co każę... rób co ja powiem, inaczej krwawo się to może skończyć...

Olimpia zamilkła; znać było, że się woli wyrzekła choć ze wstrętem... Trio rozpoczęte słabo, w miarę jak artysta się niém rozgorączkowywał, z coraz większą szło brawurą... Dźwięki téj znanéj Olimpii muzyki działały na nią jak upajający napój... Złamana podnosiła się, rumieniec twarzy oblewał, oczy iskrzyły się, łono podnosiło niespokojne... zupełne przeistoczenie téj wpółmartwéj postaci dokonało się w niewielu chwilach... Wracala młodość, życie i bilo serce... Nie dostrzeżone lzy odwilżyły spalone powieki... Olimpia powstała z martwych niemal, taką, jaką była przed dziesięciu laty, gdy chciała umrzeć z nim razem.

— Nadto na tobie widoczne wrażenie... poczęła przestraszona hrabina. Zygmunt może się czegoś domyślić. Miarknij się, zwycięż... a po sztuce jedź natyebmiast do domu... Będzie to dla Zygmunta wytlómaczone. Ja powiem, żem cię namówiła przedtém, że muzyka wszakże widocznie ci szkodzi...

— Co mi Zygmunt? On, on mnie nie zobaczy, i pomyśli, że uciekam od niego, że widzieć go nie chcę... Ja odjechać nie mogę...

— Ja biorę na siebie wszystko, ja się do niego dobiję, ja go zabiorę... dodała hrabina natarczywie. Słuchaj mnie, lub za nic nie rękę.

Wśród tych szeptów, grzmot. oklasków oznajmił ukończenie tria. Wirtuoz wstał, szybko się sklonił słuchaczom, ocierając pot z czoła, i prędkiej jeszcze zniknął. Olimpia zdawała się cbcieć porwać i biedz za nim, ale hr. Klara nie spuszczała jég z oka. Nie tracąc jednéj chwili, dała znak stojącemu opodał

Zygmuntowi, aby się zbliżył, a widząc, że mu się do-
cisnąć trudno, sama wybiegła przeciwko niemu.

— Panie baronie, zawołała: wyciągnęłam niepo-
trzebnie Olimpię na koncert, ona nie może znieść
muzyki, ja nie chcę stracić reszty... Idź pan przodem
(ręki jej nie podawaj) wyszukaj powóz i odwieź ją
do domu. *Mais soyez donc raisonnable*, nie siadaj do
powozu z nią, jest i tak podrażniona, roznmiesz mnie...
siadaj na koźle... Pozyskasz ją sobie tém postępowan-
iem: wierz mi, dając ci dobrą radę...

Zygmunt słuchał i nie decydował się.

— Idź pan przodem! zawołała nakazująco. Olim-
pio—popchnęła ją—pan Zygmunt ci wyjście ułatwi,
jedź do domu.

Olimpia odwróciła się wahając. Klara była w ta-
kich razach despotyczna.

— Ale jedźże, proszę cię, jedź!.. ja cię proszę,
ja każę... na co się masz męczyć, ja natychmiast
przybywam...

Wstała więc Olimpia i skierowała się ku tłumo-
wi, którzy widząc ją idącą i Zygmunta wolającego:
Place pour une dame! rozstąpił się nicco. Oczy
wszystkich ją ścigały.

Tak wyszli powoli do przedsienia. Zygmunt roli
swej obronić się nie mógł; pobiegł po powóz z hote-
lu des Bergues i znalazł go, dopomógł się do milczą-
cej Olimpii, a sam po krótkim namyśle skoczył na
kozieł obok woźnicy... Przykro mu było spełnić ten
rozkaz dziwny... lecz Klara przestrzegła, a on uwie-
rzył, że ta dobrowolna pokora wywrze dobre wraże-
nie, chociaż Olimpia znalazła to tak naturalném, iż
mu za zasługę nawet znalezienia się tego nie po-
liczyła.

Pani Klara nie straciła ani chwili, wiedząc, jaką na siebie wzięła odpowiedzialność; nie wychodziła nigdy z domu bez książeczki i ołówka. Na jednej z kartek napisała po francuzku:

„Dama znana panu Fratellemu z Drezna, która go poznała mimo zmiany nazwiska, pragnie go widzieć. Ostrożność wymaga pośrednictwa. W pierwszym rzędzie siedzi ktoś ubrany liliowo, z kwiatami lotusu na głowie. P. Fratelli proszony jest, aby z tą panią jak najrychlej się rozmówił. Nie jęć nie krępuje.”

Z tą kartką wydartą z książeczki, od niechcenia się przechadzając, Klara zbliżyła się do orkiestry. Wybór jęć padł na biednego starego, którego funkęją było bić w bęben, na czém pewnie zarabiał niewiele.

Orkiestra spoczywała. Klara zbliżyła się do starego z luidorem w ręku i karteczką.

— Kochany panie, rzekła mu cicho, pokazując luidora: proszę go przyjąć za oddanie téj kartki panu Fratellemu; natychmiast drugi luidor za odpowiedź.

Staruszek, któremu nigdy tak łatwo się nie trafiło zarobić sztuki złota, pochwycił kartkę i znikł drzwiami na prawo. Bardzo niespokojna hr. Klara chodziła dalej wzdłuż i wszerz pod orkiestrą. Szczęściem skończyła się była pierwsza część koncertu, a przed rozpoczęciem drugiej zostawało dosyć czasu, by staruszek po luidora przygotowanego mógł powrócić. Ale Klara wyglądała go napróżno... Już muzycy zaczęli powracać na swoje miejsca, wszyscy i nikogo oprócz wielkiego bębna nie brakło, gdy i on ukazał się wreszcie ocierając pot z czoła. Klara przysunęła się niecierpliwie, wyciągając rękę z luidorem.

Natomiast stary oddał jój wielkich rozmiarów kartę wizytową, na której pod nazwiskiem: *Signor Giovanni Fratelli* dopisane były po francuzku słowa:

„Czekam na rozkazy u wyjścia z sali od téj chwili.”

Hrabina Klara, chociaż śpiewać miała znowu *Pat-ti*, posunęła się, chusteczką zasłaniając twarz ku wyjściu... Była sama jedna, ale śmiała jój postawa i głos wyjednały przejście wolne przez tłumy. Zmiewszy swą sukienkę, zmęczona znalazła się u wyjścia, oglądając do koła.

Po długich na ramiona spadających białych włosach i smutnym uśmiechu poznała stojącego na ubożu Bratanka. Ubrany był tak jeszcze, jak występował na koncercie... Pochwyciła go żywo za rękę.

— Grasz pan jeszcze w tym koncercie? zapytała.

— Nie, rzekł artysta: *entrepreneur* nasz wprawdzie żądał po mnie czegoś, ale mnie jeden z towarzyszków zastąpi, nie mam siły...

Spojrzała na niego Klara bystro:

— Poznałeś pan *Olimpię*?

Fratelli zarumienił się:

— O! pani, mógłbym jój nie poznać?

— *Olimpia* jest moją przyjaciółką, jest siostrą — ja wiem wszystko... Ona pana kocha... pan się z nią widzieć musisz... los szczęśliwy zbliżył was... Lecz nim pana zawiozę do siebie, musimy pomówić i muszę objaśnić, wytłómaczyć... Siadaj pan ze mną do powozu, i kaźmy jechać gdzie chce woźnica...

Fratelli się zadumał.

— Nie śmiem pani o tak wielką prosić łaskę, rzekł, ale ja o trzy kroki ztąd mieszkam...

— Zatem idźmy; wszak ja pana nie skompromituję? zapytała śmiejąc się Klara.

Fratelli, a raczej Bratanek, gdyż tak go odtąd nazywać będziemy, podał jęj rękę. W istocie w pięć minut drogi od koncertowego domu był hotelik, w którym zajmował pokój i salon. W pośrodku niego stał piękny fortepian, leżało mnóstwo rozrzuconych nót i kilka pulpitów; świeża tu odbyto próbę...

Bratanek podsunął fotel, na który hrabina Klara padła cała wzruszona i przejęta przygodą.

— Pozwól pan, rzekła, ażebym go wzięła na spowiedź... Kochasz ją pan? nie zapomniałeś?

— Po niej nie kochałem nic, oprócz sztuki; téj drugiey kochance winienem, że żyję, rzekł spokojnie, ale z głębokiém uczuciem Bratanek. Po katastrofie, od której w ciągu jednej nocy włosy moje posiwiały, chciałem sobie życie odebrać. Sądziłem, że to winien jęj i sobie. Zamknięto mnie do więzienia. Skarga matki i mściwe jęj starania zagrażały mi, kilkunastu latami *carceris duri*... Proccs prowadzony był staraniem i kosztem obrażonćj matki, wyrok na mnie zdawał się nieuchronny... Ludzie poczciwi ulitowali się nade mną. Przeciągnęła się sprawa z powodu, żeśmy uciekli z Saksonii, a proccs sądzony był w Pradze... Tymczasem ułatwiono mi ucieczkę z więzienia, i pod obcém nazwiskiem do Włoch uszedłem... Rodzina biedna, której byłem nadzieją i podporą, utrzymała mnie łzami swojemi przy życiu... Kazano mi ciągnąć dalej lata zatrute wspomnieniem błysku szczęścia. Jak żyłem, nie opowiem ci pani. Żyłem nie wiedząc nawet, czy mam płakać po umarłćj, czy boleć nad męczennicą...

Wstrzymał się chwilę i wyrzekł chmurno:

— Nie potrzebuję abyś mi to pani mówiła, czuję, że Olimpię zmuszono, że poszła za męża...

— Posłuchaj pan, będę z nim otwartą, odpowiedziała Klara, a słowem uroczystém zaręczam i po-przysięgam, że powiem prawdę... Olimpia kocha pana, a kocha tak, jak gdybyście wczoraj się rozstali przy tych dwóch trumnach. Dziesięć lat opierała się ojcu i matce, nie chcąc iść za mąż, uważając słowo swe dane panu za ślub święty, jego pierścionek za obrączkę ślubną. Zmuszono ją przed kilkunastu dniami.

Bratanek chwycił się za głowę. Klara się rozśmiała.

— Czekaj pan, odczuwała się, czekaj, nim będziesz rozpaczal! Tak jest, zmuszono ją przed kilkunastu dniami pójść za mąż, ale wiesz jak? Starał się o nią młody, ubogi, niktzemny człowiek... Przed ślubem Olimpia zawołała go i powiedziała mu wszystko... i zaprzysięgła, że inaczej za niego nie pójdzie, tylko aby być jego żoną imieniem, a twoją na zawsze... Musiał do ślubu dać jej *twoją* obrączkę.... Mąż ten jest jej obcy... ona nie mówi do niego, pogardza nim. Od ołtarza odszedłszy, nie dała mu się dotknąć ręki swojej.

Bratanek ukląkł przed Klarą.

— Pani, możeż to być?

— Zapowiedziała mu, ciągnęła dalej hrabina, że gdyby cię gdziekolwiek kiedy spotkała, wróci do ciebie, będzie twoją...

Uniesienie biednego człowieka było tak wielkie, iż chwycił kapelusz i chciał iść.

— Ale stójże na Boga! nie szalej, bo popsujesz wszystko! odezwała się hrabina. Nie wiesz jeszcze nic. Możesz się domyślać, że człowiek, co idąc do ślubu przyjął tak upokarzające warunki, na wszystko jest gotów, aby obronić żonę, która dla niego wyob-

raza majątek i stosunki... Ten mąż, któremu niewolno wejść do jej salonu, jest tu. Jeśli się domyśli w was pierwszego kochanka, jesteś życia niepewien. Strzela jak Gerard...

Bratanek się uśmiechnął.

— Nie boję się!... zawołał.

— Tak, ale ja lękam się o Olimpię... Trzeba postępować z największą ostrożnością, Olimpia czeka na mnie, abym jej o was znać dała... ale wprzód nim pojedę, ulóżmy się jak postępować mamy... Uczucie jej, rozbudzone obrzydzeniem dla męża, jest tak gorące, tak bezwładne, iż gotowa stracić głowę i popsuć wszystko. Niewiele więcej mogę rachować na pana... Na mnie więc spada ciężar cały...

Wstała hrabina, i gwałtownie zalamując dłonie, miotając się, poczęła się przechadzać po salonie. Bratanek stał oniemiały, marząc o swém szczęściu.

— Nie, to sen! mruczał: to sen chyba... Jam ją dawno w sereu pochował... Ona żyje! my jeszcze możemy być szczęśliwi...

— Jeśli oboje mieć będziecie rozum! rzekła hrabina: inaczej pan Zygmunt zabije—lub nie zaręczam, by nie struł. Olimpia ma wstręt do kłamstwa i komedyi, a tu właśnie grać ją potrzeba... Ja potrafię, ale za was dwoje nie starczę... Co tu począć?..

— Pani! zawołał chwytając ją za rękę i całując artysta: będę jej posłuszny, zrobię co każesz, ale teraz, zaklinam panią... pozwól mi widzieć ją tylko... zobaczyć na chwilę...

Klara namyślała się.

— A! no! daj mi pan rękę, narzuć co na ramiona, ażeby twe białe włosy niezbyt były widoczne... chodź ze mną, do mnie... zobaczymy...

Niecierpliwy Czech, nim dokończyła mówić, podał jej rękę, chwycił kapelusz... obwinał się chustką czarną... W ulicach było już ciemno... gdy wyszli, latarnie tylko światłemi pasami rozjaśniały gdzieniegdzie chodniki. Instynktowo wybrała Klara drogę, którą idąc jak najtrudniej poznani być mogli. Na wybrzeżu nadrodańskim przechodziło wiele osób, bo wieczór był bardzo piękny. Spodziewali się więc przesliznąć niespostrzeżeni do hotelu, gdy na paręset kroków przed sobą, Klara nagle spostrzegła wprost ku nim idącego z cygarem w ustach barona Zygmunta.

Chciała się rzucić w bok, ażeby go nniknąć i przycisnęła mimowoli rękę Bratanka, oznajmując mu, by się miał na ostrożności, ale już było za późno. Zygmunt spostrzegł ją i poznał, a zobaczywszy, że idzie z mężczyzną, przez samą złośćkę pośpieszył ją przywitać. Widział na twarzy Klary pomieszanie i gniew, to go bawilo właśnie. Klary jednak na długo zbić z tropu i pozbawić przytomności było trudno... Straciła odwagę tylko na przelotną chwilę. Gdy Zygmunt podniósł kapelusz, ażeby ją powitać szydersko, śmiała się już z wybornie odcgraną obojętnością.

— Prezentuję panu baronowi, rzekła śpiesznie, mojego dobrego przyjaciela, z którym w Medyolanie poznałam się w roku przeszłym: il signor professore Fratelli... talent *hors ligne*, znakomitość europejska.

— A! a! zawołał klaniając się szydersko i mierząc go oczyma Zygmunt: a! *charmé!* I dokądże państwo idą?

— Na przechadzkę... mamy z sobą tyle do mówienia o wspólnych znajomych... i o wspólnie nam ukochanej muzyce, bo ja teraz szaleję za muzyką.

— Nie wiedziałem, odezwał się Zygmunt trochę ironicznie.

— *C'est comme ça!* odpowiedziała Klara... A pan— dokąd?

— Ja, szepnął Zygmunt, szukam jakiegóż dawniej znajomości, czegoś, w czymbym mógł się tak zakochać jak pani w mnzyce... Idę bez celu...

— Pan wiesz, że podróże bez celu są rzeczą w świecie najrozkoszniejszą... *c'est l'inconnu*. Nie chcemy panu przerywać tej podróży odkryć...

To mówiąc, Klara lekko mu się skłoniła. Bratanek, który stał jak na mękach, domyślając się w tym wstrętliwym jegomości męża Olimpii, odetchnął, gdy nareszcie rozeszli się.

— To on! szepnęła mu po eichu Klara.

— Przeczulcem to... niezrozumiale wyjąknął Bratanek.

— Znając człowieka, kończyła hrabina, jestem przekonana, że szpiegować nas będzie, nie żeby się czegokolwiek domyślał, leez aby mieć przyjemność prześladowania mnie potem. Musimy być ostrożni...

Obejrzała się... Zygmunt szedł w kierunku przeciwnym, zdając się na nich nie zwracać uwagi.

— Ale ja panią skompromituję! zawołał Bratanek. Klara się roześmiała.

— Ja jestem wdową, wolną i nie lękam się żadnej w świecie kompromitacji, bo o nią nie dbam weale... Siadajmy do powozu, choć jesteśmy o kilka kroków od hotelu... to zbije z tropu.

Stało się jak Klara rozporządziła. Zygmunt, który w istocie po jakimś czasie zawrócił się, aby śledzić przyjaciółkę żony, zobaczył tylko oddalający się powóz... i nie chciał sobie zadawać pracy ściga-

nia go. Uśmiechnął się, pogardliwie ruszając ramionami. Szedł dalej podśpiewując i ziewając na przemian, a rozmyślając nad wpływem, jaki jego znalezienie się wywrze na uczucie Olimpi, gdy naprzeciw ukazał się pan major Redke...

— Jak to! pan nie na koncercie? odezwał się z bezwstydem prawdziwie godnym podziwu.

— Bilety, któreś mi pan dał, były fałszywe! rzekł Zygmunt.

— A! a! a! fałszywe! bilety były fałszywe! niegodziwey! Ale ja znam tych, co mi je sprzedali... pozwę... to sprawa kryminalna. Masz pan te bilety?

Zygmunt machnął ręką pogardliwie i chciał go pożegnać, lecz majora zbyć się niełatwo było.

— Za pozwoleniem! zawolał wstrzymując go: tak się rozstać nie możemy. Dzięki Bogu... noszę imię nieposzlakowane i chcę je czystém utrzymać! Samo posądzenie, cień, pozór już mi jest nieznośnym. Pan mi musisz pomódz do zdemaskowania oszustów.

— Sprawa tego niewarta...

— Dla pana, ale dla mnie gardłowa! gardłowa! powtórzył major. Nie rozumiem, nie chcę tego rozumieć inaczéj.

— Dajmy temu pokój, rzekł Zygmunt obojętnie.

— I nie slyszaleś pan Fratellego, tego artysty, który wyżej pójdzie od Liszt'a?...

— Owszem, slyszalem go, alem wyszedł z koncertu dla zbytniego gorąca... a Fratellego spotkałem przed chwilą.

— Gdzie?

— Tu... właśnie... z pewną damą...

— Szczęśliwy do dam pomimo swych siwych włosów! Ignań do niego, mówił major, usiłując widocznie przedłużyć rozmowę. Pan słyszałeś jego historycę?

— Nie, rzekł obojętnie Zygmunt.

— Tych siwych włosów dostał on nagle, jednej noc... różnie o tém rozpowiadają... że się kochał w bardzo dystygowanej panience, którą uwiódł, a gdy mu ją rodzice odebrali, z rozpaczcy w kilka godzin osiwił, jak go pan widzisz. Drudzy utrzymują, że kogoś zabił i zgryzota w więzieniu go ubiełlila.... Jabym jednak przysięgł, iż pierwsza historia musi być prawdziwą....

Na pozór obojętnie, Zygmunt, który jakoś drgnął słuchając, zapytał:

— Gdzież się to stać miało?

— Nie wiem; powiadają, że gdzieś w Niemczech, bo Fratelli tam podobno się kształcił na muzyka....

Zamilkł Zygmunt, lecz tych kilka słów, połączonych z dziwném przed chwilą spotkaniem, z pomieszaniem Olimpii, zrodziło w nim podejrzenie. Miałby los tak się nań spiknąć, ażeby mu rzucił w drogę właśnie tego jednego człowieka, który groził obaleniem całego gmachu tak mozolnie zbudowanego? lub była li w tém zmowa i porozumienie?

Krew biła mu do głowy... niepokój go ogarnął. Major, który szedł przy nim, usiłując go jeszcze wyzyskać, dopatrzwszy się téj zmiany fizyognomii, nie wiedział już co myśleć.

— Nie wiesz pan czego więcej o tym Fratellim? spytał Zygmunt: to jakaś ciekawa i zagadkowa figura....

— Znam go doskonale, wybuchnął Redke: bo ja, przyznam się panu, passyę mam do artystów... szukam

ich znajomości. Widzę, nie pochlebiając, że pan jesteście znakomitym fizyognomistą. Rzeczywiście zagadkowa figura... Włoch... nazwisko włoskie... a po niemiecku mówi lepiej niż po włosku... umie po rosyjsku, po polsku, po czesku...

— Tak? zapytał żywo Zygmunt: czy pewno?

— Niezawodnie... Zna niemal całą Europę.

— I Saksonię....

— Często bardzo rozpowiada o Dreźnie.

— A! wybuchnął baron, któremu twarz oblały płomienic: i to pewno?

— Słowo honoru! nie pozwoliłem sobie nie dodać... Kobiety dla niego szaleją, jak to już panu mówiłem, kończył Redke,—a on najmniejszej na nie uwagi nie zwraca. Żadna z nich nie czyni na nim wrażenia. Mowią, że tragicznej swój pierwszej miłości pozostał wierny...

Chwilę milezeli. Zygmunt szedł zamyślony penuro. Wątpliwość, jaka się w nim obudziła, rosła; przeczuje jakieś wskazywało mu nieprzyjaciela. Nie mógł się pozbyć tej myśli, że Fratelli jest pierwszym Olimpij kochankiem.

— Panie baronie, odezwał się po namyśle: lubię bardzo eksecentrycznych ludzi... przytém, przyznam się panu, obserwuję charaktery i w podróży szukam celu... nie mam eo robić. Panbyś mnie bardzo zobowiązał, ułatwiając bliższe zapoznanie się z Fratellim... Wiesz pan eo? rzekł po namyśle: a gdyby tak jego i jeszcze ze dwóch artystów zaprosić na śniadańko?.. Rozumie się, że poniósłbym koszta chętnie.

— Śniadańko??—twarz Redkego rozjaśniła się—tylko nie u tego trueiciela, u którego pan jadłeś obiad dzisiaj... Ja wyszukam lokal, gdzie jedzenie jest kszą-

żęce, a wina zdrowe i czyste. Artystów ze dwóch, i to pierwszój wody, obowiązuję się dostawić.... Fratellogo zaproszę... Jednak co do niego, uprzedzić muszę... rzecz niełatwa—unika zgromadzeń... nie lubi towarzystwa. Lecz od czegoż zrzeczność? Pan mieszkasz?... dodał Redke.

— Ja mieszkam z chorą żoną, pośpieszył Zygmunt odrzec ostrożnie: u siebie nie przyjmuję, lecz moglibyśmy się zejść...

— Ano! w salonie, czytelni, hotelu....

— Des Bergues....

— Porządni ludzie gdzieindziej nie stoją.

— Chodzi mi głównie o Fratellogo... lecz pan major zaprosisz go naturalnie w swojém imieniu—ja placę.

— Jesteśmy w porządku! zatarł ręce major uszczęśliwiony.

Rozstali się grzecznie. Jeszcze też od lat kilku nigdy mu się dobroduszniej, łatwiej nie dał nikt złapać nad Zygmunta. Wprawilo go to w bardzo dobry humor. Rzemiosło jego zaczynało od niejakiego czasu być bardzo trudnem... ogarniało go zwątpienie i smutne myśli o przyszłości zepsutego świata, gdy oto znalazł się tak zacny egzemplarz naiwnego wędrowca, który sam nadstawił ręce... do pęt.

— Nie mam czasu do stracenia! powiedział sobie major. Muszę się najprzód potargować z restauratorem... a byłbym osłem, gdybym na śniadaniu półtora franków nie miał zarobku!.. Zdaje się, że i doktorka go ściągnie jeszcze swą słodziuchną minką... z tego też kapnie dywidendka...

Zatarł ręce....

— Za bilety się nie gniewa, bom się umiał dobrze znaleźć...

To mówiąc, ruszył najprzód napić się absyntu, a potem za interesami.

*

*

*

W pierwszych scenach tego opowiadania Zygmunt dał się już nam poznać po części. Wychowanie, wpływ ojca, życie uczyniły go jednym z tych ludzi, którzy nie widzą przed sobą nad interes własny. Zaczynają oni zwykle od tego, że się przed opinią publiczną osłonić usiłują i czyściejszymi ukazać chcą się, niż są w istocie, a kończą jak on, idąc z jednych ustępstw w drugie, że psu oczy sprzedają, wedle pospolitego wyrażenia...

Zygmunt razem z szanownym ojcem swym był tego przekonania, że bogactwo pokrywa wszystkie plamy, jakie się przy zdobywaniu go dostało. I nie można się im obu dziwować, bo w społeczeństwie naszym dosyć dać dowód tego najwyższego rozumu, jakim się pieniądze zdobywa, ażeby w niém pierwsze uzyskać stanowisko. Imiona i familie upadają, bo zrujnowanym najpiękniejszych rodzin spadkobiercom społeczność nie przebacza *ruiny*, natomiast zapomina *podłość* największą tym, co się dorobili grosza.

Pieniądz pokrywa wszystko; pieniądz jest rękojmią konserwatyzmu, którym wyższe holdują sfery, pieniądz wyświeca ludzi na praktycznych, pieniądz daje im przywilej rozumu....

Najarystokratyczniejsze rody gotowe oddać córki, żenić synów z najbrudniejszych faeyendarzy potomkami, byle w posagu szły miliony. Mielśmy przykłady ludzi skalanych zbrodniami, których społeczeństwo

rozgrzeszało — kupione złotem... Smutna to prawda, stara jak świat, lecz dopiero dziś stała się ona znamieniem wieku. Dawniej bywały wszakże wyjątki i pewne majątki, za które swoje kwalifikacyi do wyższych sfer kupić nie było można; dzisiaj wszystko jest na sprzedaż.

Ojciec Zygmunta pierwszy tę prawdę podniósł do aksjomatu; syn ją przyjął za życia prawidło. Obaj razem mieli dodatkowe do swojego kodeksu artykuły. Szambelan wiedział, że ogląda i powierzchownie świetne wychowanie było warunkiem pomocniczym, nader pożądanym; syn utrzymywał, że spryt i gęba potrzebne były koniecznie. Obaj po cichu uznawali i to, że gdy się o wielkie kuśi rzeczy, w środkach nie ma co przebierać. To też gdy pan Zygmunt począł starać o Olimpię ze świadomością tego, czym mu to małżeństwo groziło, ojciec rozpyływał się nad rozumem i praktycznością syna.

On sam miał się za nadzwyczaj zręcznego... Nie wahał się udawać zakochanego w pani radczyni, maskować się przed ojcem, zdobywać pannę przebojem....

Był pewien, że skoro odejdzie od ołtarza, zwycięży jej wstręt i opór. Raehował wiele i na to, że Olimpia dla oczu ludzkich coś poświęci, a on z tych ustępstw skorzysta... W tak różowych myślach odjeżdżał po ślubie od ganku palacu w Zabrzeziu; ale już w Berlinie zadanie, które mu się zdawało z razu łatwem, okazywało się nierównie trudniejszem. Raehubę na tygodnie musiał przemienić na miesiące; uznawał, że się na charakterze żony omylił. W ciągu podróży do Genewy zamiast postąpić dalej, Zygmunt prawie się cofnął. Zaczynał wątpić o sobie, a w myśli szukać nowych środków pomocniczych.

słowo dane Olimpii o poszanowaniu jój woli i swobody, w jego przekonaniu nie wiązało go wcale; zlamalby je, gdyby się do tego nastęrczyła zrzeczność. Ale to sprowadzić stawało się niepodobieństwem. Spotkanie z Klarą, w którój z razu widział sprzymierzeńca, teraz wydawało mu się klęską. Najdziksze projekta chodziły mu po głowie; trudno je wszakże było przywieść do skutku. Chciał się pozbyć Szafranskićj, uwolnić od hrabiny; chwycić się już bodaj ostateczności, dopuścić przemocy, aby wejść w prawa swoje.

Zdawało mu się, że taki *coup d'état* zmieniłby jego położenie i uczynił go panem. Lecz jak tego było dokazać?

Zygmunt już zaczynał się czuć chwilami zniechęconym i znużonym. Rwał się gwałtownie, ale później trochę lenistwo go opanowywało i zobojętnienie. Przechodził tak ciągle z jedną w drugą w ostateczność.

Zygmunt im większym był samolubem, tém upokorzony czuł się nieszczęśliwszym. Wstyd mu było i ojca nawet, który mu dawał po cichu rady, niemożliwe dziś do wykonania. Męczył się i cierpiał okrutnie. Każda chwila zwiększała rozdrażnienie...

Dwa tygodnie posłuszeństwa i pokory, zamiast polepszyć stosunki, jeszcze je uczyniły nieznośniejszemi. Myślał, że Olimpia powoli się z nim oswoi, uzna *le fait accompli*, będzie obojętną, ale nie obcą... Od obojętności i zwolnienia ostrożności, od porzucenia obawy do spoufalenia, potem do pozyskania żony droga zdawała mu się łatwą. Tymczasem pierwszego kroku zrobić mu nie dawano... a od tego zależało wszystko.

Na takie usposobienie przypadł właśnie ów koncert. Zygmunt w tłumie stojący widział poruszenie Olimpii, ale go sobie wytłómaczyć nie umiał. Dopiero spotkanie z Klarą, rozmowa trafunkowa z Redkem, wzbudziły w nim podejrzenia.

Przelał się. Bądź co bądź, potrzeba było grożące niebezpieczeństwo usunąć. Jeśli Fratelli był owym tajemniczym pierwszym kochankiem, czuł, że wszystko było zgubione. Wprawdzie zostawał mu radca, którego córka się obawiała, znając surowe jego zasady; ale ucieczka pod władzę ojcowską była ostatnim, rozpaczliwym środkiem obrony. Po tylu ofiarach, po przelknięciu tylu wstydów i upokorzeń, być zagrożonym ruiną wszystkich nadziei, dla Zygmunta równało się śmierci. Powiadał sobie otwarcie, że człowiek w jego położeniu na wszelki sposób ratować się musi, bądź co bądź...

Rozstawszy się z majorem, na którego pomoc niewiele liczył, bo mu ten typ awanturnika był dobrze znany, pobiegł Zygmunt do hotelu. Chciał wiedzieć, czy ten Fratelli nie poszedł z Klarą do niej czy nie było w tém schadzki i zmowy. Miał wszakże do czynienia z kobietą przebieglejszą niż on był, i wiele doświadczoną. Hrabina przyjechała z Fratellim do hotelu, ale nim weszła, poszeptała z portyerem, weiskając mu kilka franków.

— Chcę być sama z moim bratem, powiedziała mu. Jeśliby niecznośny ten baron pytał, powiedzcie mu, że powróciłam bez nikogo i że położyłam się dla bólu głowy—co chcecie!

Gdy Zygmunt zapytał o Klarę, ziewający szwajcar oznajmił, że powróciła sama, chora, i kazała sobie przysłać służącą, bo się miała zaraz położyć.

Chociaż zwiastujący mu to miał minę nadzwyczaj-szczera i prostoduszną, Zygmunt nie zaufał mu. Dla przekonania pewniejszego udał się do mieszkania żony...

Dostukawszy się do drzwi zamkniętych, znalazł salon ciemny, a Szafrąńska gniewnie i kwaśno oznaj-mila mu, że pani dawno w łóżku.

Do hrabiny Klary wahał się zapukać; lecz wyroz-umował sobie, że może nie wiedzieć o tem, co mu na dole po-wiedziano... Drzwi były zamknięte .. nie otworzono ich wcale... Z sąsiednich wychyliła się miss Draper i w spo-sób bardzo niegrzeczny oznajmila mu o migrenie pani...

Podejrzliwy Zygmunt, nie mogąc tu dojść, a ma-jąc zawsze przeczucie jakiegoś niebezpieczeństwa, po-wiedział sobie, iż może, zszedłszy w dziedziniec, okna mieszkania hrabiny obejrzeć, czy też w nich znajdzie światło, którego migrena nie znosi.

Z tą myślą zsunął się po wschodach.... Obliczył dosyć dokładnie położenie tych okien... Hrabina ostro-żna we wszystkiém, zapobiegająca, jednakże tego spo-sobu szpiegowania przypuścić nawet nie mogła. Za-luzye nie były pozamykane, przez spuszczone franki widać było światło... a co gorsza, Zygmunt dostrzegł dokładnie trzy cienie, przesuwające się po pokoju... Dwa z nich łatwe dla niego do poznania były: Klary i Olimpii, trzecim był słusznego wzrostu mężczyzna. Jak wkuty pozostał Zygmunt w dziedzińcu; rze-czą jawną było, że go Klara zdradziła, że Olimpia znalazła tu pierwszego swego kochanka, że jest zgubiony, jeśli nie przedsięweźmie najgwałtowniejszych środków.

Nad temi trzeba się było namyślić... ale czas na-glił. Zdalo mu się, że wypuścić ztąd bezkarnie Fra-tellego było zgubić wszystko... Chwili nie miał do stracenia. Rzucił się ku swemu mieszkaniu po pi-

stolety podróże z pośpiechem nadzwyczajnym, obawiając się, aby tymczasem nieprzyjaciół nie uszedł. Pistolety były zapakowane, kluczy nie mógł znaleźć... odbił wieko podróznego ręcznego flomoczka, chwycił je do kieszeni... ładunków nie było... pistolety okazały się nienabite... Przewrócił wszystko, nie znalazł kul. Ograniczywszy się więc do pistoletów samych, dostatecznych, jak mu się zdawało, do zagrożenia nieprzyjacielowi, zbiegł do głównej bramy hotelu i tam stanął na straży.

Szwajcar zaspany i ziewający przechadzał się, nie nie wiedząc na pozór... Dowiedziona jest rzeczą, że w podobnych wypadkach zawsze służba bierze stronę tych, co są prześladowani, przeciwko tym, co prześladują... nawet gdy się nagrody nie spodziewa... Szwajcar doskonale rzecz rozumiał i domyślił się, że rozgorączkowany człowiek darmo tu na czatach nie stanął.

— Rozumiem, rzekł w duchu: chce tego jegomości złapać wychodzącego... ale zje licha...

Wszedł do swojej izdebki... Tam siedziała jedna z panienek pierwszego piętra, portyer szepnął jej słowo. Dziewczyna obrałowała się tak, iż gdy Zygmunt zaszedł za bramę, ona się niespostrzeżenie wyknęła wprost do baronowej. Nie wpuszczonej jej wprawdzie, lecz powiedziała pannie Draper, iż portyer prosi, aby wychodzący obcy pan z hotelu był łaskaw wyjść bocznymi drzwiami, gdyż główna brama jest już zamknięta...

Zygmunt tymczasem stał na warcie, udając kogoś, co świeżego używa powietrza... O jedenastej szwajcar począł zatarasowywać bramę... Niespokojny wartownik wahał się: zostać tu, czy zmienić stanowisko?..

— Cóż to? tak wcześnie? zapytał portyera.

— A po cóż ma stać otworem? rzekł tamten spokojnie: goście wszyscy popowracali, a obcy co byli w hotelu poodechodzili.

— Wszyscy? zapytał Zygmunt.

— Co do jednego, ja mam dobry rachunek.

Zastanowiło to barona... wszedł więc w podwórze znowu spojrzeć na okna hrabiny. Teraz już stały ciemne. Rzecz dla niego była niepojęta. Światło to i cienie nie przywidziały mu się przecie... Którędyż wyszedł ten, co był u hrabiny? Nie mógł przypuścić nic innego nad to, że się wymknął mu, gdy po pistolety pobiegł... Straż u bramy na nie się już nie przydała. Zawiedziony Zygmunt wrócił do mieszkania.

Należało obmyślić co czynić dalej. Zapytać Klary było daremnie; wiedział, że go wyśmiejce, i prawdy nie powie... wprost pójść do żony i żądać od niej wyznania, mogło tylko doprowadzić do zupełnego zerwania stosunków. Najrozumniejszém zdało się zmilczeć, ścierpieć, udawać, że się nie wie, nie pokazywać po sobie rozbudzonych podejrzeń, śledzić tę sprawę nieszczęśliwą, która już i tak była dla niego jasną, a z Fratellim poznawszy się, wywolać spór i pojedynek...

Tacy ludzie jak baron, zmuszeni często uciekać się do téj *ultima ratio*, którą są pistolety, przywiązują nadzwyczajną wartość do umiętnego obchodzenia się z niemi. Zygmunt był mistrzem w celnych strzałach; rękę miał pewną, silną, i nierzył tak w człowieka, jak gdyby celował do drzewa. Dał tego mnogie dowody... Pojedynek z nim nigdy dla niego nie mógł być tak groźnym, jak dla przeciwnika... Miał też w podobnych spotkaniach niepospolite szczęs-

cie. Szło wszakże o to, aby rozprawa odbyła się tak cicho, by jego i żony nie kompromitowała...

Na inną myśl i środek pozbycia się tego człowieka jeszcze był nie wpadł. Całą prawie noc spędził na zastanawianiu się, czy nie było to marzeniem? czy zazdrość nie czyniła go zbyt podejrzliwym?... O okna mógł się omylić... Témbardziej należało się więc przyznać tak, aby nie obudzając podejrzeń, dojść prawdy...

Już nad ranem rzucił się Zygmunt na łóżko, ironicznie śmiejąc się sam do siebie.

— Panie Zygmuncie, mówił w duchu, co za świetny los! jakie szczęście! jak miły stesunek domowy!... Ludzie ci zazdroszczą! Szańbelan marzy o zwycięstwie, a ja tu w błocie siedzę po uszy... A! nie ma co mówić: drogo kupilem fortunę i kolligację! Lecz poczekajcie: *rira bien qui rira le dernier*; wyzwaliście mnie do walki: zobaczymy kto silniejszy... Oszukujecie mnie... chytrym i ja być potrafię, a jeśli raz zemstę pochwycę... straszna będzie... Na Boga! będzie okrutna i niełitościwa...

W tych miłych myślach zasnął, gdy już świtać zaczynało, i nie dziw, że się nazajutrz dopiero około dziesiątej obudził.

Pierwszym przedmiotem, na który padł jego wzrok, były rzucone na stoliku pistolety. Przypomniały mu one cały przebieg sprawy wczorajszej i postanowienia, w których biały dzień go ugruntował. Ochłonawszy nieco, czuł potrzebę dyssymulacji, chłodu, rozwagi i wielkiego taktu... Wściekłość, którą miał w duszy, należało pokryć, utaić, nie dać się jęj domyślić.

Wstawszy późno, gdy po śniadaniu zszedł ubrany do baronowej, już jęj tam nie zastał. Obie z Olimpią wybrały się na przejażdżkę na cały dzień; miały

powrócić aż późno w nocy. Szafrńska nie umiała powiedzieć dokąd się wybrały; miss Draper pojechała z niemi... Spytany portyer nie wiedział nawet o wyjeździe, a tém mniej o celu... Jawném było dla niego, że przejażdżka ta wczoraj jeszcze musiała być wymyślona dla wygodnego widzenia się z p. Fratellim. Cóż to znaczyło, że Klara zabrała swego koczodana, jak nazywała Angielkę? — mogła właśnie wziąć ją dla swojego towarzystwa, Olimpię zostawiając z kochankiem...

Zygmunt wyszedł na miasto, spodziewając się gdzieś spotkać z majorem i dowiedzieć o śniadaniu. Nie mogąc go nigdzie znaleźć, poszedł do doktorów. Piękna gosposia przyjęła go tém uprzejmiej, iż powrot do jej domu świetne otwierał nadzieje. Tym razem zawiedzione jednak były. Zygmunt nie dał się zaprosić na śniadanie, odłożył dłuższe odwiedziny na później, a chciał tylko wiedzieć o majorze.

— Ale majora tylko co nie widać! zawołała piękna pani.

W istocie pan Redke nadszedł.

— Szukam pana, rzekł Zygmunt.

— A ja powracam od niego z hotelu... rozmówiliśmy się.

— Cóż z naszym śniadaniem?...

— Artystów mogę panu dostarczyć, ilu sobie życzysz, odczwał się Redke, ale tego Fratellogo ja mówię, że nie jestem pewien. Gdzieś mi do dnia ezmychnął. Nie ma go już w mieście...

Pobladał Zygmunt, gdyż wszystko podejrzenia jego stwierdzało.

— Więc innego dnia, majorze...

— Ja się teraz lepić dopilnuję, odparł Redke. Nie posądzałem go, żeby się kochał w rannych spacerach, które tylko kataru nabawiają. Prawda, że to nie śpiewak...

Doprowadzony do najwyższego stopnia niecierpliwości, Zygmunt wyszedł błąkać się po nad brzegami jeziora... Można sobie wyobrazić stan jego duszy i namiętność, która nim miotła. Niemal bezsilny, wzgardzony, szukał środków i nie umiał znaleźć skutecznych. Trzeba było milezcć i czekać... Cały tak dzień przewalał się po okolicach, próbując łódki, najmuje powozy do ciekawszych miejsc po za miastem, dopytując się od niechecnia o damy, w towarzystwie siwego mężczyzny; ale na ślad nic trafił nigdzie.

Zatrzymawszy się w małej gospodzie w Carouge, nie mając co robić, wpadł na myśl napisania do ojca poufnego listu, w którym z całém oburzeniem, jakie czuł w sobie, odmalował mu niężnośc położenie swoje. List był poufny, ale zawierał wszystkie szczegóły i nie ukrywał nic. Zaklinał szambelana, ażeby nie dał poznać rodzicom co się działo, bo nie chciał wzywać ich pomocy, ale zarazem żądał jego rady, a ehoćby uzalenia. List ten niebardzo był w istocie potrzebny, był on tylko wyznaniem niedolności i niemocy... wyrwał mu się bez namysłu w chwili jakiegoś zniecierpliwienia, by ulżyć nieco męczarni. Wrzucił go Zygmunt do skrzynki pocztowej, i dla odmiany odprawiwszy powóz, znowu pieszo wracał do miasta...

Dobrze już zmierzchało, gdy doszedł na rodzinskie wybrzeże, poczynające się latarniami gazowemi oświetlać. Nie miał się czego śpieszyć, szedł zadu-

many powoli.. Postanowił, jak tylko te panie powrócą, rozmówić się otwarcie—ale z kim? Nie był jeszcze pewien... Z żoną nie chciał zrywać zupełnie; wołał więc spróbować obudzić współzucie w Klarze, której znał dość łatwo zmieniające się usposobienia, pod wrażeniami nowemi.

W progu hotelu, na zapytanie o te panie, szwajcar mu odpowiedział, iż właśnie powróciły przed niedawną chwilą. Poszedł więc do hr. Klary.

Miss Drader siedziała sama w salonie nad książką, pani samą nie było.

Grzecznie bardzo Zygmunt poprosił jej, czyby Klary na chwilę rozmowy nie raczyła wezwać. Angielka dość kwaśno spełniła żądanie. W chwilę potem otworzyły się drzwi zamaszysto, i Klara balaśliwie weszła, chcąc wielką swobodą ruchów i udanem roztrzęsaniem pokryć pomieszanie i pewną obawę. Domyślała się, jeśli nie wszystkiego co ją spotkać miało, to przynajmniej kłopotliwych pytań... Zygmunt i ona zmierzyli się oczyma. Klara wyczytała w nim spotęgowane zniecierpliwienie i gniew; on widział, że była winna i potrzebowała się sama odurzyć nieco, aby jego wywieść w pole. Niespokojnie i gorączkowo wyglądała.

Miss Draper domyślając się, że jej przytomność była zbyt duża, zabrała swoją książkę i wyszła. Zygmunt stał milezący.

— Pewnie się pan zdziwić musiał, nie zastawszy nas dziś rano? odezwala się Klara. Olimpia potrzebuje rozrywki, musiałam ją wywieść na cały dzień...

— Czy i pan Fratelli towarzyszył paniom w tej wycieczce? zapytał Zygmunt.

Niespodziane to pytanie, którego nie przewidywała Klara, widocznie ją zmieszało i schwytyło niespodzianie. Zarumieniła się, zrobiła ruch ręką niezrozumiały, otworzyła usta, namysliła się co odpowiedzieć: kłamać czy być otwartą? Skrzywdziłbym płć piękną, gdybym powiedział, że mając do wyboru między prawdą a fikcją, zawsze woli począć od zmyślenia; wolę powiedzieć, że charaktery takie jak hrabiny przekładają, czując swą słabość, tajemnicę i wybiegi nad prostą drogę, wiodącą do walki, której się obawiają...

— Fratelli? podechwyła Klara z fałszywym uśmiechem; z kądże to znowu?

— Wszakże wczoraj wieczorem, gdy tu był, zapewne umowa stanąć musiała... dodał Zygmunt.

— Tu był? wieczorem?!. Fratelli?.. jakając się powtórzyła Klara, a jakże pan możesz o tém wiedzieć, i kto panu dał prawo mnie szpiegować? Wszakże się pan we mnie nie kochasz?

Zbywała go żartami, ale w głosie drżenie czuć było.

— To pewna, że się nie Kocham i że o panią hrabinę zazdrosny nie jestem; ale mam prawo uważać na żonę... a Olimpia była tu wczoraj razem z panią i *nim*.

Wypowiedział to z taką pewnością, że Klara zbladła.

— To coś szczególnego! wyrzekła wreszcie. Cóż to za domysły? z kąd te jakieś podejrzenia bezsensowne? A gdyby w istocie Olimpia była u mnie w czasie, gdy mnie odwiedzał Fratelli, cóż to za kryminał, że go jęj zaprezentowała? To doskonale!

— Czy tylko ten pan Fratelli potrzebował być jęj prezentowanym? z ironicznym śmieszkiem spytał

Zygmunt, który ustać nie mogąc, miotał się po pokoju rozmawiając.

Klara milezala.

— W głowie ci się przewróciło, panie Zygmuncie! ofuknęła się. Pojmuje bardzo, że patrząc codzień na piękną kobietę, która się żoną nazywa, a być nią nie chce, można nabrać złego humoru, ale nie trzeba dopuszczać się do fiksacyi. Panu się w głowie przewróciło!

— Radbym, żeby to było manią tylko, dodał Zygmunt; ale na nieszczęście zdaje mi się, że tak nie jest... Znalezienie się mojej żony w czasie koncertu... cała machinacya pani po nim...

— Machinacya! powtórzyła śmiejąc się Klara ładny wyraz...

— Inne oznaki, których nie potrzebuję tu wymieniać, naprowadziły mnie nie na domysł, ale na *pewność* prawie, że ten Fratelli... jest pierwszym kochankiem Olimpii...

Po licu Klary przeleciała jak błyskawica bladeść śmiertelna, wzięła się za boki, padła na kanapę, i śmiała się, z achodziła, i płakała prawie, i doszła niemal konwulsyj z tego śmiechu. Lecz gwałtowność tego wybuchu, nienaturalność jego, przesada, przedłużenie, byłyby najtępszego nawet człowieka naprowadziły na podejrzenie, że to było udaniem, a nawet dosyć niezręczném. Na Zygmuncie uczyniło to wrażenie potwierdzające podejrzenia. Dotąd posądzał, teraz zaczynał być pewnym.

— A wiesz! wołala, ciągle przerywając sobie śmiechem: to przedziwne! to doskonale! to niezrównane!.. Godzien jesteś dostać się do Bonifratrów!.. Co za bujna imaginacya... cha! cha!

Baron stał chłodny, z zaciśniętymi ustami, patrząc na nią z taką pewnością siebie, że ją gniew porwał. Zerwała się z kanapy zaperzona.

— Dajże mi pan pokój ze swemi przywidzeniami!... Nie mam powodu się panu z niczego tłómaczyć, a gniewam się za ten rodzaj konfessaty, której mnie poddajesz. Cóż to znowu ma znaczyć?

— Przepraszam panią hrabinę, rzekł Zygmunt; weszłaś pani wypadkiem, który z początku za opatrnościowy uważałem, między mnie a moją żonę... *Vous en subissez toutes les consequences.*

— Jeśli pan sądzisz, że mnie znudzisz i odstraszysz, aby sam na sam z nią pozostać i zamęczać biedną kobietę, przerwała Klara,—mylisz się bardzo. Tak, opatrnościowo się tu znalazłam, aby stanąć w jej obronie... i nie opuszczę... Nazywasz ją swoją żoną?... *c'est parfait!* dodała: ale pan żadnych a żadnych praw do niej nie masz, zaślubiłeś ją nawet cudzym pierścionkiem... warowała sobie, że zostanie mu obcą. Spodziewam się, iż ma prawo czynić co chce...

— O tyle, o ile to honoru mego nie płami, przerwał Zygmunt.

— Pańskiego honoru! z przekąsem powtórzyła Klara: przepraszam, ja wiem doskonale od Olimpi, jaka była umowa... Przestrzegła pana, że ma zupełną swobodę postępowania, bez granic... Na straży wspólnego honoru ona tak dobrze stać potrafi jak pan.

— Więc przyznajesz pani, że jest w niebezpieczeństwie?

— Ja? któż to panu powiedział? Co się panu śni? gwałtownie wybuchnęła Klara.

— Jak widzę, nie tu nie zyskam, pani mnie rozumieć nie zechcesz... Muszę być otwartzym niż

chciałem. Możesz to pani powtórzyć Olimpi. Przed ślubem obiecywałem jej co chciała... lecz ślub łamie podobne niezgodne z prawem i rozumem przyrzeczenia. Zapytaj pani pierwszego lepszego prawnika lub księdza, co taka umowa jest warta?

Rozśmiał się dziko...

— A! więc już tak otwarcie mówimy! śmiejąc się i spoglądając nań badawczo dorzuciła Klara: to co innego... Jeżeli pan uciekasz się do takich środków, ja mam honor mu powiedzieć, że właśnie radziłam się w interesie Olimpi księdza i prawnika, *c'est fait*, oba mi odpowiedzieli, że ślub jest nieważny, i że małżeństwo z największą łatwością może być zerwane...

Z kolei pan Zygmunt zbladł i zmieszał się; była to jedyna ostateczność, której się obawiał... Bądź co bądź nie chciał rozwodu i unieważnienia. Znalazł się więc w położeniu, w którym już bez zuchwalstwa, jakic okazywał z razu, trzeba było udawać bezpiecznego, nie będąc takim weale.

— Zobaczymy, czy można tak łatwo zerwać ten związek, bez wywołania skandalu... Zmuszony, ogłoszę światu...

— Własną nizezemność! zawołała rozgniewana Klara: dajże mi pan pokój... Idź pan i czyń co chcesz; ja się nie chcę mieszać do tego... i z nim rozprawiać, oburzasz mnie... Proszę wyjść, proszę wyjść i uwolnić mnie na przyszłość od podobnych odwiedzin.

Odwróciła się od niego zaperzona i poszła ku drzwiom sypialnego pokoju. To wypowiedzenie wojny i zerwanie stosunków nie na rękę było baronowi. Stał nie ruszając się z miejsca; nagle zmienił ton.

— Hrabino! zawołał: nie masz ani odrobiny serca, ani litości, ani miłosierdzia nade mną... Przypo-

mnijże sobie położenie moje, postaw się w miejscu mo-
jém... pomyśl co ja cierpieć... Czy się godzi?...

— A któż cię popchnął w to? odwracając się
rzekła Klara. Miałabym zaprawdę politowanie nad
nim, gdybyś był zawiedziony, oszukany, gdybyś roz-
mierzył dokładnie tę kałużę, w którą wszedłeś z dob-
rój woli...

— Ale ja tego z dobrej woli nie zrobił! zawo-
łał Zygmunt, wpadając na nowy środek obrony.

— Jak to? któż pana zmusił? *Farceur!* powiesz
mi, że miłość! *Allons donc!*

— Nie miłość.

— Cóż? kto?

— Posłuchaj pani, rzekł Zygmunt udając głęboko,
wzruszonego. Ojciec mój wymagał tego po mnie, za-
klinał, nakazał... Byliśmy zrujnowani, trzeba się by-
ło dźwigać i ratować. Opierałem mu się... sofizma-
tami mnie złamał, zmusił moralnie... uległem...

Hrabina patrzyła nań ze zdziwieniem wielkiem
a nawet z pewnem politowaniem, ale nie przekonał
jój wcale... dziwiła się tylko cynizmowi tego kłam-
stwa i środkowi, jakiego użył, aby uzyskać jój współ-
czucie.

— To są sprawy familijne, rzekła, które dla
świata pokrywa tajemnica. Trudno wszakże uwierzyć,
aby ktoś taki jak pan Zygmunt, dał się tak dalece
ojcu powodować. Ale ostatecznie, czego pan chcesz
ode mnie? ja nic nie rozumiem, oprócz że mi pan
burdę robisz w mojem mieszkaniu...

— Pytam się pani, czy chcecie mię swém po-
stępowaniem przywieść do ostateczności?...

— Pytaj się pan żony o to, co ona czyni? ja za
nią odpowiadać nie myślę...

Ukloniła się i wyszła.

Tak nie nie dokazawszy, a popsuwszy tylko swą sprawę tém, iż się wydał, Zygmunt musiał wyjść.... W korytarzu się zawahał. Chciał zaraz do żony pójść i rozmówić się z nią; rozważa mu wskazała, iż toby do niczego więcej doprowadzić nie mogło.

Znękany, z głową zbolalą, zawrócił się do mieszkania... Całodzienna włośćęga odebrała mu siły, rozmowa z Klarą nabawiła gorączki. Z rodzajem rozpaczy wpadł na drugie piętro i rzucił się na kanapę. Godzina była już dosyć późna... Zdziwił się, słysząc wkrótce pukanie do drzwi... zapalił światło, o którym zapominał... We drzwiach stał major Redke...

— Pan baron mi daruje, że w tak późnej godzinie przychodzę, ale byłem tu już parę razy. Chcę pomówić o pięknym projekcie tym śniadania z artystami. Czy panu stanowczo idzie o tego dziwaka Fratellego, bo jabym mu dostarczył daleko przyjemniejszych chłopaków, co się zowie miłych i wesołych, a to jest tettryk, nudziarz... i...

Z razu Zygmunt niedobrze zrozumiał i kwaśno przyjął Redkego, który rzuciwszy badawczém okiem po pokoju, co najprędzej zabrał miejsce, aby dłużej pozostać; w końcu jednak pomiarkował, że ten awanturnik na coś mu się przydać może.

— Jestem ciekaw bardzo Fratellego, bo o nim wiele słyszałem, i głównie idzie mi o niego.

— A tu właśnie główna trudność jest mieć go, bo dzisiejszego dnia, jak się dowiaduję, nie wiedzieć z jakiego powodu zerwał umowę z Ułmannem, między nami mówiąc, złą, korzystną tak, że drugiego podobnie nie znajdzie, i jakby go co paliło, zapakował się, zabrał... siadł słysząc na kolej i wyjechał

niewiadomo dokąd. Powiadają, że ojciec mu podobno umiera...

Zygmunt aż się zerwał z kanapy, usłyszawszy to.

— Dziś? już wyjechał?

— Ale tak, że się nawet z nikim nie pożegnał... że... ani go można było pochwycić!

— I dokądże pojechał? dokąd? niespokojnie i nadto wydając się niepotrzebnie ze zbytniem zajęciem, począł Zygmunt pytać.

Redke popatrzawszy nań, domyślił się łatwo, że tu coś więcej w grze być musiało nad prostą ciekawość; dla niego nastęczała się doskonała sposobność wyzyskania kieszeni nowego znajomego. Oczy mu błyszczały radością, której ukryć nie umiał...

— Jeżeli to w istocie barona z jakichkolwiek bądź powodów obchodzi, rzekł cicho, ja tu mam stosunki... mogę powiedzieć takie jak nikt... nawet w policyi (dodał szepejąc). Ja mogę dojść co się z nim stało. W istocie jest coś nienaturalnego w tej całej sprawie wyjazdu... Okrył się tajemnicą... Jeśli pan baron mi zlecisz to, i zechcesz—nie mnie, bo ja bezinteresownie ofiaruję mu usługi moje, ale ludziom, których nżyć muszę, wynagrodzić... postaram się doksledzić...

Zaklopotał się pan Zygmunt i zawabiał, nie chcąc się oddawać w ręce człowieka, którego wartość łatwo mu było ocenić. Począł się śmiać.

— A! to fantazyja tylko! zawołał: nudzę się... chciałem studyum zrobić na człowieku, o którym bardzo wiele słyszałem... lecz znowu tyle zachodów!..

— To rzecz łatwa... kilka luidorów, a dowiemy się, rzekł Redke.

— A! o kilka luidorów nie idzie ..

— Zatem... zrobię śledztwo...

Pomacał się po kieszonkach Redke.

— Idę zaraz, trzeba korzystać z chwili, ale na nieszczęście zapomniałem sakiewki w domu, a ci ludzie lubią gotówkę.

Zawstydzony nieco Zygmunt dobył pięć luidorów i położył je na stole przed gościem, który skwapliwie schował je do kieszeni, wstał i począł się żegnać.

— Będziemy wiedzieli co się z nim stało! dodał. Bądź pan baron spokojny... Jutro spodziewam się przynieść wiadomość. A jeśli się pan nudzisz w domu, dodał ciszej, czemużbyś nie chciał wieczoru spędzić u miłej naszej doktorowej? Osoba dystygowana bardzo... a uważałem, co rzadko, że się jej pan podobają... Wspominała mi o nim i dopytywała parę razy... Dom miły, towarzystwo poważne... bo niekażdego przyjmuje... Z rzadkim taktem kobieta...

Zygmunt wysłuchał tej mowy z obojętnością grzeczną, i złożył się bolem głowy, który go spocząć zmuszał... Redke pożartowawszy jeszcze, z pięciu luidorami w kieszeni, wesoły... wysunął się za drzwi.

Zniknięcie Fratellego dawało do myślenia i znowu potwierdzało domysły, nabierające coraz więcej prawdopodobieństwa...

— Jeśli nie potrafię go pochwycić, rzekł Zygmunt: przegrałem sprawę... Trzeba go wyzwać i zabić.

*

*

*

Nazajutrz, gdy po bezsennej nocy poprzedniej, zasnąwszy głęboko, zbudził się pan Zygmunt nierano, i ująwszy sobie kelnera, posłał go się dowiedzieć, co się z paniami dzieje, doniesiono mu, że hrabina jest

w domu i już wstała, a baronowa Olimpia leży w łóżku chora, nie przyjmuje nikogo, a nawet zapowiedzieć kazała, że do obiadu nie wstanie i jeść będzie u siebie. Po herbacie poszedł się dowiedzieć do drzwi Olimpii; skrzywiona twarz Szafrąnskiej ukazała się tylko i kwaśno zapowiedziała, że z panią *nikt* się widzieć nie może. To hermetyczne zamknięcie się, doprowadziło go do najwyższej niecierpliwości. Od drzwi żony poszedł do Klary.

Znalazł ją nad książką, bardzo spokojną i nad jej zwyczaj poważną. Popatrzała nań z dala, bez gniewu, ale obojętnie... Zygmunt pokłonił się z sztyderską przesadą grzeczności.

— Czy nie raczy mi pani choć pięciominutowej wyrobić audyencyi? zapytał. Rzecz oryginalna. Skazany jestem na nieoglądanie oblicza mojej żony...

— Olimpia chora, leży, rzekła Klara.

— Tém niespokojniejszy jestem... Cóż to takiego? Możeby doktor?

— Doktor już był, nakazał kilkudniowy, zupełny, absolutny spoczynek, tak dalece, że mnie tam nawet nie puszczają.

— Cóż to jest?

— Nerwowego coś.

— Zatem ani sposobu widzenia się?..

— Sądzę, że pan poszanujesz radę lekarza i zdrowie żony.

— Muszę... ale gdybym kilka słów napisał?

— Doktor żadnych listów oddawać nie kazał.

— Jakież to doktor?

— Nie wiem jak się nazywa....

— Ja tu wyborną odgrywam rolę, nawet w oczach służby hotelowej! dodał Zygmunt. Nazywam się mę-

żem, a po trzy dni przystępn nie mam do pani baronowój...

— Ale to przecię nie tak dziwnego! rozśmiała się Klara. W wielkim świecie to najpospolitsza rzecz... *Très bon genre*... Nikogo to wcale nie zadziwi!... O! o to pan możesz być spokojny... to nie wielkopolski zaścianek...

Klara dopowiadając tych wyrazów, usiadła znowu w krześle z książką, jakby chciała czytać dalej i dać mu odprawę. Zygmunt nie miał tu co robić; wyszedł.

Położenie w istocie coraz się stawalo mniej zabawném... Przeczenie mówiło, że coś groźnego dzieje się w tój ciszy, że to wszystko jest wymysłem i pokrywką, a Zygmunt nie miał środka dobadania się prawdy. Wszystko co go otaczało, było przeciwko niemu. Po raz pierwszy szczerze pożałował lekko-myślności, z jaką się w to nieszczęśliwe małżeństwo rzucił, dobijając się męczarni, której obrachować nie mógł.

Wyszedł z tego złowrogiego hotelu ze spuszczoną głową, sam nie wiedząc, dokąd iść, co poczynić i jak się ma ratować. Stać tu na straży było zupełnie próżnem: wszystko spiknięte było na niego, a gdzie kilka kobiet weźmie się za sprawę jedną, tam żaden mężczyzna pochlebiać sobie nie może, aby im mógł stawić czoło.

Myślał już nawet, czyby nie lepiej uznać się po prostu zwyciężonym, pożegnać panią i pojechać gdzie w świat? Ale cóżby powiedzieli rodzice jój, ojciec jego i miłość własna?

Cały dzień zszedł znowu na najniedorzeczniejszém płatanu się po ulicach, kawiarniach i restauracjach... Nad wieczór spotkał go Redke, który jeszcze nie

o Fratellim nie wiedział, i pociągnął do pani doktorowej. Tu znowu coś przegrać było potrzeba w miłym *tête à tête*, gdyż major dyskretny, jak tylko go wprowadził, wychodził, by im nie przeszkadzać. Piękna pani napróżno starała się rozbudzić znudzonego i smutnego Zygmunta, a przynajmniej dobyć z niego tajemnicy, któraby jej pomogła do opanowania człowieka... Szczerściem p. Zygmunt był nadto doświadczony, ażeby się z czémkolwiek niepotrzebnie wygadać i dać wziąć tak naiwnymi sposobami. Tak zszedł dzień. Wieczorem Zygmunt wchodząc do hotelu, dostrzegł prawie nieznaczny uśmiezek szyderski na twarzy odźwiernego, który mu klucz oddawał, i to go na nowo wzburzyło. Ludzie więc obcy szydzili sobie z jego utrapionego położenia!

Złości, w jaką go to wprowadziło, nie odmalować nie potrafił. Trzęsąc się wszedł do swego pokoju; czuł, że mu się w mózgu przewraca. Krzesło, które pochwycił, w kawałki w rękach się jego roztrząsało.

Nazajutrz rano posłał już tylko kelnera spytać u Klary o zdrowie żony, i czyby się z nią przypadkiem widzieć nie mógł? Kazano mu odpowiedzieć, że doktor zabronił najlżejszego wzruszenia. Nie poszedł już nawet do Klary... Ta przedłużona choroba dawała mu wiele do myślenia...

W południe przyszedł wesoly bardzo Redke, oznajmując, że nie pięć, ale ośm musiał luidorów wydać na poszukiwania, lecz ma największą pewność, iż wspomniany Fratelli, pomimo to co mówił o podróży, dalej niż do Szwajcaryi gdzieś nie wyjechał. Zgadzało się to z domysłami pana Zygmunta i zdało prawdopodobnym. Redke dodał, że możnaby przy użyciu właściwych środków dojść jego schronienia.

Zygmunt jednak dalej już endzemi a niepewnemi rękoma nie chciał tych poszukiwań przeciągać; podziękował grzecznie i odpowiedział obojętnie, że o to mu wcale już nie chodzi. W godzinę potem Klara sama zapukała do jego drzwi.

— Chciałam, rzekła, uwiadomić pana, że Olimpia ma się cokolwiek lepić, ale doktor coraz przeciąga czas wyznaczony koniecznego dla niej odpoczynku. Możesz pan być spokojny, groźnego nie ma, ale i dziwném nie jest, że po doznanych wzruszeniach tyłu potrzebuje spocząć, i że widok pana szczególnie mógłby dla niej być zabójczym.

— Jak to? aż zabójczym? podchwycił Zygmunt szydersko.

— Nic potrzebuję ukrywać przed nim, odezwała się Klara: że uczucie wstrętu, jaki ma ku panu, jest posunięte do tego stopnia, iż imienia jego wspomnieć niemożna, żeby nie dostała spazmów.

Popatrzała się na niego hrabina. Zygmunt śmiał się ze złości.

— A jednak, rzekł, trzeba na to znaleźć środek jakiś, żeby się znosić... przecież na wieki od jęj oblicza odepchniętym być nie mogę.

— Mnieby się zdawało, szepnęła Klara, iż najrozumniejszym ze wszystkiego byłby jakiś układ... zapewniający panu pewne korzyści, a dający obojgu zupełną swobodę... Nie byłoby to bezprzykładném....

— Jeszcześmy do tego nie przyszli, oburzony rzekł Zygmunt. W parę tygodni po ślubie, zdaje mi się, że toby było za wcześnie.

— Ludzie się drugiego dnia rozchodzą! szepnęła Klara.

— Tak, ale ja i pierwszego nie miałem, odczwał się Zygmunt.

— Zdaje mi się, że tego, jak go pan zowiesz pierwszego, nigdy się nawet spodziewać nie możesz...

— Zobaczymy, szanowna pani, kłaniając się, rzekł Zygmunt: ja bywam uparty...

Klara rozśmiała się, ruszyła ramionami i odeszła... Zygmunt usiadł pod oknem i zadumał się jak student. Był już znudzony sam sobą.

W téj chwili służąca, która potrzebowała oczyścić mieszkanie, weszła już drugi raz ze szczotką, popatrzała na Zygmunta, i nie pytając go o pozwolenie, zaczęła z wolna swoją robotę... Była to około lat trzydziestu panienka, niegdyś snadź bardzo piękna, a dziś zwiedła, ale z wyrazem twarzy, w którym dawna dumna była jeszcze widna.

Na lekko zmarszczoném czole znać było, równie jak w zaciśniętych ustach, nspodobienie gniewliwe niemal i złośliwe... zdawała się tylko z musu i przeciw woli spełniać te obowiązki służi, niezgodne z pojęciem, jakie miała o godności swojej. Badacz byłby wyczytał w téj fizyognomii całą przeszłość dramatyczną, namiętną, zakończoną jakimś rozbiciem i wyrzuceniem na ten brzeg pusty hotelowego służebnictwa.

Kilka razy, uprzątając, popatrzała na Zygmunta, ruszyła ramionami, odchrząknęła, nie mogąc na siebie zwrócić jego baczności. Naostatek baron spojrział ku niej zdziwiony nieco, że ją zobaczył. Miał minę posępną i niepociągającą wcale.

— Co to? czy i pan chory? odezwała się do niego głosem dziwnym, z odcieniem małego szyderstwa.

— Ja? chory? dla czego?

— A tak... smutno pan wyglądasz...

— Dziwno mi, żeś to waćpanna spostrzegła.

— A któżby tego nie widział? Chodzisz pan całe dni jak nieswój—przebacz mi—między temi kobietami.

— Jedna z nich jest moją żoną! przestrzegł Zygmunt.

— O tak, wiem... ale ja w tej chwili o niej nie mówię. A druga?

Zygmunt popatrzał uważnie; dziewczyna się śmiała złośliwie. Podparła się na szczołce, popatrzała także na niego długo z politowaniem, ruszyła ramionami i zaczęła znowu uprzątać.

— O! ta druga, szepnęła po chwili: ta druga... to jakaś intrygantka zręczna bardzo...

Zygmuntowi dopiero teraz na myśl przyszło skorzystać z dobrej woli do rozmowy panienki, która widocznie się z nią nastroczała. Wstał z krzesła i zbliżył się.

— Odgadłaś pono, że mi idzie o pilne śledzenie kroków tej drugiej, moja panno, rzekł cicho. Mogłbym bardzo być wdzięczny, gdybyś mi do tego pomogła...

— O! czemuż nie? czemu nie? z największą chęcią! zawołała Szarlotta, której się oczy zaiskrzyły. I mnie kobiety zgubiły! poprzysięgam im zemstę. Zgnębione i was, bo widzę, że nie umiecie sobie poczynać z niemi...

— Wy możecie wiedzieć kto tam przychodzi? co robią?... chora moja żona?

— Szarlotta popatrzała znowu w oczy baronowi i ramionami ruszyła.

— Myślicie, że niechora? zapytał.

— Ale jęj od dwóch dni nie ma w hotelu, szepnęła dziewczyna... Chora?? Nigdy chorą nie była... Jednego wieczoru... ta druga przyprowadziła tu z sobą mężczyznę... zamknęły się wszystkie z nim... nikogo nie puszczano, czaty stały...

— Ja o tém wiem, rzekł Zygmunt, i wypuszczono go drugą bramą.

— A tak... portyer opłacony... kłamie!.. to zły człowiek... mówiła dziewczyna. Nazajutrz wyjechały te panie... i druga nie powróciła podobno, tylko udawali, że jest w domu... Przekupiły doktora, komedycę grają... Bóg wie gdzie ona jest...

Zygmunt zbladły stał, kęsając wargi; ręce zalamane trzęsły mu się... Dziewczyna patrzała nań na pół z politowaniem, na pół z szyderstwem.

— Ale czyż to być może? czyż być może?...

— Jeśli pan nie wierzysz...

Szarlotta wzięła szczotkę... Baron dobył pieniądze i wcisnął jęj w rękę....

— Dziękuję, rzekł, nie wydám was, ale cokolwiek się stanie, miejcie oko na nich... i mówcie mi...

Dziewczyna trzymała podarek obojętnie na dłoni.

— Pan myślisz, że ja to dla pieniędzy robię? rzekła. A! nie! ja się mszczę! mnie kobiety zgubiły!.. Ja dziś byłabym szczęśliwą, jabym była bogatą i nie tulalabym się wycierając kąty cudze.. O! te jędze te jędze w aksamitach!...

Z razu Zygmunt z odkryciem tém nie bardzo wiedział co począć; po chwili namysłu, chwycił za kapelusz i wpadł uraganem do Klary. Siedziała znowu przy oknie, ale bez książki. Naprzeciw nięj stał fotel. Zygmunt siadł milczący, i pochwycił ją z taką siłą za rękę, że hrabina przerażona krzyknęła.

— Co się panu stało?... co pan robisz?...

— Przychodzę pani powiedzieć, żeś odegrała rolę niegodziwą, żeś mnie oszukała... żeś podała rękę do rozpusty... i rzucić jęj w oczy pogardą.

— Pan szalejesz!

— Miałbym czego! odparł Zygmunt. Ja wiem. wszystko: Olimpii nie ma. Choroba 'zmyślona... Ona nszła z kochankiem!...

— Pojechała, tak, pojechała z tym, którego uważa za męża, bo mu ślubowała wiarę. Pan tu nie masz innéj roli nad smutną i śmiesznią; nie czyni siebie pośmiewiskiem ludzi, jeśli masz odrobinę rozsądku... Olimpia pojechała z nim, i nie w świecie wstrzymać jęj nie mogło.. ale powróci tu i stanie oko w oko powiedzieć panu, co czyniła... Ona się z tém nie myśli taić. Szło jęj o to tylko, ażebyś nie napadł tego człowieka i nie szukał zemsty....

— Od zemsty go ona nie ocali....

— Chce przynajmniej spróbować, odezwała się hrabina, powoli odzyskując przytomność. Na zabiciu go nie pan nie zyskasz... bo Olimpia jutro zerwie małżeństwo; gdy żyw zostanie, możecie się przecię ułożyć... słyszysz pan? ułożyć się bardzo korzystnie...

— Więc sądzicie, że ja już wszystko w świecie gotowem sprzedać za pieniądze! krzyknął Zygmunt.

— Nie wrzeszcze pan! oburzyła się Klara. Ja sądzę, że pan masz takt i rozum, chociaż ich w téj chwili nie widzę. Słuchaj pan, poczęła hrabina unosząc się: nie zwykłam nigdy mówić seryo; obracam wszystko w śmiech: na ten raz gniew wywołuje ze mnie szczerą prawdę niczém nieokraszoną. Nie udawaj pan tego, kim nie jesteś. Chciałeś się ożenić z Olimpią dla jęj imienia i posagu. Użyłeś do tego

środków, których ja właściwie nazywać nie chcę. Przypodobałeś się matce, zyskałeś ojca, przyjąłeś rękę daną ci z przymusu pod upokarzającemi warunkami—to wszystko daje miarę, kim jesteś i czego żądałeś. Idzie o pieniądze, dadzą ci je... okupią się... honoru nie masz do ocalenia...

Nie dokończyła, bo Zygmunt pochwycił się za włosy i porwał wściekły ku niej, tak, że się cofnąć musiała.

— Pani! zawołał: nadużywasz przywilejów kobiety...

— Wytrzeźw się pan i wróć do swój roli. Utworzyłeś sobie to położenie, powinieś zrozumieć, że wszystkie jego konsekwencje przyjąć musisz. Tak, czy nie?

Zygmunt zamilkł.

Widząc go zachwianym, mówiła dalej szybko:

! — Wszystkie plany zemsty do niczego pana nie doprowadzą: rozerwą związek, odbiorą majątek, okryją cię śmieszością. Niepierwszy pan ożeniłeś się z kobietą należącą do innego; kto miał odwagę to popełnić, musi mieć rezygnację dźwigać. Zabić Fratellogo nie panu nie pomoże; z nim zabijesz swoje nadzieje... swą przyszłość.

Umilkła; baron padł na kanapę milczący i złamany. Klara prawie tryumfowała. Gdy raz puściła wodze słowu, powstrzymać już nie było w jej mocy; mówiła, przekonywała, dowodziła mu, że poddać się musi. Zygmunt widział konieczność, a.e resztką szlachetniejszego uczucia oburzała się przeciwko znikczemniemu takiemu. Pomimo gniewu, hrabina nawet czuła jakąś litość dla téj istoty, tak srodcie skaranéj za rachubę ohydłą.

To też głos jój stawał się coraz łagodniejszym, i po wybuchu, którym Zygmunta zwyciężyła, z kobiecą przebiegłością zaczęła tę ranę, którą zadała, goić powoli i obwijać.

— Jedynym środkiem wyjścia z tego położenia, dodała w końcu, jest rozwód, a raczej unieważnienie małżeństwa. Ono pana zrehabilituje, a Olimpia będzie się starała straty i zawód jego ofiarą chętną nagrodzić. Rozwód nie może nastąpić natychmiast; umówiwszy się raz oń, może pan swobodny czekać...

Baron milczał. Po chwili, nie odpowiadając nic, wstał z kanapy, pożegnał ją lekkim skinieniem głowy, i wyszedł... Hrabina, która się spodziewała dłuższej rozmowy i jakiegoś stanowczego końca, nie umiała nawet sobie zdać sprawy ze skutków tej kłótni i spotkania, i to ją niepokoiło. Na twarzy Zygmunta, gdy wychodził, nie widać nie było, oprócz podrażnienia i cierpienia....

Cofnął się do swojego mieszkania i pozostał w nim przez resztę dnia... Chwila to była w życiu jego stanowcza... wyrazy hrabiny przyprowadzonej do gnicwu, nieosłodzone niczém, surowe, obelżywe, obrażające, uderzyły w niego ciosem śmiertelnym, ale odżywiły w nim niedobitego jeszcze, szlachetniejszego coś, co na dnie duszy zostało....

Cała sromota postępowania dotychczasowego, cała gorycz następstw jego padły nań i wywołały zwrot, do jakiegoby w życiu nigdy może bez tego zdolnym nie był. Bezsilny w obce skutków popełnionego błędu, zboląły, pierwszy raz powiedział sobie: „Czy mogę się dźwignąć? czy potrafię się oczyścić?...”

Czuł się tak znikczemnym, tak poniżonym, w jednej godzinie wypił tyle goryczy, przeznaczonych

do sączenia się po kropli przez długie lata, że musiał umrzeć, spodlić się, lub zapragnąć otrząsnąć się z tego błota...

W obrzydzeniu samego siebie—nie miał nic na myśli tylko jedno: oczyścić się, obmyć, wyjść z kałuży... Środki najróżniejsze nastęczały mu się z kolei. Pierwszym warunkiem było wyrzec się korzyści materialnych tego nieszczęśliwego małżeństwa, zwrócić aż do ostatniego grosza, oddać co miał—odtrącić coby mu ofiarowano. Lecz z czémżeby pozostał on? ojciec?... co było począć?...

Zamknięty z sobą, przechodził od najdzikszych pomysłów do dawnych planów zemsty i walki, i wracał znowu do konieczności rehabilitacyi. Oburzało go pojęcie, jakie hrabina miała o jego charakterze, o przedajności... rumienił się sam siebie... Policzek, który odebrał, poskutkował, sprowadzając upamiętanie, a przynajmniej pragnienie jego...

Walczył z sobą... ale postanowił kroku żadnego nie czynić i zachować się najobojętniej względem Olimpi. Ocalić jęć dla siebie nie mógł; co mu groziło, stało się spełnionym faktem: odzyskała tego, któremu ślubowała.. nie pozostawało nic prócz cofnięcia się.

Późno w wieczór Klara niespokojna, nie wiedząc co myśleć, sama poszła przekonać się, czy był u siebie; ale przez drzwi zajrzawszy, gdy spodziewała się go na nową wywabić rozmowę, otrzymała grzeczną odpowiedź, że baron trudzić jęć już nie chce, a czuje się trochę niezdrów. Tajemnicza ta odprawa nie na rękę była hrabinie...

Zygmunta śledzono, nie wyszedł ani krokiem do późna. Panu Redkemu, który przyszedł mu oznajmić

że poszukiwania się czynią i wymagają tylko czasu, baron odpowiedział obojętnie, że to, co wiedzieć potrzebował, już wie, że mu dziękuje za trud jego i prosi, aby dalszych starań zaniechał. Major wziął to trochę kwaśno za dowód nieufności, ale gdy mu się Zygmunt opłacił, rozstali się przyzwyczajeni...

Późno w noc dano wiedzieć hrabinie, że Olimpia przybyła. Pobieгла do niej natychmiast i zamknęły się na długą konferencyę tajemną. Klara opowiedziała jęj wszystko, powtórzyła niemal rozmowę i przyznała się, że o skutku nie może wnioskować. Zygmunt siedział u siebie, zdawał się złamanym i niepewnym co pocnie.

Na twarzy Olimpii rozpromienionęj szczęściem, znać było jakby powrot do życia... Klara nie mogła się wydziwić temu skutkowi godziny szczęścia po latach niedoli. Słuchała szczebiotania przyjaciółki, lecz widać było, że do niego nie przywiązuje żadnej wagi — duszą i sercem była przy nkochanym... Oczy jęj patrzyły nie widząc, usta uśmichały się marzeniem... Wszystkie warunki byłaby przyjęła, ubóztwo, ofiary największe, upokorzenie, nawet gniew ojca i matki, byle z wybranym swych lat wiosennych pozostać.

Klara ze zdumieniem spostrzegła, jak to, co jęj wydawało się najważniejszém, mało poruszało Olimpię. Uderzyło ją tylko co mówiła o niebezpieczeństwie mogącym zagrażać Bratankowi, które odwrócić się starała z taką zręcznością, przekonywając Zygmunta o bezużyteczności zemsty... Za to Olimpia ścisnęła jęj rękę...

W pierwszej chwili wczbrany potok słów tak obficie płynął z ust hrabiny, że Olimpia nie mogła prawie odpowiedzieć nań ani wyrazem. Klara wracała do tego, co już mówiła, powtarzała się, tryumf ją widocznie upajał. Pocałunek Olimpii zamknął nareszcie różowe usta zmęczonej.

— Kochana moja, rzekła: ja tak jestem niewypowiedzianie szczęśliwa w tej chwili, iż szczęście zaslania mi niebezpieczeństwo. Nie chcę szukać żadnych środków, któreby mnie zmuszały do kłamstwa, do wybiegów, do walki.... Niech jutro przyjdzie pan baron, powiem mu wszystko, otwarcie, niech żąda czego chce, oddam ostatnią suknię, oddam koszulę... pójdziemy z nim pracować, żyć o chlebie suchym... lub umierać z głodu...

— *Une chaumière et son coeur!* rozśmiała się serdecznie Klara, z pewną zazdrością patrząc na rozpromienioną przyjaciółkę. A! jakże to dziwnie brzmi w XIX wieku! coś tak przestarzałego, jak prawdziwa miłość dwojga kochanków niepotrzebujących posagu!.. Olimpko moja! tyś widzę pozostała dzieckiem, siedząc tam na wsi zamurowana ze smutkiem swoim. Ale to są rzeczy, które się mówią, tak sobie, dla tego, żeś nigdy nie doświadczyła niedostatku, głodu i prywaty.

Olimpia się uśmiechnęła smutno.

— Jakże ty się ze mną śmiać będziesz, rzekła, gdy ci powiem, że przez te długie lata niewoli mojej w Zabrzeżu, jam marząc a marząc o wszystkiem, marzyła o możliwości ubóstwa!.. I wiesz com robiła? Oto próbowałam na sobie głodu i postu dobrowolnego o suchym chlebie, zimna, pozbawiania się wszelkich wygódek... Brano to za rodzaj pokuty i asce-

tyzmu; jam się zbroiła tylko do walki... no—i jestem do niej zbrojną...

Klara spojrzała na nią z pewnym niedowiarstwem. Olimpia nie miała najmniejszej ochoty do rozmowy; przyniosła z sobą taki zapas szczęścia, iż pragnęła co najrychlej sam na sam z niem pozostać...

— Jutro więc, rzekła, proszę do siebie pana barona na rozmowę... Dobranoc..

Tak się rozeszły... Klara zamyślona powróciła do siebie.

— Jaka ona dziecinna! mówiła w duchu; gdyby nie ja, jakby oni tu sobie dali radę?

Nazajutrz zdawało się, że Zygmunt sam pewnie zgłosi się do hrabiny; ale do godziny dosyć późnej nie przyszedł. Służąca, owa Szarlotta, której wielką czyniło przyjemność złą przynieść nowinę, oznajmiła, że ten pan w nocy zachorował, i że doktor był już dwa razy, a teraz przysłał właśnie bonę do pilnowania.

Klara przestraszyła się. Nie miała złego serca, przy całej wzgardzie dla Zygmunta, żal go jój było trochę. Nie wahała się więc ani chwili pobiedz do niego. W progu wchodzącą powstrzymała kobieta, dając znaki, ażeby nie mówiła nic i zachowała się cicho. Wywołała ją hrabina w korytarz.

— Pan ten mocno zachorował w nocy, szepnęła bona. Doktor mówi, że to gorączka niebezpieczna. Nakazał spokój jak największy...

— Kiedy doktor przyjdzie?

— Za parę godzin, aby się przekonać o biegu choroby...

— Proścież go, aby zaszedł do mnie... Ale ja przecież mogłabym się przekonać, jaki jest stan chorego...

— Drzemie nieprzytomny... mówi zupełnie od rzeczy... Doktor stanowczo zakazał wpuszczać kogokolwiek...

Z tą niespodziewaną nowiną Klara poszła do Olimpii, która się spodziewała co chwila ukazania się barona. Po twarzy przyjaciółki łatwo poznała, iż się coś nowego i niedobrego święci.

— Gdzież baron?

— A! stało się czego nikt przewidziećby był nie mógł. Po wczorajszej snadź rozmowie ze mną—leży chory w gorączce...

— Chory? w gorączce? ale może to być? zawołała Olimpia. On? chory? ze zgryzoty? ze zmartwień? on? Wierz mi Klaro—widziałś go?—to podstęp, to fałsz!...

Hrabinę uderzyła ta myśl; śpiesznie pobiegła nadzad na drugie piętro... Drzwi tym razem były zamknięte; wyszła bona, ale zamiast rozmowy z nią, gwałtem wcisnęła się Klara na palcach do pokoju i aż do łóża Zygmunta.

Leżał w istocie w gorączce wzmagającą się coraz bardziej; wodząc oczyma nieprzytomnymi i belkocząc wyrazy niezrozumiałe, rzucił się, jęczał i krzyczał. Choroba wcale nie była udaną, ani przesadzoną. Hrabina cofnęła się przerażona, i wróciła do Olimpii.

— Nie ma najmniejszej wątpliwości, że leży w okropnej gorączce, rzekła pomieszana. Doktora czekają po raz trzeci. Zdaje się, że rzecz bardzo seryo...

Są chwile, w których nawet taka wiadomość nie czyni wrażenia żadnego, zwłaszcza gdy choroba dotyka człowieka, który nam przewinił wiele. Olimpia

milczała zamyślona. Zasepilo się jednak jój czoło: choroba przychodziła nie w porę, krzyżowała jój plany, odraczała koniec stanowczy...

Zszedł tedy znowu dzień na wyczekiwaniu, w niepewności a przywołany doktor bez ogródki powiedział, że słabość jest bardzo groźna, iż życie zapewne młodość ocali, ale zdrowie nie powróci.

Przesilenia, któreby o przejściu choroby stanowić mogło, nie spodziewano się tak rychło. Tymczasem gorączka przybierała charakter bardzo gwałtowny. Zupełną swobodę odzyskała Olimpia i spokój chwilowy; miała czas do namysłu i wytechnienia. Klara, która przypisywała sobie po części słabość Zygmunta, posępna jakoś chodziła. Przesilenie już się zbliżało, gdy jednego wieczoru dzwonek na dole oznajmił przybycie hotelowego omnibusa. Wysiadł z niego cały garnizon Angielek z pledami i torbami, Anglików w białych kapeluszach z zielonemi welonami, Amerykan i Rossyan, a między nimi figurka czupurna z całym bukietem wstążeczek w guziku letniego surduta, z drugim takim przy paltocie... Jegomość ten dopominał się, aby go zaraz prowadzono do barona Dobińskiego, który jest jego synem...

Zarządzający hotelem, dosłyszawszy jakiś spór z portyerem, który nie chcąc od razu powiedzieć dla czego, wymawiał się od wpuszczenia szambelana do numeru, gdzie chory leżał — wyszedł sam. Imponująca mina rzeczywistego radcy stanu, głos jego stanowczy, orderly i t. d., jakoś nie uczyniły wrażenia na panu rządcy. Bardzo zimno i grzecznie oświadczył, że portyer ma słuszość, wahając się w spełnieniu życzenia, gdyż na nieszczęście pan baron jest chory na gorączkę tyfoidalną... i nawet ojeu w chwili

spodziewanego przesilenia przystęp może być wzbroniony.

Szambelan, który jechał w skutek listu rzuconego na pocztę w Carouge, spodziewając się już twardój do odegrania roli, osłupiał dowiedziawszy się o chorobie.... Nie nalegał już wcale; prosił o pokój jak najbliższy i o posłanie natychmiast po doktora, z którym się rozmówić potrzebował. Dla poparcia swojego żądania argumentem, który mu się zdawał mogącym silnie podziałać na służbę, zażądał książki meldunkowej i wpisał się w nią ze wszystkimi tytułami, orderami i rangami. Szwajcarowie popatrzeni na ten registr, na człowieka, potem na skromną torbę i fłomoczek, i posłali po doktora...

Tymczasem nieszczęśliwy szambelan zajmował dany mu pokój na piewśm piętrze, oczekując na przybycie lekarza i gotując się ubrany iść do swój tak zwanój synowój.

Nie śpieszył jednak, bo wiedział bardzo dobrze, iż mimo taktu, z jakim miał pokierować rozmowę, nie go przyjemnego nie spotka. List syna aż nadto był szczery i wyrazisty.

Szambelan przez drogę miał czas wiele myśleć, a myśli te nie uczyniły go ani wesołym, ani spokojnym. Mary, jakie roil, sądząc, że Zygmunt świetną kolligacyą rodzinę przyozdobi... wnuki, których się spodziewał i t. d.,—wszystko to problematyczném być zaczynało. Co gorsza, źle ujęte i przeprowadzone małżeństwo cień fatalny rzucało na przyszłość Zygmunta... Przypuszczał już nawet szambelan najsmutniejszą ostateczność: rozwód. Człowiek praktyczny, to jest redukujący każdą sprawę do rezultatów, jakie ona na kieszeń wywierać mogła, szambelan zaczynał obliczać, ileby

powinni żądać, aby wszystkie plany i bliźny otrzymane powyżłacać.

Rezygnacyę zdobył przez drogę, a mimo to wzdychał ciężko... czuł się nieszczęśliwym... była to porażka wstydliva. Czuł też, że żaden pieniądz opłacić jej nie może. W ostateczności wszakże co począć było? musiał coś przynajmniej ocalić...

Jak Zygmunt chwilami przypisywał ojcu projekt ożenienia i zachęte do niego, tak szambelan winę niepowodzenia znowu składał na syna.

— Nie umiał się wziąć! mówił. Gdybym ja był na jego miejscu! Postąpił bez taktu, zbyt gwałtownie, naraził ją sobie... zresztą... ale z tymi młodymi to nie ma rady!

Na chmurne rozmyślania szambelana, który wzdychał, mył się, stękał i przeglądał się w lustrze, pił kawę i brodę golil razem, aby czasu oszczędzić, nadziedzil powołany doktor. Ledwie miał czas narzucić na siebie palto ze wstążeczkami i pobiegł wypytywać...

Konsyliarz minę czynił nader surową.

— Choroba, rzekł, jest najgorszej natury, mózg zaatakowany silnie; ale wczesne starania, młodość, dają nadzieję, że pacjent wróci do zdrowia, acz nie bez szwanku... po przebytej tak groźnej słabości...

Dodał, jak zwykle, że potrzeba spoczynku, unikania wrażeń silniejszych, że ojciec niepowinienby się pokazywać i t. p.

Uspokojony szambelan, przedłużył jnż tylko rozmowę, aby mieć zręczność wspomnienia swych stosunków cesarsko-królewsko-książęco-ministeryalnych, opowiedział parę anegdot o dworach, na których bywał, i ośniwszy doktora, wypuścił. Był pewien, że po tym fajerwerku będzie mu syna

leczył daleko troskliwiej. Szwajcar za drzwiami śmiał się...

Ukończywszy razem kawę, golenie, umywanie, ubranie, szambelan uznał za właściwe, bilet swój (zawsze ze wszelkimi tytułami) posłać synowej, która już była przez Klarę zawiadomiona o przyjeździe gościa niespodzianego... Mimo godziny spóźnionej, Olimpia kazała powiedzieć, że przyjąć może.

Stary wiele rachował na swą powagę, której właśnie mu brakło; na wymowę, która była niezgrabnym intrygantwem; na inne swe dary, przesadnie oceniane przez właściciela, mało cenione przez ludzi.

Wszedł do saloniku, układając smutne i uroczyste oblicze... Olimpia skromnie ubrana i sama jedna, czekała nań spokojna i chłodna. Dotąd nigdy nie miała zręczności mówić z nim dłużej, a nadewszystko szczerzej; rozmowy ich ograniczały się napaściami grzeczności ze strony szambelana, półsłowami obojętnymi Olimpii, zbywającej go z nietajonym wstrętem.

Szambelan uznał za właściwe nie móżdż prawie przemówić w pierwszej chwili; otarł nawet łzę, której nie wylał.

— W smutną chwilę przybywam, odezwał się: zastaję syna choć wychodzącego z niebezpieczeństwa, ale zawsze zagrożonego jeszcze długim cierpieniem.

— Boli mnie to bardzo, odpowiedziała Olimpia. Na staraniach około chorego nie zbywało. Lekarz wprowadzić nie dopuszczał nikogo, ale moja przyjaciółka hrabina Klara...

— Jak to? jest tu? przerwał szambelan.

— Wiele mi pomogła w tém, w czém ja uznaję moją nieudolność, bo koło chorych chodzić nie umiem...

Rozmowa westchnieniem przepleciona ustala, trudno ją było na nowo zawiązać...

Po kilku jeszcze westchnieniach, szambelan nie sądząc, aby mu wypadło rozpoczynać o czém inném i wstawiać się za synem, przemówił o rzeczach obojętnych. Uprzedzona wcześniej Klara nadeszła, i to pierwsze spotkanie ograniczyło się na zamianie kilku frazesów zwyczajnych. Spóźniona godzina usprawiedliwiała prędkie pożegnanie. Na znak dany przez Olimpię, Klara odchodzącemu podala rękę i zaprosiła go do siebie. Tu posadziwszy go na kanapce, z czułością wielką zaczęła opowiadać o chorobie, o tém i owém, zdając się czekać, czy stary sam nie zagai o czémś wićcój... Szambelan słuchał tylko.

— Tak dawno się znamy, szanowny panie, rzekła w końcu gospodyni: że mogę być z panem otwartą. Pan Zygmunt sam podobno był przyczyną téj ciężkiej choroby. Zbyt do serca bierze wszystko... a żeniąc się z Olimpią, mógł się z góry przygotować na wiele trudności do przebycia...

— Gdyby one do przebycia i zwyciężenia były, odparł ojciec—Zygmunt byłby je mężnie przetrwać umiał; ale tu podobno spotkały go nieprzewidywane zawady...

— Co pan niemi nazywasz? zapytała hrabina.

— Najprzód nieszczęśliwe usposobienie mojej synowej... jej uprzedzenie przeciw temu ukochanemu dziecku...

— Porozumiejmy się, przerwała hrabina. Bądź pan ze mną szczerym; mogę panu służyć za pośredniczkę. O czém panu donosił Zygmunt? co pan wiesz? i jakie masz na przyszłość plany?...

Szambelan, który przez całe życie miał sobie za prawidło nigdy nie jasno i szczerze nie mówić, do niczego się nie przyznawać, grunt badać uważnie, z ludźmi obchodzić się jak z prochem, który zawsze wystrzelić może,—ukośném wejrzeniem zmierzył hrabinę, lecz do wyznań i otwartości tak na prędce jakoś nie miał ochoty...

— Nieskończenie pani hrabinie dziękuję i wyrazów znaleźć nie mogę na określenie méj wdzięczności dla niej, odezwał się ze słodyczą dyplomaty, który chce antagonistę oszukać. Będę jój błagał o to pośrednictwo... będę obowiązany, jeśli raczysz dać mi ten dowód przyjaźni tak dla mnie cenniej. Lecz dozwól mi hrabino ochłonąć z pierwszego wrażenia, przestachu. Dziś wszystkie me władze pochłania myśl choroby najdroższego dziecięcia... Pojmuje pani, dziś jeden plan mam—ocalić go...

Otarł oczy... Klara popatrzała nań i mileżała. Ona nie umiejąc klamać, a przynajmniej źle się z tego dosyć wywiązując, uczuła się bezsilną w obec człowieka, który widocznie sprawę chciał załatwić z obmyślaną przezornością i obrachowaniem...

Dali więc sobie dobranoc.

~ * ~

*

*

Rzadko w życiu człowieka jedno uczucie przerosłe w namiętność, powoli kamieniejące nalogiem, zapanuje nad nim i zagłuszy wszystkie inne. Lecz są wypadki, w których właśnie to, co ma zgasić uczucie, rozdrażnia je i rozplomienia; są okoliczności, które mu trwałość nadają; słowem są przykłady, że człowiek pozostaje wiernym nawet temu tak zmiennemu uczuciu, jakim jest miłość. Niedarmo w starych

romansach sławiono tak bardzo tę stałość, która często przeciągała się za kres nawet panowania onych sercowych wzruszeń. Olimpia właśnie była w tém położeniu wyjątkowém, które miłości jój nadało hart niezwykły. Matka usiłowała ją zniszczyć, a brała się ku temu najniezręczniej. Wspomnienie dni spędzonych z ulubionym, poetyczna ich barwa — wszystko to przykładalo się do rozkołysania wyobraźni, do rozmiłowania się w marzeniu. Po powrocie z za granicy, Olimpia siedziała na wsi, niedostępna dla towarzysztwa, wśród którego przechodziła jak obca, sądząc, że ono całe wskazuje ją palcami jako upadłą. Z dumą walczyła przeciwko pogardzie, jakiej się domyślała, i upierała się przy swój miłości, która ją jedna oczyścić i usprawiedliwić mogła. Miłość ta charakterowi jój nadała energię...

Widzieliśmy dowód odwagi w przedślubnej rozmowie z Zygmuntem, w postępowaniu jój późniejszym. Wśród téj żaloby, która się jój wiekuistą zdawać mogła, nagle jak piorun zjawił się przed nią obraz przeszłości — ten, którego sądziła umarłym... żywy, zmieniony, ale ten sam, ten sam, któremu poprzysięgła miłość. Nie wahala się ani chwili rzucić się ku niemu. Gdy Klara weszła z nim do pokoju, w którym Olimpia przechadzała się gorączkowo, czekając na nich, gdy z siwym włosem, ale twarzą młodą, z rysami stężalemi od bólu i szczęścia razem, ukazał się w progu Bratanek, Olimpia pobiegła, zarzuciła mu ręce na ramiona, twarz przycisnęła do jego ust, i nie mówiąc ani słowa, w niemém zachwyceniu pozostała tak długą chwilę.

Jemu łzy płynęły po twarzy, chwycił jój rękę, przyciskał do ust i płakał. Klara, która zwykła była

wszystko obracać w szyderstwo, aby nie okazać „śmiesznego” wzruszenia, tym razem zmieszała się tak, że musiała się cofnąć, aby nie wydać się z mokremi powiekami. Spotkanie to po latach dziesięciu, po rozstaniu u dwóch trumien—dziwna rzecz!—zdawało się przywitaniem po jednodniowej rozłące. Czuli, że wierzącymi sobie pozostali, i że przynosili serca też same...

Bratanek marzył, pracował, walczył, ale po idealnej chwili szczęścia, jakiej doznał, nie mógł już sięgnąć po inne, po nowe, bo żadneby było nie dobiegło złotego snu dni przeżytych z nią w chatce czeskiej.

Dziwili mu się ludzie, zaglądali do téj zamkniętej piersi, czując w niej tajemnicę, mężczyźni i kobiety: pozostała zapieczętowaną i milezącą. Tylko w chwilach muzycznego natchnienia burza uczuć wyrывała się tonami, falami nót... i świadczyła, że tam nie taki spokój i cisza panowały, jak z pogodnej wnosić można było powierzchwni. Bratanek nie spodziewał się wcale, by na wieki zerwany ten wieniec, zakwitły mu w dniach młodości, miał się rozwić na nowo. Gdy wyszedłszy na estradę, postrzegł Olimpię, mniej daleko zmienioną niż on sam — osłupiał, czuł jakby uderzenie w piersi, i potrzebował całej siły ducha, by mózgi potem odegrać swoją partycę... Odszedłszy, wziął to za sen i przywidzenie, gdy kartka Klary potwierdziła prawdę zjawiska.

Oboje znaleźli się tymi samymi, lecz gdy w blasku lampy, wychudłą rękę ujęła Olimpia, ujrzała zbieżące włosy młodego człowieka, tę żalobę serca wiekuistą,—rozplakała się... Na rysach też muzyka, wiek i praca położyły swe piętna. On to był, ale spoważniały, znużony. Namietności nie zeszpeciły go, ból tylko wysuszył i odarł z barwy świeżej. Olimpia je-

mu wydala się piękniejszą jeszcze, lecz lata z rozpromienionój szczęściem dziewczeczki stworzyły niewiastę tragiczną.

Nawykła do obrony, do walki, osamotniona, przybrała postać greckiej jakiegś Ifigenii czy Penelopy... Niewymowna słodycz i dobroć, którą się uśmiechały jej usta, przemieniła się w pogardę i obojętność, w znękanie.

Nie zestarzała, dojrzała tylko spalona cierpieniami, jakich doznała.

W tém pierwszém spotkaniu nie było nic dramatycznego, gwałtownego. Cicho usiedli przy sobie, ręka w rękę, patrząc w oczy, uśmiechając się, obawiając się spłoszyć tę chwilę szczęścia dziwną jak sen... Zapomnieli o Klarze, która patrzała na nich i — powiedzmy prawdę — zazdrościła...

Słów im brakło, aby coś sobie powiedzieć; myśli bląkały się wiążąc przeszłość z teraźniejszością, nie śmiejąc dotknąć jutra...

Pierwsza jednak Olimpia mówić zaczęła o sobie. Bez gniewu, spokojnie opowiadała mu cały przebieg życia swojego aż do dni ostatnich, i z prostotą wielką powtórzyła mu rozmowę przedślubną, pokazując na palcu pierścioneł. Bratanek słuchał; obok tego, co ona wycierpiała, ledwie śmiał wspomnieć co przeżył. W krótkich słowach zamknął wszystko... Jak sen dziś wydawało mu się przeżyte — byli razem...

— I pozostaniemy razem, odezwiała się Olimpia; bo spodziewam się, iż wierzysz mi, że cię, bądź co bądź, nie opuszczę... Byłam i jestem twoją... Rodzice mogą się mnie wyrzec... czyż we dwoje nie znajdziemy środków zapracowania na skromny chleł powszedni?...

— Ale co świat powie? szepnął on.

— Ja do tego świata nie należałam, nie należę, i mowa jego dla mnie zupełnie jest obojętna. Rodzicom chciałabym oszczędzić zmartwienia—świat może mnie potępić... Podwójném dziś przywiązaniem chwytam się ciebie, mój drogi: miłością dawną i wdzięcznością nową, za to, że mnie od nieczemnego człowieka uwolnisz, którego samo zbliżenie kałało.

Rozmowie téj wieczornéj nie było końca... ale Klara czuwała, aby się nazbyt nie przedłużała... Chciała wyprawić Bratanka... Olimpia puścić go nie chciała... Względ tylko na niebezpieczeństwo i zemstę Zygmunta zmusił ich do środków ostrożności. Umówiono się więc nazajutrz bardzo rano znaleźć się u brzegu jeziora... popłynąć szukać domku gdzieś u jego brzegów skrytego w cieniu drzew, i tam kilka dni przepędzić, póki się z Zygmuntem ułożyć coś nie da. Olimpia odzywała się ze wzgardą i pewnością, że okupi się ofiarą jakąś, że odzyska swobodę.

Nie łatwiejszego niż wśród tych ślicznych ustro-
ni szwajcarskich znaleźć dach, co czeka gości... i go-
tów szczęście lub boleść przytulić. Tegoż dnia około
południa, o godzinę drogi od Genewy, nastęczyło im
się czego szukali. Płynąc spostrzegli na pochyłości
wzgórza zielonego, wśród małego parku ocienionego
odwiecznymi drzewy, domek z zielonemi zamkniętymi
okiennicami, na którego ścianie i na poblizkim mu-
rze ogromne napisy świadczyły, iż był: „*A vendre
ou à louer.*” Dom niezbyt świeży i niepiękny, całego
uroku pożyczał od krajobrazu i otaczających drzew.
Może niejedno chwilowe szczęście słało tu gniazdo,
i niejedna śmierć wyszła temi zamkniętymi drzwiami.
Teraz zdawało się, że tu nikt już nie mieszka od

dawna; ścieżki dawniej starannie utrzymane ponachylana trawa na pół przykrywała, mury były nieco pozbijane i od deszczów zeczerniałe; mały wodotrysk przed willą wysechł, i kamienne jego okładziny porozpadały się... Drzewa rosły dziko, odpuszczając w koło siebie latorośle rozpierzchłe po trawnikach. A jednak wdzięcznie tu było: z okien widok na jezioro, na parki, na lasy, a cisza do kola, czyniły ustronie to dla tych, co szukali spokoju, milém...

Kazano łódce przybić do brzegu; poszli ku fórtce zamkniętej, przy której zardzewiały 'drót dzwonka znaleźli. Nierychło jednak wyszła dziewczeczka bosa, napół ubrana, trochę wylękła; najprzód przyglądała się im przez szpary, potem gdy zobaczyła obcych, nazad uciekla. Ale w tej chwili nadeszła starsza kobieta z pękiem kluczów u pasa, jakoś nadasana a niechętna. Widać było z jej twarzy żółtej, posępniej, iż niewiele miała ufności w to, aby odwiedziny na co się przydały. Gdy jej powiedział Bratanek, że pragnęliby obejrzeć domek i najać może—pokiwała głową niedowierzająco... Nie powiedziała nic, wprowadziła ich jednak zarosłą ścieżką podnoszącą się do góry ku domkowi.

Im się bardziej zbliżali, tém się w istocie więcej opuszczonym wydawał. Wewnątrz schludnie było, ale pusto, ale smutno, i wiele należało dodać, przerebić, aby willa stała się mieszkalną. Cena nie była wysoka... zgodzono się o nią. Bratanek podjął się sprowadzić rzemieślników... i przez jutro stworzyć tu mieszkanie. Olimpia widziała w nim przypomnienie chatki czeskiej—i młodość, i ciszę, i ukrycie... Następane dni tu przebywali. Bratanek się przeniósł zupełnie, Olimpia uciekała z miasta i przesiadywała

dni całe, strzegąc się tylko zawsze jedną brać łódkę, aby się nie zdradzić. W kilka dni villa Serena (tak się zwała) stała się z owęj dzikiej do niepoznania piękną i uroczą... Ogrodnik wyświeżył park, rzemieślnicy ubrali domek, pomalowano ściany, naprawiono wodotrysk... każdego dnia jedno z nich tu coś przynosiło, aby gniazdko przystroić. Olimpia kupiła fortepian, wazonami ostawiono ganki, i życie wstąpiło w ten martwy niedawno złomek, który już się cbylił ku ruinie.

Z niepokojem o jutro, ale pewni, iż zwyciężyć muszą, cokolwiek im na drodze stanie, kradli tu dni szczęścia, nie śmiejąc mówić jeszcze o zapewnieniu go sobie... Olimpia z pogardą zawsze odzywała się o Zygmuncie. Choroba jego i przyjazd szambelana nadewszystko zamaćił te dni złote... Czula ona, że stanowcza chwila się zbliża...

Po pierwszym wieczorze, ojciec Zygmunta rozważywszy dobrze położenie swoje i jego, rozmyślając jakby wyjść można z tego zawikłania, przyszedł do przekonania, aby układy jakieś zrywające małżeństwo byłyby zawsze najnieszczęśliwszemi dla nich. Trzeba było Zygmunta utrzymać na stanowisku męża bądź co bądź. Z razu wprowadzić przypuszczał, że się to może skończyć indemnizacyą; noe i długie a mozolne rozpamiętywanie o położeniu ich obu w obywatelstwie przekonały go, że lepiej znosić niekoniecznie przykładne postępowanie żony niż pójść zapłaconym precz, i to jeszcze w kilka tygodni po ślubie.

Z kilku słów Klary wnosil, iż tu mu pewnie będą stręczyli układy, może nawet bardzo korzystne; lecz Olimpia nie było panią majątku, matka i ojciec z pew-

nością popierać muszą Zygmunta. Zatem rzekł sobie szambelan: „Trzeba wszystko otwarcie napisać matce—niech ona przyjedzie; naówczas—zobaczymy.”

To postanowienie powziąwszy w nocy, szambelan, który, jak sam o sobie zwykł był mawiać, miał pióro złote, siadł stylizować pismo w tej delikatnej materii. Popijał herbatę winem, pocił się, męczył, pisał bruliony... styl wyglądał... formy chciał mieć piękne, dystyngowane... pigułkę złościł i brylantował. List na trzech półarkuszach był nie do zniesienia długi, napuszony, nudny, a że gorycz go przesiała z końca w koniec, mógł zabić wrażeniem, jakie niósł z sobą. Szambelanowi głównie szło o to, aby w tym liście znać było człowieka co się na dyplomata rodził i arystokratyczne miał stylu formy... Całą niemal noc przepędził nad układaniem, przepisywaniem, odczytywaniem... i aż nade dniem położywszy pięć pieczęci, usnął znużony. List ten postanowił sam oddać na pocztę, nie o nim nikomu nie wspominać, a jeśliby go ciągniono do jakichś układów, zwlekać tak, by matka, o czém nie wątpił, przybyć mogła.

Nie był więc natarczywy weale, część dnia spędził u łóżka syna, który się zaczynał mieć lepiej, krótką chwilę przebył u Olimpii, unikając z nią rozmowy drażliwej, a gdy Klara zaprosiła go do siebie, usiłując wyciągnąć na pomówienie otwarte, wytłomaczył się niemożnością zajęcia czémkolwiek bądź, dopóki o zdrowiu ukochanego dziecięcia się nie upewnił.

Klara zrozumiała w tém podstęp jakiś lub drożenie się, ale nalegać nie było podobna... Zupełnie swobodna Olimpia wymykała się, gdy chciała do willi Serena, przesiadywała tam i zdawała się spokojnie pa-

trzeć w przyszłość. Przeciwnie hrabina wmieszana w tę sprawę, która ją jak romans zajmowała, i o której rozwiązanie bardzo była troskliwą, wpadała na różne domysły, i niepokoiła się. Ale z szambelana coś dobyć bardzo było trudno. Próbowала starego trochę bałamucić—pochlebilo mu to, ale się nie dał; grzecznościami wypłacił się sownie—nie wydał z niczem. Co najwięcej ubolewał nad tem, że Zygmuntowi tak się w progu nowego życia nie szczęści...

Okoliczność drobna naprowadziła Klara na odkrycie rachuby szambelana.

Pisząc list do matki Olimpii i oddając go na pocztę, szambelan zabezpieczył się rewersem, który obok zawsze przepelnionego mnóstwem notatek pugilaresu schował do kieszeni. Trzeciego dnia chcąc hrabinie pokazać wypis jakiś z gazety, dobywał tego pugilaresu, kartka wypadła na ziemię. Klara widząc ją nie ostrzegła go, została więc pod krzesłem. Po wyjściu barona, podniosła ją hrabina, wyczytała w niej dowód, że list wyszedł do matki Olimpii i przestraszyła się niezmiernie.. Pobiegła z tym rewersem do Olimpii. Olimpia tylko co powróciwszy z Sereny, siedziała otulona słodkimi wspomnieniami na kanapie, gdy Klara kręcić się około niej zaczęła..

— Wszystko to bardzo heroiczne i piękne, że ty tak nie myśląc o jutrze, z odwagą patrzysz w przyszłość i niczem nie dajesz się strwożyć, żeś cała utonęła w twém szczęściu.. Ale, moja Olimpio, gdy Zygmunt wyzdrowieje, gdy szambelan się rozpatrzy (jego, między nami mówiąc, za niebezpieczniejszego mam od syna), gdy przyjdzie do czegoś stanowczego... powiedz mi: cóż będzie? co będzie?

— A! eo Bóg da? obojętnie odpowiedziała Olimpia: ja to tylko wiem, że mnie nie z nim nie rozdzieli.

— Musisz się więc przygotować na wszystko, powtórzyła Klara z przyeiskiem: nawet na przybycie matki, bo ci ludzie nie czując się na siłach do walki z tobą, gotowi są ją tu wezwać.

Olimpia zmiarszczyła brwi.

— Przykroby mi to było, rzekła, ale matka, matka mniej niż ojciec jest mi straszna... ojca starego mi żal, jemu się serce zakrwawi... on nie wie nic, on marzy o szczęściu może... Gdy wspomnę nań, to mi wszystko zatruwa... W ostateczności, wyznam przed nim, powiem, odkryję... wolę, by mnie widział słabą niż płochą.

— A przyjazd matki? wrzuciła Klara.

— Zkądże ci to na myśl przychodzi?

— Mam pewne poszlaki eo do szambelana, że na ten posiłek rachuje...

— Zkąd? spytała Olimpia.

Klara dobyła rewers pocztowy i pokazała go jej.

— Dziękuję ci, spokojnie odezwiała się Olimpia: to dobrze, muszę więc być i będę gotowa...

Przeszła się parę razy po pokoju, i mileząc ucałowała Klarę. Zdawała się namyślać... Nie mówiły już więcej z sobą... Olimpia tylko pilnie się przypatrzyła dacie rewersu i obliczała dni ubiegłe... Wieczorem spotkały się znów.

Szambelan spokojniejszy o syna, a wielce baczny, aby o indyferentyzm posądzony nie był, poszedł tego samego wieczoru z uszanowaniem do ks. Mermilod'a. Były więc same. Na twarzy Olimpji znać było jakąś walkę. Nareszcie uściskała Klarę i siadła przy niej.

— Droga moja towarzyszko doli i niedoli, co ty z sobą myślisz?

— Jak to? cóż za pytanie? ehcesz się mnie pozbyć?

— Nie rozumiesz mnie... może ci tylko chce oszczędzić przykrości, gdyby... gdyby przybyć miała moja matka... nie wiem jak się rzeczy obróca... dodała ci-szej, boję się, byś nie cierpiała, bym za twe serec nie wypłaciła przykrością.

Klara ruszyła ramionami niecierpliwie.

— Mów bo otwareic.

— A! jak najszezerzej: jeśli ja zmuszona będę uczynić jaki *coup de tête* (co byby mogło), posadzą cię o współnictwo... chciałabym ci tego oszczędzić.

— Nie jestemże ci w niczém potrzebna? zapytała Klara.

— Zawsze... ale nie lubię ofiar wyciągać dla siebie. Jednąbym tylko miała prośbę i najnieprzyzwoitszą: przewiduję potrzebę pieniędzy, nam ich niewiele. Główna kassa była naturalnie przy pauu Zygmuncie, który tym sposobem spodziewał się mnie trzymać w zależności; mogą być w końcu w takim wypadku...

Klara nie dała jój dokończyć.

— Ile potrzebujesz? spytała: dam ci ile mogę.

— Daj mi jak możesz najwięcej. śmiejąc się smutnie szepnęła Olimpia, a potem uciekaj. Jak i kiedy ci oddam, nie wiem, ale że zapłacę, to pewna... nawet gdybym umarła... Dam list do ojca...

Nie pytając już wcale, na co Olimpia mogła potrzebować pieniędzy, Klara naradziła się tylko o sumę i zatelegrafowała do swego pełnomocnika w Poznaniu o nią, polecając mu, aby list kredytowy niezwłocznie wyprawił, nie zważając za jaką cenę do-

stanie pożyczkę. Olimpia starannie jakoś obrachowała dni, kiedy odpowiedź przyjść może, i znowu zajął się do rewersu pocztowego. Nie mogła z niej jednak dobyć Klara nie więcej nad wyrazy serdecznej wdzięczności.

Następnych dni Zygmunt już miał się coraz lepiej. Ojciec przesiadywał przy nim, ale unikał rozmowy i bawił się rzeczami obojętnymi. Konwalescencya w młodych latach, przy siłach, zwykle bywa szybka, a choć na duszy Zygmunta brzemień wielkie ciążyło, natura wracała mu moc do podźwignięcia go. Ojciec ani o odebranych liście, ani o niczym nie mówił; od niechęcenia tylko wspominał czasem, że widział Olimpię, że z nią rozmawiał i t. p. Doktor jeszcze zalecał jak największy spokój w obawie recydywy. Dni więc płynęły jednostajnie i dosyć nudnie. Szambelan tylko wycieczki czynił do miasta, i nie mówiąc nikomu, bywał w teatrze, szukał rozładowania. Stary nie zubożył jeszcze całkiem ku temu, co zwykle tych młodych kusi i pociąga.

Liczył on także dni i zaglądał do kalendarza... Po długim oczekiwaniu odebrał wreszcie list od matki Olimpii. Nakreślony szybko na ćwiartce papieru porwanego ze stołu, zawierał tylko oznajmienie, iż przygotował się męża i podróż nagle postarawszy się w jego oczach usprawiedliwić, aby nie budziła podejrzeń, natychmiast przyjedzie. Przygotowania wymagały wszakże dni kilku.

Szambelan spodziewał się większego pośpiechu, list go trochę zniecierpliwiał, lecz cóż począć było? Musiał czekać. Daleko lepiej dał sobie radę plenipotent hrabiny, który żadaną kredytywę wyprawił tak szybko, że przyszła prędzej niż się jej spodziewa-

no. Klara odebrała zaraz pieniądze i zaniósła je przyjaciółce.

— Teraz, rzekła o nic nie pytam: jadę...

— Kiedy?

— Jutro...

— Uczyńże to ostentacyjnie, głośno, oznajm szambelanowi.

— Wcześniej mu to już zapowiedziałam.

— A cóż?

— Ubolewa... Może być, iż rachował, że mu się tu przydam na co...

Wieczorem dwie przyjaciółki po cichu gwarzyły długo; Klara była w najdoskonalszym humorze... Jechała do Włoch... Obrachowywała tylko, gdzieby towarzystwo stosowne dla siebie znaleźć mogła.

— Widzisz moja droga Olimpko, mówiła żartobliwie, ty, co masz serce pełne, cel w życie, możesz jechać gdzie ci się podoba... nigdzie ci nie będzie pusto. Ja muszę szukać ludzi, roztargnienia, a że doprawdy starzeję, potrzebuję, póki mogę, bałamucić, głowę zawracać i grać tę komedię miłości, która dla nas jest komedią życia...

— A! często tragedya, moja droga.

— Dramatem lub farsą, *c'est selon*... mniejsza o to; dosyć, że trzeba, aby się serce w piersiach czuło. Pojadę więc gdzie najliczniejsze towarzystwo i najwięcej ruchu...

Nazajutrz w istocie, przeprowadzona aż do powozu przez szambelana, hrabina Klara, śmiejąc się i płacząc, wracając i śpiesząc, zapominając węzłów, gubiąc chustki, żegnana przez całą służbę hotelową, która ją lubila (oprócz nieszczęśliwej Szarloty)—wyruszyła z Genewy.

Po jój odjeździe, szambelanowi zabrakło zajęcia na jedną przynajmniej w dniu godzinę, którą u niój spędzał przyjemnie. U Olimpii bywał ceremonialnie parę razy na dzień, lecz jój często nie zastawał. Rozmowa też nie szła. Szambelan próżno się popisywał z dowcipem po ojeu odziedziczonym i pochwytanym w salonach: jój to jakoś ani zajmowało, ani bawiło... Dawała mu mówić, patrzała w okno, można ją nawet posądzić było, że go nie słuchała weale i myślała o czym inném.

We cztery dni po wyjeździe hrabiny Klary, gdy Zygmunt już po pokoju się przechadzał, a szambelan co chwila oczekiwał przyobiecane go przybycia radczyni, rano o godzinie jedenastej przyszedł wedle zwyczaju zapukać do drzwi Olimpii, które mu zwykle otwierała Szafrąńska, nie racząc odpowiadać na jego bardzo słodkie: „Dzień dobry.” Tym razem pukał i pukał: nie otworzono mu weale. Szambelan nie chcąc być natrętnym, odszedł, ale zgorszony... Cekał godziny poobiedniej, o której powtórnie odwiedzał synową, i skwapliwie udał się do jój mieszkania. Na pukanie odpowiedział mu głos jakiś dziwny ze środka... Szambelan otworzył i ujrzał... ogromnego Anglika w szlafroku i pantoflach leżącego w fotelu z nogami na stole, który dobywszy lornetki przypatrywał mu się ciekawie!

Wprawilo go to w osłupienie tak, że ani naprzód się nie posuwając, ani cofając, pozostał wryty w progu. Anglik nielubiący eugu, a może mu się też szambelańska fizyognomia nie podobala, zaczął się perzyć, krzyżeć, bić w stół nogami, i już miał lecieć w obroń swego hotelowego *home* z pięściami, gdy szambelon ucieczką się ratował... Sądził z razu, że się

o numer omyłlił... ale przekonał się, że nie... Zatem Olimpia musiała niewygodne to zmienić mieszkanie, nie mu nie powiedziawszy. Zszedł nieukontentowany na dół do rządu hotelu.

Rządca miał antypatyę do szambelana, który go z wysokości swój gwiazdy traktował, jako rzeczywisty radca stann, czego Szwajcar nie chciał zrozumieć; nie wstał więc nawet, widząc go wchodzącego.

— Dokąd się przeniosła ta pani z pod Nr. 25? pani baronowa Dobińska?

— He? odparł Szwajcar przewracając ogromną księgę leżącą przed nim: baronowa Dobińska?... baronowa wyjechała wczoraj jeszcze...

Szambelan zbladł.

— Dokąd? zawołał przyskakując.

— A co to do mnie należy? zimno i szydersko rzekł rządca.

Nie śmiejąc pytać o więcej, baron zmieszany widocznie, nie chcąc dać poznać, jak go to obeszło, skinął tylko głową i odszedł...

W istocie na chwilę postradał całą umysłu przytomność, w sieniach stanął, myślał i powtarzał sam do siebie: „Odjechała! odjechała!”

Zygmuntowi w tym stanie zdrowia, w jakim się znajdował, niepodobna było nawet o tem powiedzieć. Ojciec mimo mocy nad sobą, nie był pewien, czy potrafi ukryć wrażenie. Widząc, że oczy sług szydersko się na niego zwracają, z wolna poszedł do mieszkania.

Ostateczności tej nie przewidywał wcale, témbardziej, że człek oględny ułożył tak sprawy domowe jeszcze przed odjazdem, ażeby kassa została przy Zygmuncie. Zapewniało to od podobnej, nigdy wszakże

nieprzypuszczanej katastrofy. Jakże więc mogła Olimpia uciec? i uciec nie dawszy nawet znaku życia? Przyjazd matki stawał się teraz bezpotrzebnym—gorzej: zawadnym i niemiłym...

Mylił się tylko baron sądząc, że Olimpia odjeżdżając nie dała znaku życia; tegoż bowiem wieczoru przyniesiono mu rachunek wydatków ogromny, na którym dopisała, że go baron Zygmunt opłaci.

Szambelan był w najwyższym stopniu zakłopotany. Zygmuntowi naturalnie nie powiedział, ale smutek ogarnął go wielki. Co tu było począć? gdzie szukać jak? Poszukiwanie mogło rzecz którą on rad był utaić, uczynić nazbyt głośną, a szambelan karmił jeszcze nadzieję, że się to da jakoś ułożyć, ocalając honor familii. Dla zatarcia śladów tej historyi należało co rychlej im także z Genewy uchodzić, na co stan zdrowia Zygmunta nie dozwalał.

Był więc pan szambelan ze wszech miar w położeniu najkrytyczniejszem, i możnaby go żałować, gdyby tak bardzo na swe położenie sam nie zasłużył.

W kilka dni po katastrofie, szambelan właśnie miał wychodzić z hotelu, aby smutek swój topić w falach jeziora, gdy powóz zajeżdżający wysadził na próg panią radeczynię, zakwefioną, strojną, obłożoną mnóstwem paczek, omdlewającą niewiedomo ze wzruszenia czy z gniewu. Szambelan poznawszy ją po wykrzykniku, jakim go powitała, pośpieszył podać jej rękę...

— Prowadź mnie natychmiast do niej... Gdzie jest Zygmunt?

— Zygmunt był śmiertelnie chory, zaledwie powstał, ocalony cudem... Miał tyfus... Nie przed nim mówić niemożna ..

— A Olimpia?

Szambelan zająknął się.

— Wszystko pani opowiem; ale najprzód każ pani dać sobie pokoje... bo... tam będzie najłepiej...

Usłuchawszy rady, prowadzona przez szambelana, radezynie weszła do przeznaczonego jej apartamentu i padła na fotel... Podniosła oczy na zakłopotanego towarzysza swego...

— Mów pan, odczuwała się, mów mi pan wszystko, otwarcie... Jestże to prawda, że ten... ten niegodziwy uwodziciel tu się znalazł... że ona... bezwstydną...

-- Zapewne on tu być musiał, wyjąknął szambelan. Ja go nie widziałem, starałem się ignorować to, czemu już zapobiedz nie byłem w stanie. Zygmunต์ leżał między życiem a śmiercią. Musiałem być przy nim... a tymczasem...

— Cóż się stało?

Szambelan nie śmiał dokończyć.

— Mów, ale mówże co się stało?...

— Mojej synowej nie ma, nie ma ani śladu od dni kilku, znikła...

Radezynie krzyknęła i omdlała. Szcześciem razem z tłumokami, które wnoszono, weszła służąca jej, obeznana z mdłościami pani, i natychmiast dobyła z podróżnych worków trzeźwiące leki, tak, że szambelan, który osób już w wieku ratować nie czuł się powołanym, od trudnego tego obowiązku był uwolniony.

Pozostał tylko skruszonym świadkiem przyjscia do zmysłów i towarzyszącego mu gniewu radezynie. Odprawiła sługę szybko, kazała drzwi zamknąć, i wstawszy żywo z krzesła, postąpiła groźnie ku staremu, który stał jak winowajca...

— Otoż to owoce tego, gdy się z ludźmi bez taktu i wychowania ma do czynienia! zawołała pani. Wiedzieliście panowie o charakterze Olimpi i jej niesposobieniach; myślałam, że się z nią obchodzić potraficie... Wszystko to winni jesteśmy wam! wam!

— Ale pani dobrodziejko...

Radezyni biegła gniewna i zaperzona.

— Cóż ja teraz powiem? Co pocznę z mężem? Co on biedny zrobi, gdy się o tém dowie? Jest jaki ślad?

— Żadnego... Wszystko to z góry obrachowane być musiało.

— Nie robiliście poszukiwań?

— Lękaliśmy się rozgłosu! milczeliśmy... Mimo to dziennik wychodzący w Lozannie umieścił korespondencję z Genewy... Całą w niej historję opisano.

Radezyni załamała ręce... Szambelan stał pogrążony w smutku. Oboje czuli piorun, który uderzył, lecz żadne z nich nie wiedziało co począć dalej i jak się ratować. W istocie nie było może ratunku... Matka zaczęła płakać.

— Pani, odezwał się szambelan: wchodzę ja bardzo w przykre, bolesne jej położenie; lecz racz pani też na moje zwrócić oczy. Syn mój złamany chorobą, imię nasze okryte sromem, przyszłość zabita, pośmiewisko ludzi... oto owoce...

— Milcz wacpan, wtrąciła przybyła: chcieliście tego i modliliście się o to... a nie mieliście dosyć taktu, by wyjść z tego położenia... Zygmunt miał kilkanaście dni podróży na owdnięcie słabą kobietą; nie umiał zostać jej panem, któż mu winien? Dziś nie pozostaje wam nic, mnie nie, tylko stać czoło nieszczęściu mężnie. Ja... nie mogę tu pozostać ani chwili

li, muszę śpieszyć, aby wiadomość o tém nie uprzedziła mnie do Zabrzezia... Mogłaby zabić nieszczęśliwego ojca... Moje miejsce teraz tam... Jam winna! jam winna, żem taki wybór uczyniła, żem zmusiła dziecko, żem je popełniła w przepaść...

I matka macierzyńskimi łzami płakać znowu zaczęła.

Nierychło potem gniew przyszedł po łzach, po wybuchu jego łzy wróciły... Radezyni nie mogła nawet swojego ulubieńca Zygmunta zobaczyć, bo nie czuła się na siłach spokojną przywitać go twarzą. On do tam nie wiedział o niczém. Cały ten wieczór upłynął na naradach. Radezyni naganiała szambelanowi, iż za wezasu żadnych poszukiwań nie czynił. Rozgłos i tak był wielki, sprawy to popsuć nie mogło—a któż wie? możeby na ślad zbiegów wprowadziło...

Postanowiła nawet wypocząć cały dzień następny w nadziei, iż staraniom szambelana uda się może coś odkryć. Usłuchawszy rozkazów, szambelan nazajutrz rano, wedle metody swojej, udał się potajemnie do biura policyi i prosił o posłuchanie prezesa...

Ten przyjął go nadzwyczaj grzecznie, wyczytawszy na karcie całą linię tytułów. Szambelan z wielką wymową, z pewnemi ogródkami, opowiedział mu nieszczęśliwy swój wypadek, którego prezes słuchał z wyrazem kondoleneyi na twarzy.

— Panie radco, rzekł w końcu: do spraw natury czysto prywatnej, mogących spokój familii zakłócić, nasz urząd nie zwykł się mieszać, jak skoro one publicznej moralności nie tykają... Puszczaamy je mimo uszu i mimo oczu. Są przekroczenia, które opinia toleruje, których prawo nie karze, chyba wezwane przez interesowanych. Takięj natrny zdawała mi

się ta nieszczęśliwa przygoda, o której byłem uwiadomiony. O co panu teraz idzie?

— O odkrycie zbiegłych! mogłoby się to jeszcze po ciebie i bez skandalu rozwodem lub inaczej ułożyć...

— A! rzekł prezes, sięgając po książkę. Przed dziesięciu dniami ci państwo zwykli byli przebywać nad jeziorem w domku zwanym *villa Serena*...

— Może tam się znajdują jeszcze?

— Tego nie jestem pewien, willa ta już do mojej jurysdykcji nie należy...

Podziękowawszy prezesowi, szambelan wziął natychmiast powóz, i nie rozważywszy co czyni, wprost pojechał do wskazanego domu. Nie myślał nawet o tém, iż mógł spłoszyć zbiegłych. Zwykła przezorność opuściła go tym razem...

U drzwi willi wisiała znowu tablica z napisem: *A vendre ou à louer*... Stara kobieta mruczając wyszła do niego i opowiedziała mu, iż dwoje tych państwa od kilku dni willę opuściło. Siedli na statek parowy, który w różnych miejscach do lądu przybijał, a z miejsc tych znowu rozchodziło się tyle dróg po całym świecie!

Był to ostatni ślad, jaki o zbiegłych powziąć zdołał nieszczęśliwy szambelan... Policję szwajcarską całe życie potem przeklinał i różne o niej opowiadał dziwy.

*

*

*

Zygmunt wyzdrowiał nareszcie. Przygotowany z wolna przez ojca, później przez radczynię, która objęła nad nim troskliwą opiekę, dowiedział się o ka-

tastrofie, jaka go spotkała, nie okazując nadzwyczajnego wzruszenia. To czego doznał wprzód, zwrot, jaki pamiętna rozmowa z Klarą wywołała w nim, zmieniły jego postanowienia. Wprzód nim się o tém miał czas porozumieć z matką Olimpii, wyznał przed ojcem spokojnie, że jedyną rzeczą, której życzy sobie, jest rozwód i wyjście z fałszywego położenia. Szambelan właśnie dla tego nie chciał na to zezwolić, iż stojąc przy nierozzerwalności małżeństwa, spodziewał się więcej utargować. Porwał się więc, usłyszawszy to, prawie z gniewem.

— Ale toby było szaleństwo! zawołał. Jak to! dać im za wygraną? poddać się? i po tylu zachodach wyjść z tego ze stratą i pobitym, ze wstydem i szkodą? Nigdy na to nie pozwolę! Przepraszam! Nie żeniliśmy się dla ich pięknych oczu, mieliśmy na widoku kolligacye i miliony... nie taję tego; mamy w czystym zysku wstyd... niechże się choć do kaduka opłaci!

— Oplacony jeszcze się powiększy! rzekł Zygmunt. Jedynym sposobem wyjścia z brudnej sprawy niezbyt powalany, jest nie nie żądać i nie nie wziąć....

— A! to teorya godna ciebie! Znasz doskonale świat! Z majątkiem, wołał stary, wszystko ci przebaczą; a goły, choćbyś był kryształowej czystości, będziesz śmieszny. Słuchałeś mnie Zygmuncie dotąd, dodał, proszę cię, posłuchaj do końca. Nie graj roli Don Kichóta... Opieram się temu jak najmocniej. Olimpia ze swym kochankiem tak na wieki wieków przepaść nie może, zgłosi się do rodziców, zechce uprawnnić swe położenie, nie może się kryć wiecznie... Rozwód jest jój potrzebny, im a nie nam, my może-

my czekać, będziemy czekali, ale krzywdę nam wyrządzoną muszą opłacić. Dla nas to ruina. Wejść na nowo w świat tobie po takim wypadku trudno; ożenić się bogato i świetnie prawie będzie niepodobna... Za zawód, jakiegośmy doznali, muszą się opłacić.

— Ale oni też powiedzieć mogą, że byliśmy ostrzeżeni i wiedzieliśmy cośmy brali.

— Tak jest, między nami, lecz w obce świata wszystko inaczej wygląda. My wyglądamy na oszukanych, na pokrzywdzonych, mamy prawo krzyczyć, muszą nam usta zamknąć.

To mówiąc, szambelan kręcił się po pokoju, przypadł do Zygmunta, całował go i rzekł:

— Nie do niczego się nie mieszaj, proszę, proszę bardzo, zaklinam! Zostaw to mnie. Chory, możesz stać na boku. Ja za ciebie będę czynny. Tylko się nie mieszaj!

Radeżyni niespokojna o męża, naglila tymczasem o stanowczą rozmowę i postanowienie. Szambelan stawiał się jako umocowany, tłómacząc syna smutkiem i osłabieniem...

— Radźmy więc...

Radzili, radzili dzień i drugi, ale z obrad tych nie jakoś zaspakajającego wyniść nie mogło. Szambelan dyplomatyzował, nie wyjawiał zdania, narzekał tylko na złamany los Zygmunta. Matka Olimpii miała szczególnie na względzie ojca. Kryła ona dotąd przed nim nieszczeście córki, które było jej winą; знаła jego przywiązanie do Olimpii i wiedziała, że nie przebaczy jej nigdy losu córki, że odkrycie to rozerwie ich stosunek i może mieć dla radcy najgroźniejsze skutki: zył tylko tém dziecięciem...

Chciała ile możności najdłużej czuwać przy radcy, aby się o niczem nie dowiedział, i wyczekiwać, ażeby coś stanowczego zaszło. Ludziła się nawet nadzieją, że Olimpia może powrócić, i że Zygmunt zrezygnuje się przyjąć ją, zapomniawszy o obrazie i wybryku...

Chciała więc wracać do Zabrzezia, spleść jakąś bajeczkę o chorobie córki, o podróży, i przeciągnąć stan ten jak najdłużej... póki — póki... sama sobie dobrze nie zdawała sprawy... póki to trwać mogło...

Szambelan nie był temu tak dalece przeciwny, i on znajdował to prowizoryum lepszym niż rozbrat zupełny z nadziejami.

Oprócz innych korzyści, miał i tę na widoku, że pod rozmaitemi pozory będzie mógł od radcy i radczyni ciągnąć grosz, którego nieustannie potrzebował...

Stało więc na tém, że pani miała odjechać do domu, Zygmunt pozostać w Genewie czy gdzieby mu się podobało, a w sąsiedztwie Zabrzezia i po świecie mówiłoby się zawsze, iż młode małżeństwo podróżuje... Podróż mogłaby się nawet przeciągnąć... Zygmunt za żonę mógłby pisać do ojca, lub niby pod jej dyktowaniem i t. p. Matka brała na siebie dozór w Zabrzeziu. Resztę musiano zostawić losowi.

Gdy radczyni już się pakowała do powrotu, szambelan namyślał się jeszcze, czy ma Zygmunta zostawić samego, czy z nim pozostać jeszcze? Choroba i doznane bole moralne tak zmieniły Zygmunta, iż ojciec się nieco obawiał rzucić go tak samym, aby jakiego heroizmu nie popełnił. Dawniej szambelan był przekonany, że syn wychowany przezeń ma do-

syć zmysłu praktycznego; teraz o nim wątpić zaczynał. Uznawał go za słabego. Dla wzmocnienia więc postanowił czas jakiś z nim jeszcze bawić. Matka Olimpii przyszła nieszczęśliwego zięcia pożegnać, do którego po ochłonięciu z pierwszego gniewu, czuła znowu słabość dawną.

— Mój Zygmuncie, szepnęła ściskając rękę jego na odjezdném: miej mężstwo i wytrwałość. To co się stało, nie jest na prawdę ani nowém, ani niespodzianém; nieszczęście, to prawda, ale mam przeczucie, że ty z niego wyjdiesz tak, że o tém świat nie będzie wiedział... Olimpia wróci... zgłosi się... Nie daj się tylko do zrzeczenia się swych praw nakłonić. Ojciec i ja radzimy ci to zgodnie. Bądź cierpliwy. Tymczasem odpoczywaj, podróżuj, odzyskaj zdrowie, a do mnie pisz, ażebym wiedziała zawsze gdzie mam szukać ciebie...

Po czulém pożegnaniu, przeprowadzona aż na kolęj przez szambelana radezyni, pośpieszyła do domu; ojciec pozostał z synem... Wpatrywał się ze zdumieniem w Zygmunta, i nie mógł pojąć zmiany, jaką w nim znajdował. Nie choroba, ale wstrząśnienie od tego policzka hrabiny, opamiętało zepsutego, ale niedopsutego człowieka... Całą obrzydliwość swojego postępowania widział teraz dopiero i gryzł się nią. Szambelan rozpaczał, widząc długich lat dzieło rozsypujące się w gruzy. Codzieln prawie w rozmowie z synem chwytął go na projektach, które go oburzały. Zygmunt pragnął tylko, jak mówił, spokoju, kąta na wsi, wytechnienia po tém, czego doznał. Dawał za wygraną przyszłości.

Uczucia te chwilowo były usprawiedliwione; ojciec się tylko lękał, ażeby utrwalić się nie chciały.

— Ja cię nie wychowałem na anachoretę, prawil. Wielka rzecz, że się raz nie udało. Być może, iż w tém i mojej winy jest trochę; lecz grając o tak wielką stawkę nie wstyd się i pośliznąć. Cóż u licha! przypatrz się małżeństwom naszych pierwszych rodzin, wejrzyj w pożycie, które nikomu nie jest tajne. Spotkasz się z mnóstwem tego rodzaju przygód, których rozsądni ludzie tak tragicznie nie biorą. Na tym wielkim świecie to chleb powszedni. W małym, na który nikt nie patrzy, o którym nikt nie wie, dzieje się podobno może gorzej jeszcze. Główna rzecz, by człowiek niezawisłość sobie wyrobił i majątkową podstawę;—reszta — kto tam na to zważa! Abdykować się nie godzi nigdy...

Ale ani te, ani wyrazistsze jeszcze kazania z przykładami, nie zdawały się działać na Zygmunta. Chciał bądź co bądź wyjść z zasadzki, w którą wpadł. Szambelan nie był przeciwko temu, ale... zawsze dodawał: „*Moyennant finance...*” U niego to było pierwsze i ostatnie słowo.

Zdawało mu się w końcu po kilku tygodniach, iż Zygmunta nieco przerobił i przywrócił do stanu *quo ante bellum*. Potrzeba mu było odjeżdżać, chciał bowiem i w Zabrzeziu się pilnować. Nie byłby może śmiał opuścić syna, gdyby los nie nastreczył mu pożądaney pomocy.

Gdy już Zygmunt do sił przychodził, major Redke, choć odprawiony, ale niedający się odprawić, przyszedł raz o stan zdrowia barona się dowiedzieć. Szambelan go tu poznał. Redke nie był trudny do oceny: na pierwszy rzut oka każdy w nim musiał awanturnika dojrzeć, dogodnego do usług, cheiwego grosza, nieoglądającego się na sposoby nabycia go...

Szambelan lubił takich ludzi.

— Z nimi bo to odkryta gra: od razu wiesz gdzie się możesz skaleczyć, pilnujesz się, a masz tę dogodność, że ci służą jak chcesz, że nie mają głupich zgryzot sumienia, delikatności przesadzonych, honoru do ochrauniania i t. d.

Od pierwszego spotkania zrozumieli się ci dwaj ludzie godni siebie. Major poszedł na spacer z szambelanem, wielce go honorując, bo zaraz poznał słabą żylkę. Zaprowadził go do doktorowój, ale stary grać nie chciał, a co do umizgów, był na nie obojętny.

— Słuchaj, majorze, rzekł wychodząc: mnie w grę nie wciągnie nikt, to daremny zachód... A co się ty-cze kobiet... za stary jestem... Więc to fałszywa spekulacya.

Major się chciał obrazić, stary się rozśmiał.

— Daj pokój! lepiej o ezém inném pogadajmy ja ci mam interesik dobry do proponowania...

Słyszając to Redke, zaraz ochłonął.

— Rzecz jest taka. Mnie trzeba jechać do domu, syna muszę tu zostawić. Nie mam się czego tać, bo wy to wiecie i tak, że żona odjechała go z awanturnikiem tym Fratellim. Zygmunt nie może powrócić do kraju, dopóki się ona nie wyszuka i coś z nią nie ułoży. On zniechęcony... boję się, żeby albo się ztąd nie wyrwał przed czasem, albo pochwycony nie rzekł się swych awantazów. Kogoś mi tu potrzeba zostawić na straży. A dobrzeby też było, gdyby pozwoli, nieznacznie i tego Fratellego szukać, śledzić. Jestem pewien, że oni się kryją w Szwajcaryi, bo tu skryć się nadzwyczaj jest łatwo. Ale pieniędzy wiele nie mają... będą musieli ogłodziwszy się wyjść z kryjówki... możnaby ich gdzie przylapać. Otoż

proponuję ci missyę: nadzór nad Zygmuntem, raportowanie mi o nim... szukanie zbiegów. *Les bons comptes font les bons amis*. Oszukać mnie i naciągnąć, kochany majorze, nie staraj się, bo ja jestem stary, kuty wyga... ale zarobić możesz coś weale ładnego... Za dozór naznaczymy miesięczne *quantum* z góry płatne... Za odkrycie zbiegów dam piękną *premię*... tylko *faux frais*, kochany majorze!... niech będą obliczane nie podwójną kredką!

Pogroził mu na nosie. Major wziął to z dobrą bardzo strony i zaczął się śmiać.

— E! szambelanie kochany, rzekł z cieła, całując go w ramię: z ludźmi jak wy, to naturalnie inaczej się postępuje niż z innymi... pospolitą gawiedzią, *gent talliable et corvéable à merci*. Cóż cheesz? żyć trzeba, czasy okrutnie ciężkie, a głupi ludzie stworzeni na to, aby na nich żyli mądrzejsi... To darmo. Prawo natury, panie szambelanie, prawo natury...

Śmieli się oba.

— Wszystkie warunki przyjmuję, dodał Redke. Lubię i cenię tę pańską otwartość szlachetną. Z takimi ludźmi jak wy, porozumieć się można... Wszystko dobrze, tylko trzebaby zapobiedz, aby baron Zygmunt przez jaki kaprys pozbyć się mnie nie cheiał.

— O! nie! rzekł szambelan: bądźcie osamotniony... a major potrafisz go sobie pozyskać...

Reszta rozmowy przy absynce, za który szambelan zapłacił, ściągała się już tylko do szczegółów i wykonania. Zygmunt niepowinien był weale wiedzieć o missyi powierzonej majorowi... Redke upewniał, że z gorliwością największą potrafi się zająć główną sprawą, wyszukaniem zbiegów. Był on także tego zdania, iż długo ukryci zostać nie mogą,

a ukrywać się gdzieindziej niż w Szwajcaryi lub Włoszech nie potrafiliby pewnie.

Miał najpiękniejsze nadzieje... zwracał tylko uwagę szambelana na to, iż nie mając kapitałów rozporządzalnych, nie mógłby być czynnym, nie otrzymawszy jakiegoś forszusu na rachunek przyszły. Stary baron był tak szczęśliwie usposobiony, że się i na to zgodził, a wybrawszy najgorsze kulfony jakie miał, dukatami ofiarował zaliczkę. Major nie wglądał tak dalece w rodzaj monety.

Wszystko się tedy ułożyło jak najszcześliwiej, najpomyślniej, i szambelan mógł pomyśleć o wyjeździe do domu.

Czuły ojciec tylko przedłużył swój pobyt, aby w ostatnich dniach powtórzyć przestrogi i rady, które dla większego bezpieczeństwa na piśmie zostawił. Szepnął też słówko o Redkem, że mu użytecznym być może.

— Jest to sobie lajdaczyna, rzekł, ale się i takimi w pewnych razach posłużyć można... W gruncie nawet nieczył człowiek, ale... co chcesz?... zwałoby się to jak wiele innych...

Po najserdeczniejszych uściskach szambelan wreszcie wyruszył. Zygmunt został sam, a że mu ten hotel niemiłe wznawiał wspomnienia, za poradą majora przeniósł się na pensję jakąś, w której Genewa obfituje...

Towarzystwo w niej było wielce urozmaicone i składało się ze wszystkich narodowości koczujących po Europie... Zygmunt więc mógł tu znaleźć rozrywkę i znajomości do wyboru, chociaż wcale do zabierania ich z razu usposobiony nie był...

Major tymczasem zajął się poszukiwaniami. Nie był on orłem i nie miał nadzwyczajnych zdolności na *detectora*, lecz gdy szło o zarobek, władze się zaostrzały, stawał się prawie przebiegłym i dowcipnym. Tu mógł się spodziewać premii wcale pięknej. Szambelan niewyraźnie wprawdzie, ale mówił coś jakby o stu luidorach...

Redke więc cały się poświęcił dochodzeniu. Wiedział już, że mieszkali w villa Serena, i od tego punktu wyjścia rozpoczął... Z razn nie się tu nie mógł od zgryźliwej gospodyni dowiedzieć, lecz trafem spotkał się z człowiekiem, który tlomoki i rzeczy wywoził. Ten zapewnił go, iż siedli na statek parowy...

Wiedząc dzień, w którym się to stało, major doszedł łatwo, jaki parowiec naówczas mógł przybyć do brzegu w bliskości... Zwał on się „Leman,” a kapitanem był niejaki Schutzli, którego Redke niekiedy widywał... Starał się spotkać z nim... Historya zbyt przedawniona nie była... Na zapytanie majora przy kieliszku koniaku, kapitan Schutzli ruszył ramionami:

— Gdziesz chcesz pan, żebym ja pasażerów pamiętał? Tylu ich codzień się przewinie! to niepodobieństwo...

— Ale może coś przypadkiem sobie przypomnieć?

Po długich a długich mordowaniach, kapitan jak przez sen zdawał się sobie nareszcie przypominać, że go uderzyły siwe długie włosy młodego jeszcze człowieka, który razem z bardzo piękną damą, wyglądającą arystokratycznie, wysiadł... wysiadł... Otoż, gdzie mianowicie, Schutzli na żaden sposób zaręczyć nie mógł, ale był pewien tego, że niedaleko bardzo odpłynawszy, wylądowali na brzegu jeziera. Tu czekał na nich powóz, do bagażów byli ludzie i pociągęli

do którójś willi, zapewne niezbyt oddalonój, co wskazywał sam sposób podróżowania.

Wskazówka była tak mało mówiącą, że Redke czuprynę sobie tarł z desperacyi. Nie pozostawiało mu nic więcej, tylko sięść na statek z kapitanem i mniej więcej w oznaczoném miejscu wylądowawszy tulać się, pukając do wszystkich wrot pod pozorami różnemi. Siwe włosy Fratellego były mu jedyną pomocą, bo każdego uderzyć musiały.

O wszystkich swych zachodach nie mówiąc ani słowa Zygmunto wi, który czas spędzał z książką w ogrodzie, na ziewaniu lub urywanych rozmowach z innymi pensyonarzami i zdawał się zrezygnowanym na to życie ostrygi, Redke latał po całych dniach, ale daremnie. Zyskał tyle, iż punkt wylądowania Schutzlego czy dla pozbycia go się, czy rzeczywiście sobie przypomniawszy, oznaczył. W okolicy było tyle znowu bliższych willi, a major w swych wycieczkach tyle doznawał nieprzyjemności od ich mieszkańców, że chwilami do rozpacz y go to przyprowadzało... Czas upływał, rapporta do szambelana szły regularnie... Zygmunt się okrutnie nudził. Do doktorowój chodzić nie chciał, rozmowy go nie bawiły, książki długo utrzymać w ręku nie mógł, przejażdżki po jeziorze nie miały celu, wyczekiwanie śmieszne przeciągało się... Przebąkiwał już o wyjeździe... Sam nawet nie wiedział, co jeszcze z sobą zrobi, lecz pozostać tak dłużej nie mógł. Pokazać się w kraju było prawie niepodobieństwem, męczyć się na tój pensyi groziło spleenem; trzeba było albo rezolutnie w łeb sobie wypalić, lub zmienić przynajmniej pozycyę i na drugi bok się obrócić.

Gdy się to działo w Genewie, radezyni śpieszyła do Zabrzezia. Niespokojna bardzo przybyła tu, nie śmiejąc ust przed mężem otworzyć, a badając wprzódy, czy czasem się już o czém nie dowiedział. Radea rzeczywiście nie słyszał nie, dziwił się tylko, że od tak dawna listu od córki nie miał. Zona stworzyła całą powieść o lekkiej słabości Olimpii i o jej zupełném ozdrowieniu, a co do szczęścia domowego nowozaślubionych miała jak najlepsze nadzieje. Nie zapewniała, że już jest wszystko jakby być powinno, ale na najpiękniejszej drodze do porozumienia.

— Zygmunt ma wiele taktu. Olimpia, jak wiesz, przywiązania do niego nie miała; poszła za niego przez rozum i posłuszeństwo, lecz godzi się coraz lepiej ze swym losem... Trzeba to zostawić czasowi...

Radea był i z tego bardzo zadowolony. Badając sąsiedztwo, matka przekonała się, iż tu szczęściem żadna jeszcze plotka nie doszła, nie wiadano nie a nie... Szambelan dla niepoznaki i odwrócenia pogłosek i domysłów, powróciwszy zajmował się niby bardzo czynnie urządzeniem domu w majątku przeznaczonym dla państwa Zygmuntoństwa. Wielki więc ten cios, który spadł na rodzinę, w części przynajmniej był odwrócony, bo rozgłosu jeszcze nie miał. Zapobiegając zatem pytaniom, matka i szambelan zgodnie powtarzali, że dla zdrowia Olimpii klimat włoski był potrzebny, i że zapewne z rok jaki za granicą zabawić będą musieli...

Szambelan jako człek wielec przezorny za wezasu się troszczył o to, co pocznie, gdy nadzwyczajném jakim szczęściem zbiegowie odkryci będą. Zawezesne te projekta i plany okazały się usprawiedliwionemi, gdyż w kilka tygodni odebrał list rekomendo-

wany od majora Redkego donoszący, iż miejsce schronienia zbiegów odkrył, że czuwać będzie nad nimi, i że oczekuje rozkazów, jak ma sobie postąpić. Uszczęśliwiony, ale razem zaniepokojony tém, co mu począć wypada, szambelan odtelegrafował, aby pilnować tylko i czekać na jego przybycie, a Zygmuntowi nie mówić nic...

W parę godzin był już gotów do drogi, lecz podróż skierował na Zabrzezie dla narady z matką. W istocie nie wiedział dobrze, co pocnie... Los jakby na szyderstwo dawał mu to, czego sobie życzył, a biedny szambelan musiał się przyznać w duszy, iż nie miał pojęcia, jak mu postąpić należało. Tarł siwą czuprynę, i całą drogę rzneł się z jednej w drugą stronę powozu, powtarzając sobie:

— I tak źle, i tak niedobrze!

Po fizyognomii wywróconej dziwnie matka na pierwsze wejście, spotykając go w salonie, domysliła się, że przyjeżdżał z czémś ważniejszém niż zwykle. Rady chwilowo w domu nie było... Natychmiast wyprowadziła go do gabinetu...

Stary ledwo mógł mówić.

— Pani dobrodziejko! odkryto... odkryto ich sebro-nienie... co tu począć?!

Matka zbłądła i zadrżała, spojrzała oczyma obłąkanemi... Pierwsza myśl, która ją w serce uderzyła, był żal nieszczęśliwej córki, potem obawa, aby pochwycona nie dopuściła się jakiej ostateczności z rozpacy. Wiadomość ta zamiast ucieszyć ją, uczyniła prawie nieszczęśliwą. Szambelan stał oswiały... Nie miał odwagi przyznać się do tego, co myślał. On gotów był po prostu kazać zabić Bratanka... a gdyby z rozpacy zmarła Olimpia, byłby poszedł w gwieź-

dzie i z kluczem za pogrzebem, i pocieszyłby się łatwo... Ale jakże było przyznać się przed matką? Ta plakała, nie mówiąc słowa. Chciała jechać sama, lecz cóż ona tam poradzić mogła?

— Co tu począć?

— A Zygmunt?... spytała matka.

— O niczem nie wie, oszczędzilem go... sam gotowem jechać...

— Jeśli waćpan pojedziesz, to ja także... ja także... ja muszę tam być dla córki, obawiam się o nią...

— Cóż pani powie panu radcy?

— Żeś pan od syna miał list uskarżający się na zły stan jej zdrowia... Jako matka wyproszę się, by do niej pojechać.

Szambelan kombinował, że matka tam rychlój mu będzie zawadą niż pomocą. Zmleczal.

Dobre pół godziny trwała rozmowa nie nieznacząca, przerywana, świadcząca tylko, że to co się zdawało wypadkiem bardzo szczęśliwym, stawalo się zadaniem nie do rozwiązania... Zostawiony sam sobie, szambelan byłby się pewnie uciekł do ostatecznych środków, lecz znając już Olimpię, obawiał się jej rozpacz, rachował więcej na wpływ rodziców, bo ten mógł Zygmuntowi przywrócić żonę i sklecić małżeństwo, a o to szło mu głównie. Już jakieby ono potem było, szczęśliwe czy nie, dla niego podrzędnem się stawalo.

W ciągu rozmowy téj z matką, dał się słyszeć turkot powozu: radca przybywał... Z nim razem zachwala myśl zawitała do głowy szambelanowi, z której się spowiadać nie chciał, ale go ona nderzyła tak, że jak niespodzianém światłem olśniony, nagle się uspokoił. Potrzebował tylko malego jeszcze na-

mysłu, i nie mówiąc nic matce, postanowił działać wedle tego natchnienia.

— Trzeba w nadzwyczajnych razach mieć odwagę rzeczy nadzwyczajnych, rzekł w duchu.

Radezyni ani go mogła posądzić o to, co knuł... Radca wszedł w jak najlepszym humorze, wesoły, spokojny, nie domyślając się, co go tu spotkać miało. Zmieniona twarz żony obudziła jego troskliwość, popatrzał na szambelana wyglądającego jakby spadł z dachu... i zaczął się rozpytywać, czy nie było z Włoch jakich wiadomości?

— Olimpka mi trochę niezdrowa, odezwała się matka; nie ma to tam nic, ale Zygmunt pisze, że znowu słabą była...

Biedny ojciec zafrasował się... Szambelan milczał, zapytany ruszył tylko ramionami, smutny chodził i nie odzywał się wcale.

Godzina była wieczorna, a cała dnia reszta zeszła na obradach, czyliby matce nie trzeba było jeszcze raz pojechać?... Ojciec nie a nie nie miał przeciw temu. Szambelan zachowywał się nad podziw biernie i chłodno... Z zafrasowanćj postawa jego i mina zaczynała się pod noc coraz stawać jakąś uroczystszą i poważniejszą... Niemal do północy tak dosiedziawszy, odkładając postanowienie do jutra, pożegnali się w końcu. Radezyni odeszła do swych pokojów, ojciec miał także iść do siebie, gdy szambelan nagle, obejrzwszy się w koło, napuszczonym tonem odezwał się do rady:

— Chociaż pora spóźniona, ale zmuszony jestem prosić pana rady o poufną rozmowę na osobności. Sprawa jest wielkiej wagi, niecierpiąca zwłoki.

Ton ten uroczysty przeraził radcę; pochwycił za rękę szambelana.

— Na miłość bożą! mów! nie się nie stało Olimpii? żyje?

— Żyje, szepnął szambelan; ale są okoliczności, o których musimy pomówić. Radbym był panu do ostatka oszczędzić niepokoju i frasunku; niestety! dziś nieodzowném jest rozmówienie się szczerze i otwarte.

Zaniepokojony do najwyższego stopnia, radca pobiegł raczej niż poszedł do swego pokoju i natychmiast drzwi zamknął na klucz.

— Mów pan, odezwał się głosem drżącym: ale proszę cię, bez ogródki, bez osłon, bez przygotowań... mów!

Szambelan drżał. Czuł, że brał na siebie odpowiedzialność ogromną, w łono spokojnego człowieka, ojca, miotając żagiew, która płomień rozniecić miała. Kość była rzucona.

— Boli mnie, że panu jako ojcu boleść zadać muszę. Uzbrój się pan... to co wyznam, nadsz wyraz przykrém mu będzie, ale od pana jednego zależy ratunek... Pańska córka w ośmnastym roku życia, w czasie pobytu z matką w Dreźnie, była wykradziona... Tajono to przed nim... odebrano ją po kilku tygodniach pożycia...

Szambelan nie dokończył tych wyrazów, bo radca rzucił się na niego, rycząc prawie jak wściekły, i chwycił go za kołnierz od surduta.

— Kłamiesz, oszczerco! to fałsz...

Szambelan błdy przetrwał tę burzę.

— Przekonasz się pan, że mówię prawdę... Było to powodem, że córka pańska za mąż wyjść nigdy nie chciała... Wiedzieliśmy o téj awanturze, gdy syn

mój starać się począł, i nie odstręczyło to nas, bośmy mieli nadzieję, że nieszczęśliwa ta przeszłość zapomnianą będzie...

— Olimpia! on! dziecko moje! łkając powtarzał radea: a! nie... to niegodziwa potwarz!

— Panie radeo, dodał skracając szambelan: najlepszym dowodem, że mówię prawdę, jest to, iż synowa moja spotkawszy pierwszego swego uwodziciela w Genewie, opuściła męża i powtórnie z nim zbiegła...

Radea zatrząsł się cały, i zasłaniając sobie oczy, upadł na fotel... Płakał... płakał długo... Szambelan mileżał i czekał...

— Chcieliśmy do ostatniej chwili oszczędzić panu boleści... Stało się to... począł po długim przestanku— stało się to od dawna, zaraz po ślubie... milezeliśmy. Zygmunt chorował śmiertelnie... Byłbym może mileżał jeszcze... lecz... udało mi się odkryć schronienie zbiegłych... W panu jednym nadzieja, iż do córki przemówić potrafisz, zwracając ją na drogę obowiązku...

Usłyszawszy te wyrazy, radea jak gdyby oprzytomniał, odetchnął, potoczył wzrokiem do koła, chwycił się za piersi i wstał z wołna z krzesła.

— Gdzie są? spytał sucho szambelana, na którego z ukosa spojrzał z dziwną jakby pogardą.

— W Szwajcaryi. Ja jeden mam wiadomość o ich schronieniu, bo je odkryłem.

— I to wszystko jest prawdą? to nie sen? to nie wymysł? to nie potwarz? to więc jest prawda?

— Na nieszczęście! westchnął szambelan, spoglądając na radeę, którego twarz zazwyczaj spokojna stała się tak groźną, tak dumną, iż go przeraziła.

Piorun, który uderzył w tego człowieka, na chwilę tylko go obalił; widać było, że już się pod-

niósł, zebrał myśli i szukał drogi sumienia i obo-
wiązku.

Zwrócił się ku szambelanowi:

— Zostaw mnie pan samego, rzekł. Jutro... jutro pomówimy. Potrzebuję myśli zebrać i ukoić żal... pro-
szę was...

Z razu chciał jeszcze pan szambelan coś przemó-
wić, lecz wprędce poznał, że radca milczeniem go
zbędzie... Starzec z załamanemi rękoma stał już
u obrazu Chrystusa ukrzyżowanego, wiszącego przy
łożku, i w milczeniu czerpał siłę z widoku bożkiej
męczarni... Łzy płynęły po męzkiej twarzy.

— Moje dziecko! dziecko mój! powtarzał nieprzy-
tomny.

Szambelan wyniósł się nieco zmieszany, nie był
pewien czy nie zrobił wielkiej niedoręczności. Rad-
ca wzrokiem okropnym go zmierzył.

W chwilę po wyjściu cichém tego gościa, radca
wziął świecę w drżącą rękę, i z wolna, ale pewnym
krokiem skicrował się do pokojów żony. Radezyni
wzdrygnęła się ze strachu, nśyszawszy pukanie,
a ujrawszy męża, który błady jak trup ukazał się
w progu, omdlała... Zrozumiała, że to przyszedł sę-
dzia... pytać jęj o powierzone jęj dziecię. Sędzia su-
rowy był, ale już uspokojony rezygnacyą chrześcia-
nina. Wiedział, że przeszłość niepowrotna, a wyrzu-
canie grzechu matce, która nań całe życie przebo-
lała, było daremném okrucieństwem. Gdy przyszła
do siebie po omdleniu i rzuciła mu się do nóg, rad-
ca rozplakał się i podniósł ją.

— Wiem wszystko, rzekł. Dziecię ratować mu-
simy. Zostaw mnie to staranie; jedziemy jutro z tam-
tym.

Jakby mu nazwisko szambelana sprawiało obrzydzenie, wymówić się je wzdragał.

— On ci to powiedział?... spytała matka.

— A któżby inny? rzekł cicho ojeiec. Chciałaś ich... weszli do tego domu... Miałem wstręt do obu, przełamałem go, sądząc, iż może dziecku mojemu szczęście przyniosą... oni mi tylko śmierć przynieśli. Tak!... śmierć.

Krokiem wielkim począł się przechadzać po pokoju.

— Ostatnia to karta historyi rodziny czystej, cnot patryarchalnych, matron świątobliwych, mężów ryckich... ostatnia karta zwalana błotem... któż wie? i krwią może! Na mojej trumnie nikt nie roztrzaska tarczy herbowej, sama się ona spękała od sromu... Wszystko stracone... wszystko... Bóg widzi, świat wie, ludzie się szydersko rozśmieją... Srodze los nas dotknął... srodze...

Nagle zwrócił się do żony.

— I ci? i ci? dodał: ci wiedzieli o tém, że biorą nieszczęśliwą bez serca i mimo jej woli, a szli i cisnęli się... podli! podli! A tyś milczała lat tyle i nie mówiła mi nic...

— Ocaliłam ci lat kilka spokoju...

— Tak, lecz jabym był może dziecią od sromu ocalił!

Załamał ręce.

— Ludzie! co, powiedzą ludzie, którzy nam zdrościli błogosławieństwa bożego?... O! plagi Hioba za nic przy mojej. Jedyne dziecią... Olimpka moja...

Płakał biedny znowu, zasłaniając sobie oczy; żona na kolanach przysunęła się ku niemu i przejęta a wzruszona łkała.

— Przebacz mi! przebacz!

— A! nie wyrzucam ci nic, odezwał się powolnie. Bogu się podobało upokorzyć, Bóg chyba poratuje... Jutro jadę, ty zostań...

To mówiąc, wyszedł radca. Wróciwszy do mieszkania, całą noc przygotowywał się do podróży i modlił. O świcie zadysponowane były konie do stacyi, i wszystko przyrządzone do wyjazdu. Szambelan ukazał się dopiero, gdy go zawołano.

— Pan jedziesz ze mną, odezwał się sucho radca. Dokąd jedziemy?

— Do Genewy...

Ojca Zygmunta uderzyło to szczególnie, że po tak ważnem zwierzeniu zamiast się zbliżyć do niego i poufnie rozmówić, zdawał się oddalać i milczał ciągle. W początku drogi przypisywał to nieukołysanemu jeszcze wrażeniu, lecz później zaczęło go to niepokoić. Radca nie pytał go o szczegóły żadne, nie dopuścił mu ani razu z kondolencyami się rozwodzić, milczał, patrzył osłupiałemi oczyma w okno wagonu, czasem dobywał książkę i modlił się, dozwalał sobą rządzić i kierować w rzeczach praktycznych dotyczących drogi, lecz nie dopuścił szambelanowi zbliżyć się, naradzać, pytać. Pan baron niespokojny był nawet, nie mogąc odgadnąć, co on uczynić zamierza; ale po namyśle baczniejszym ukoił się sam tą uwagą, że radca nie może wreszcie postąpić inaczej, tylko na drogę obowiązku prowadząc córkę. Był tego pewien. Żal biednego człowieka tłómaczył zresztą jego pogrążenie się w sobie.

Nie zatrzymując się ani na chwilę nigdzie, nie odpoczywając, przebiegli ogromną przestrzeń z szyb-

kością niezmierną, i szambelan zbudził się znużony na dworcu kolei, usłyszawszy wykrzykniętą Genewę.

Tu oczekiwał już na niego telegramem zawiadomiony major Redke. Radca, ledwie rzuciwszy okiem na tę figurę, siadł do powozu i rozkazał się wieźć do hotelu.

— Pan szambelan dobrodziej odda mi tę sprawiedliwość, iż na nagrodę pracowałem sumiennie i dokazałem czegoś, co się cudem nazwać może!... Dokażalem niepodobieństwa!

— Ale jesteś pewien?

— Jak najpewniejszy, bom z kryjówki sam na moje oczy widział Fratellego...

— I nie spłoszyłeś ich? nie nciekną?

— Jakim sposobem? dokoła ich żandarmi pilnują! Musiałem użyć pomocy policyjnej, ale zresztą nie ważyłem się na nie stanowczego do przyjazdu pańskiego... Spodziewam się, że uwzględniając to, iż zrobiłem, czegooby nikt nie mógł inny dokonać, premium będzie powiększone....

Major zatarł ręce. Szambelan ponury prawie go nie słuchał.

— Premium musi mi zaliczyć z góry! rzekł w duchu major: inaczéj nie... kto wie co późniéj być może.

*

*

*

Przybywszy do Genewy, szambelan przeprosił radcę, iż go opuścić musi (za co się ten bynajmniej nie gniewał), i prawic nie spoczywając, bo był niezmordowany, gdy szło o najwyższe życia cele (to jest: pieniądze), pojechał zaraz do syna. Major uprzedził z góry, iż Zygmunt o nicém nie wie; mógłby być bowiem rzecz całą popsuć...

Zdziwiony powitał pustelnik najukochańszego rodzica, a szambelan badając syna, którego znalazł w towarzystwie dwóch Angielek, jednej Rossyanki i Francuza, pocieszył się widząc go odżywionym i już po przebyciu pierwszego peryodu nudów, doskonale zaaklimatyzowanym. Trudno nawet było poznać w nim bohatera tak tragicznego wypadku, któremu małżeństwo niefortunnie się powiodło. Ożywiony wielce, trzpiotał się z Angielką jedną, która wielce w jego dowcipie smakowała, mając go zapewne za beczennego jeszcze bałamuta i pracując nad jego ustatkowaniem. Na widok ojca, Zygmunt musiał rzucić miłe towarzystwo i pośpieszył w jego objęcia. Zdziwiło go niepomalu to niespodziane zjawisko.

— Cóż ojciec tu robi?

— Ale, bardzo naturalnie przybyłem do ciebie, niespokojny byłem, chciałem cię widzieć. Dzięki Bogu, znajduję cię zupełnie dobrze... nawet rumieniec powraca.

— Cóż ojciec chce? wiekuiście konać z rozpaczy? rzekł Zygmunt: życie dopomina się praw swoich...

— Angielka wcale ładna, szepnął szambelan; ale wiesz, że z niemi sprawa zła... Pozywają do sądu...

Baron się roześmiał.

— Sparzony jestem i nie posunę się pewnie tak daleko, żebym aż sędownie zmuszony był odpowiadać.

Znał nadto ojca Zygmunt, ażeby uwierzył, że go tu sama czułość rodzicielska mogła przypędzić; domyślał się czegoś więcej. Szambelan zaś nie życzył sobie zdradzać tajemnicy, obawiając się, aby mu syn w czém nie przeszkodził, chciał dopiero fakt dokonany zwiastować.

Odsunęli się trochę w głąb ogródka, a major skończył z tego, i na rachunek Zygmunta poprosił o szklanę zimnego grogu.

— Niechże mi ojciec powie otwarcie, patrząc mu w oczy rzekł Zygmunt: co go tu sprowadza?

— Mówilem ci, troskliwość o ciebie.

— Dziękuję, ale przytém coś więcej.

— Na dziś, nic.

— Są przecież jakie nadzieje? widoki? może odkryto dokąd zbiegła pani Olimpia?

— Zawsze się spodziewamy odkryć...

— A więc to doprawdy ofiara ze strony ojca, za którą nie wiem jak dziękować.

— Wcale nie dziękować! odezwał się szambelan. Widzę cię zdrowszym, •wesołym, tego mi dosyć.

— Ojciec tu zabawi?

— Prawdziwie, nie wiem jeszcze.

— Coś to mi wygląda zagadkowo! rozśmiał się Zygmunt.

Ojciec ramionami ruszył.

— Jeśli miłość ojcowska może być dla ciebie zagadkową!

Zygmunt nisko się skłonił. Czuł, że się tu nie dowie, a razem, że coś jest.

Major pil grog, spoglądając z ukosa.

— Ojciec stoi w mieście? rzekł Zygmunt.

— Tak jest, i jutro będę zajęty, ale gdy się cokolwiek uwolnię, sam przyjadę do ciebie.

Usiedli.

— No, kochany ojczy, żartobliwie nalegał Zygmunt: musiałeś się czegoś dowiedzieć? przywozisz mi jakieś wiadomości? chcesz mnie przygotować? Jam gotów na wszystko...

— Dotąd nie ma nic, enigmatycznie rzekł szambelan. Spuść się na mnie, że cię uwiadomię w porę. Jedno tylko to powiedzieć mogę, że dobrzeby było, abyś się do podróży przygotował, na wszelki wypadek...

— Wracam tedy do małoletniości, trochę urażony przerwał Zygmunt,—kiedy we własnej sprawie od udziału odsądzony jestem!..

Milczeli trochę.

— Kochany ojcze, w polityce i w życiu zły to system: *sine me de me*; wołałbym wiedzieć o co idzie, gdy niezawodnie chodzi o skórę moją.

Szambelan milczał ciągle.

— Jeśli Olimpia się znajdzie, jeśli jakimkolwiek sposobem zbłąkana owieczka będzie nazad do owczarni przypędzoną, jużci należałoby mnie spytać, czy ja za nią pójdę?

— Mnie się zdaje, że to nie ulega żadnej wątpliwości, odczuwał się szambelan.

— Przed parą miesięcy tak było, to prawda, poczał Zygmunt, zapalając cygaro; ale teraz wiele się rzeczy zmieniło. Najprzód przebolełem, powtóre na- byłem doświadczenia. Tatku kochany, ty i ja, byliśmy na fałszywej drodze i palnęliśmy obaj baka. O co szło? nie prawdaż, że o świetne i bogate ożenienie? Wkładka moja w ten interes była jak jest: wychowanie, prestancya, żargon, ton, arystokratyczny tytuł, umiejętność sprzedania się, nie prawdaż? Otoż z tą wkładką daleko można było świetniejszy i łatwiej interes zrobić za granicą niż w kraju. Tu posagi są większe, majątki znaczniejsze, a przyzwoici cpuzerowie, z tytułami prawdziwemi, dosyć rzadcy,

towar poszukiwany. Byłbym więc łatwo zrobił i mogę jeszcze zrobić interes nader świetny.

Ojciec spojrział niedowierzająco.

— Najprawdziwsza prawda, kochany ojcze, mówił Zygmunt. Ja tu mam Angielkę prawie niezależną, dobrze wychowaną, wnuczkę baroneta, z posagiem stu tysięcy funtów...

— Byle nie fig, szepnął szambelan, ruszając ramionami. Ja się boję tych spekulacyj na walory mieniczne i do sprawdzenia trudne... Dajmy temu pokój.

— Wracam do mojego przedmiotu, kończył Zygmunt. Po cóż ja mam się męczyć i kobietę zamęczać, kiedy sobie ekwiwalent znajdę, który mi z usmiechem i dobrą wolą rzuci się w objęcia?...

— A! w objęcia! w objęcia rzuci się ich ile chcesz, rozśmiał się ojciec—ale do obejmowania nie będziesz miał nic oprócz bozkiej talii i cudnej kibi-ci, a tego za mało dla nas, co nową rodzinę arystokratyczną w kraju fundować chcemy...

— Byłby i tytuł, i herb...

— I sto tysięcy fig! dodał trzęsąc głową szambelan. Nie, ja wolę domową sprawę... Wrócisz do owczarni. Olimpia tego kozła zapomni, ludzic nie wiedzą, a że tam ktoś może coś paplać będzie...

— Ja o to nie dbam, nicch papla, ale moje życie! jak ja wyżyję?... Przestrzegam więc kochanego ojca, aby mną za wczasu nie dysponował. To wymaga refleksyi.

— Spuść się na mnic.

Po rozmowie tego rodzaju, która się do późna przeciągnęła, szambelan do jutra pożegnał, syna i zo-

stawując go na pastwę Angielkom, sam odjechał z majorem. Redke go jakoś nie odstępował.

W hotelu zastali już posłańca od radcy, który żądał widzieć się z szambelanem natychmiast. Major pozostał tymczasem w mieszkaniu barona.

Stary z wyrazem niepokoju na twarzy, poruszony, widocznie zmuszając się do cierpliwości, której nie miał, przywitał wchodzącego skinieniem.

— Radbym, rzekł po chwili ponuro, bolesny ten obowiązek, jaki spadł na mnie, odbyć co najrychlej; zobowiązesz mnie pan szambelan, ułatwiając mi jak najprędzse widzenie się z córką.

— Wszakże dziś jest to niepodobieństwem, noc... odezwał się baron. Możeby lepiej odłożyć na jutro?

— Po co odkładać? przerwał radca: ja nie jestem panem siebie i wzruszenia mojego. Miej więc pan litość nade mną... To, co się dokonać musi, niech się dokona... teraz, zaraz, natychmiast, jak najprędzej proszę.

— Lecz należałoby naradzić się!

— Ja? radzić się? z kim? ja? tam, gdzie idzie o dziecko moje? Ja nie potrzebuję rady nieczyjój oprócz mojego sumienia i serca, odezwał się radca. Sprawa to moja przedewszystkiém, oddajcie ją mnie i bądźcie spokojni.

Wyrzekłszy to z pewną dumą, radca przeszedł się po pokoju.

— Sprowadziłeś mnie tu pan, nie dręcz mnie oczekiwaniem... Miej litość, proszę...

Zmieszał się nieco baron, nie spodziewając się takiego nalegania, lecz pomyślawszy uległ.

— Idę natychmiast, rzekł, pomówić z agentem, którego użyłem do odkrycia tego schronienia; a jeśli rzecz możliwa...

— Jeśli rzecz tylko trudna i kosztowna, waćpan wiesz, dorzucił radca, że ja nie będę żałował nic... Proszę mnie zastąpić, proszę nie wchodzić w targi, dam co chcę... Chcę jechać, czy iść, czy płynąć natychmiast... nie usnę, nie spocznię...

Szambelan wychodził już; w progu przyszło mu na myśl to, co tylko takiemu człowiekowi jak on mogło w chwili podobnej do głowy przystąpić. Powiedział sobie, że wypadaloby rekuperując tyle kosztów poniesionych na majorze, zarobić na radcy. To małuje go dostatecznie.

Wszedł pośpiesznie do pokoju, w którym swojego detektora zostawił. Ten palił cygaro i kazał już sobie podać herbatę na rachunek pryncypała.

— Kochany majorze! zawołał przystępując żywo: mamy do czynienia z bardzo niecierpliwym, podrażnionym ojcem mojej synowej. Jest to człowiek, wieśniak, nawykły do tego, by wszyscy go słuchali, i by się jego wola spełniała. Wystaw sobie, pędzi mnie i domaga się, ażeby go natychmiast wieźć do córki.

Major pokręcił głową i wskazał okna, przez które czarna noc przeglądała.

— Nie ma sposobu?

Redkę głową kręcił.

— Chce koniecznie...

Spojrzeli na siebie.

— Jeżeli się uprze, rzekł, jużci z wielkim kosztem możemy to zrobić, kiedy mu się podoba... to pewna. Lecz, szanowny szambelanie, ja jestem człowiek ubogi, wyekspensowałem się, napracowałem, mogę powiedzieć: życie wyszafowałem na to; mamy najprzód rachunek do skończenia.

— Jak to? wszakże... wprzód my musimy mieć ich niż pan pieniądze.

— A! nie, odparł major: bardzo pana szanuję, nie-skończenie mn wierzę, ale na kredyt ja nic nie daję...

— Ale to dziwna pretensya! zawołał szambelan.

— Może, ja jednak nie odstąpię od tego...

— Wiesz majorze, że to obudza podejrzenia, bo już ci kiedy mi wierzysz...

— Nieskończenie... lecz bywają okoliczności... Najlepiej wprzód załatwić rachunek...

Szambelan widocznie był podrażniony.

— Rachunek ten właściwie należy do radcy... a mogę zaręczyć za niego.

— Zamiast ręczyć niech pan zapłaci, dodał major; przyjdą potem sceny, rozczulenia, kto wie eo się może stać, tragedia jaka, samobójstwo, awantura.... którego z was do kozy zapakują, a ja będę dziesięć lat pieniędzy czekał... Nie! ofuknął się major: pieniądze na stół! tu!

Szambelan chciał się targować, wreszcie zły, do był pugilaresu.

— Zatem tysiąc franków...

— Premia, tak; kosztą wynoszą trzysta piętnaście i dwadzieścia pięć centymów.... razem tysiąc trzysta piętnaście i centymy... A że dużo więcej było pracy niż przewidywałem, szambelan będziesz wspaniałomyślny i... dokończysz... Musisz dokończyć, bo inaczej nie.

— Przyznam się panu, że tegom się nie spodziewałem...

— Ani ja... W takim razie targ, przerwał major, to niepojęta rzecz. Że ja się targuję, cóż dziwnego? dla mnie to obojętne; ale wam, gdy idzie o synową, o syna!

— Półtora tysiąca franków! zawołał szambelan dobywając papiery.

— Malo....

Targowali się dwaj zaeni panowie minut kilka, i na tysiącu siedmuset stanęło, a szambelan postanowił sobie radcy to policzyć przynajmniej trzy tysiące.

— Spodziewam się, żeś zadowolony, dodał szambelan, już nawet ściskając majora; teraz, natychmiast zajmij się urządzeniem wyprawy...

Spojrzeni na zegarek: wskazywał jedenastą przed północą.

— Nim konie dostanę i ludzi, będzie północ; nim zajedziemy po ciemku, druga lub trzecia... Czy to właściwa godzina?...

— Radca chee jechać zaraz...

— Więc pojedziemy... Spodziewam się, dodał Redke, iż tę moją przejażdżkę i ostatnią posługę zechcecie uwzględnić i... osobno przedstawić panu... jakże się zowie?

— Panu radcy...

Szambelan ramionami ruszył zniecierpliwiony.

Redke wysunął się prędko... Około północy powóz, major i dwóch ludzi wcale nieobiecujących fizyognomij, znaleźli się przed hotelem. Szambelan, radca i major wsiedli do środka, straż na kozłach... Potrzebę tej gwardyi tłómaczył Redke tém, iż na miejscu może wypaść coś nieprzewidzianego, wymagającego posługi, wysylki lub tym podobnie... należało więc i bezpieczniej było mieć w odwodzie dwóch takich zbójów...

W mieście palily się jeszcze lampy gdzieniegdzie, w wielu lokalach publicznych tłumno nawet było;

w miarę jak na przedmieścia zjeżdżali, coraz stawało się ciszej i ciemniej. Kiedy niekiedy przesunął się podpiły robotnik lub podejrzana postać jakaś sunąca po pod murami. W uboższych domkach rzadko gdzie płonęło światelko... Cisza zalegała okolice. Noc była bezksiężycowa, ale dosyć jasna i gwiazdzista a chłodna mimo bardzo jeszcze wczesnej jesieni. Po nad drogą szeleściły już posychającemi liśćmi drzewa, w lewo gdzieś gdzieś świeciły odbitą niebem i światłem jakimś wody jeziora. Droga, którą jechali, wila się wciąż prawie po nad jego brzegami, to nieco się podnosząc, to spadając w dół. Dokoła opasana była murami, ogrodami, drzewy, domami, które w nocy wydawały się jak puste. W dali łańcuchy gór na jaśniejszym widnokręgu rysowały się zębato a czarno. Radea siedział wglębiony w powóz, nie mówiąc słowa; szambelan był wyprostowany, i choć się z tém nie wydawał, tchórzyl. Miał rewolwer w kieszeni, a serce mu biło jak młotem. Noc, tajemnicza ta podróż nieprzewidziane skutki wyprawy, poruszały go do zbytku. Szeptał ciągle wypytując majora: czy daleko? Major potrząsał głową, wyglądał z powozu i dawał do zrozumienia, że do celu podróży jeszcze bardzo a bardzo daleko.

Raz i drugi woźnica stanął koniom wypocząć przed lichemi bardzo bonchon'ami pod wieżą. Świeciło się w nich, płonął kaganek, ale ludzie spali. Radea się nie ruszył, cały w sobie pogrążony, jakby na pół umarły; tylko ile razy stanęli, zrywał się chcąc wysiadać, myśląc, że już ta straszna chwila nadeszła...

Przy drugiej karezemce okazało się, że koń zgubił podkowę. Woźnica nie chciał jechać dalej, dopó-

kiby coś na to nie poradził. Koń kulał. Zapalono latarnię, ludzie poszli na trakt szukać zguby, znaleziono ją wprawdzie, ale nim się to stało, nim rozbudowano kogoś, co miał ufnali i młotka dostarczyć, nim przymocowano podkowę, znowu upłynęła godzina. Szambelan zdrzemnął się, strach go odszedł nieco....

Gdy milę jeszcze ujechali, na niebie na brzask się już brać zaczynało, bo godzinę zmarudzili. Repe-tyer szambelana wybił czwartą. W pół mroku stały szaremi cieniami drzewa, mury, pagórki... zarysowując się profilami coraz wyraźniej... Dniało już dobrze, gdy major rozmówiwszy się z woźnią, kazał zjechać w prawo wąską drożyną. Wiodła ona po nad strumykiem, obmurowana z obu stron. Z prawej zwieszały się po nad mur i drogę długie gałęzie platanów i kasztanów... Powóz musiał powoli wywijać się po krętej ścieżynie i wąskich mostkach, aż nareszcie ludzie zeskokczyli z kozłów, i landara stanęła po cichu.

Miejsce, w którym się zatrzymała po przebyciu murowanego mostku, było małym plaeykiem dokola staraunie drzewy ostawionym... Z po za nich widać było w lewo uliczkę z kilku domkami, w prawo wzgórek obrosły zielenią. Bokiem jego wśród zarośli wila się ścieżka dla pieszych, wiodąca do murowanej ffortki bocznej ogrodu... Stała ona wśród długiego kamiennego muru, opasującego, jak się zdawało, park, którego piękne stare drzew gałęzie wychylały się w świat, jak kwiaty z koszyka...

Radca natychmiast wyskoczył z powozu... Redke się do niego zbliżył:

— To jest kluez od ffortki, którą wnijdziemy niepostrzeżeni do ogrodu... Od niej drożyna prowadzi

wprost do domu mieszkalnego. Lecz, komu z nas panowie iść każą?

— Jak to komu? przerwał radca stanowczo: ja idę sam i nikt a nikt więcej.

— Ale jeżeliby pan potrzebował pomocy?

— Ja? nie potrzebuję żadnej! daj mi waćpan pokój, proszę o klucz!

— A ja! podchwycił nadbiegając szambelan.

— Waćpan?... ruszył ramionami radca: ja sędzę, że spocznieś...

— Nie będę potrzebny?

— Po co?

Nie żegnając, nie patrząc nawet, klucz tylko ścisnąwszy w dłoni drgającej konwulsyjnie, radca posunął się ku furtce, otworzył z wolna i z oczu patrzących zniknął. Szambelan, który do innych przymiotów łączył pobożność wielką, począł się modlić, i zęby mu dzwoniły... Ranek był chłodny.

Major szukał już bouchon'a i jakiego takiego rozgrzania.

Gdy radca wszedł cicho do ogrodu, znalazł się w uliczce tak ciemnej, że z razu stał nie mogąc się rozpatrzeć, w którą iść stronę. Przychyliwszy się nieco, spostrzegł na przestrzał światelko i skierował się ku niemu. Szpaler ten wyprowadził go do przestronnego parku... W lewo wyżej znacznie widać było szwajcarski szalet obrosły winem dzikim i powojami, obszerny dosyć, który grzędy kwiatów opasywały do kola... Przestronno mu było na zielonych trawnikach, wśród których gruppami zwieszały się wierzby, rosły jodły, ścisnęły się klomby drzew najrozmaitszych. Wszystko to zdawało się lecieć po stoku wzgórka ku dolinie, ku rzeczce, ku jezioru... Ogród, o ile

w brzasku rannym dojrzyć można było, starannie był bardzo utrzymany. Stoły i ławy kamienne, altany ozienione roślinami pnąciami, grzędy kwiatów, ścieżki żwirem powysypywane wyglądały świeżo i ładnie. Czuć było, że tu ktoś mieszkał, żył i chciał, aby mu się śmiała ta ustron.

Radca powłókł się spoglądać ku domkowi, trochę pod górę, pomyślał, obejrzał się w koło, znalazł pod starą lipą naprzeciw domu ławę kamienną i usiadł na niej.

Oczy wlepił w okna pozamykane okiennicami, zadumał się czy zamodlił, podparł na łokciach, czekał.

Dzień rosnał i z szarych powić wychodziły barwy jego z kolei, niewyraźne kształty oznaaczały się coraz dobitniej, ale eisza nocy panowała jeszcze do koła...

Na niebie gasły gwiazdy, chmury wiatr zachodni spędział, jak gdyby gospodyni zamiatała niebo dla dnia nadchodzącego... Wyjaśniało się... Na wschodzie zaróżowiało, pomarańczowe pasy, sine chmury... białe promienie błado zwiastowały, że tam gdzieś już słońce wschodzi... Tu w dolinie mrok jeszcze panował. Rosy okrywały trawy i drzewa... Budziło się ptactwo i szczebiotało... Koło domku pusto było... nikogo. Z boku przesunął się ktoś krokami cichymi... i znowu milczenie... Jak martwy siedział ojciec nie ruszając się, nawet zapłakać nie mógł; lecz ktoby twarz jego zobaczył, przeraziłby się jej wyrazem. Tylko przy trumnie ukochanej istoty taka twarz się spotyka.

Ranek zwiastował się prześliczny...

Po długim oczekiwaniu służa przesunęła się po galerii drewnianej domku i otwierać zaczęła okiennice... Z wewnątrz ręka jakaś popchnęła okno... biała firanka na pół wychyliła się w ganek. Drzwiczki

sie rozwarły na galeryę, i wysoka postać w bieli wyszła rozpatrując się do koła...

Była to Olimpia... Czarne warkocze związywała, aby je zarzucić na szyję. Ojciec widział ją, a powstać nie miał mocy... Siedział o kroków dziesięć od niej, serce mu biło...

Chciał porwać się, skoczyć, i żał okrutny ścisnął pierś. Jakże jej przerwać tę chwilę tak ciężką, tak jeszcze szezęśliwą, takim gromem!..

Olimpia nie widziała go.... Oglądała się do koła, przychyliła do kwiatów stojących w ganku, zdawała się rozmawiać z niemi... potem spojrzała w dal... i uśmiechnęła się smutnie.

Radca ruszyć się nie śmiał... byłby tak patrzył, patrzył, bo zdawało mu się, że dziecko widzi szezęśliwém.

Wickiem zdawała się ta chwila...

Olimpia nagle zwróciła wzrok na ławę pod drzewo... ujrzała siedzącą postać, skoczyła w tył przerażona i natychmiast znowu porwała się naprzód.... Otwarły się jej ramiona:—Ojciec! krzyknęła, i padła.

Szezęściem osuwając się chwyciła gałąź powoju i z lekka obalila się na ławkę blisko stojącą. Radca biegł już na ratunek, lecz z domku już wychodził przestraszony mężczyzna wysokiego wzrostu z siwym włosom, śpiesząc na pomoc... Prawie razem zeszli się przy na pół omdlałój. Radca ręką go odsunął...

— Ojciec jestem... rzekł.

Olimpia otworzyła oczy i ukłękła u kołan ojca, ściskając je w milczeniu. Była chwila twardego, strasznego zwątpienia, trwogi z obu stron. Ojciec odezwać się nie umiał, ona nie mogła. Łkanie tamowało jej głos... W twarzy starca znać było nie

gniew i surowość sędziego nieublaganego, ale politowanie rodzicielskie. Siadł, nie mogąc się na nogach utrzymać, i oczy zakrył. Olimpia ciągle u kolan jego klęczała.

— Nie pytaj mnie, jak tu przyszedłem, nie mów mi nic, poczał po chwili: ja wszystko wiem...

— A! ojcze, ty nie wiesz nic! ty nie nie wiesz: jam niewinna! Jam go kochała, jam mu ślubowała, jam z nim żyła... Jam była wprzód jego żoną, nim mi kazano zostać żoną tego... tego człowieka... Chcąc go odepchnąć, odstręczyć, powiedziałam mu wszystko, wszystko... Kazalam ten pierścionek... jego... zamienić ze mną przy oltarzu; zapowiedziałam mu, że jeśli w życiu kiedy spotkam tego, którego czuję się żoną, pójdę za nim... Czegoż chce ten człowiek ode mnie? Czyż możesz, ojcze mój, dziecko swe skazywać na śmierć, na męczarnie?... Czyż ty się nie ulitujesz nadę mną?

I błagając go tak, głowę na jego dłonie złożysz, płakała.

Ojciec siedział niemy...

— O mój Boże! zawołał cicho: świat! a ludzie! a niesława! a imię nasze niepokalone... Ważyłaśże ty to wszystko?

— Ojcze! jam kochała...

— Imię nasze! stare, czyste... wszak ono nie było własnością naszą, ale spadkiem, który miał tak niepokalanym zejść na przyszłe pokolenie, jakieśmy go odebrali. Szyderstwo ludzi... Olimpio! wiesz ty, co to na starość nosić tę odzież galernika z piętnem na sercu? Ona dziś mnie przystała... A tyś ją włożyła na mnie...

— Ojcze, nie mów!

— Szczęśliwym będę, jeśli tego nie przeżyję... na czole srom... pali... pali mnie... Ojcowie i dziadowie upominają się u mnie, u ciebie o sławę rodu i domu... Myśmy go skalali rozpustą... ten święty dom, który mógł być kościołem... Dziecko moje, płacz— płacz.. nie mamy oboje dosyć łez do zmazania téj plamy!

Olimpia podniosła się z ziemi powoli.

— Więc wyrzec się córki, rzekła: więc nie miéj dziecięcia, odepchniěj! za cóż ty masz cierpieć za mnie? Złej to imię na kogo chcesz, przybierz obce dziecię, ja pójdę w świat... ale serca nie odbiorę, przysiędzc nie skłamię... Ten człowiek zawierzył mi, cierpiał dla mnie... On nie był winien, jam sama winną była... ja tylko!... karzcie mnie. Al już i tak dosyć ukaraną byłam...

— Dla czegoż nie miałaś ufności we mnie? mówił stary: czemuż mnie nie wyznałaś wszystkiego? byłbym tych ludzi precz odpędził, jak zasługiwali, byłbym cię do serca przycisnął, i przebaczył, i...

— Mój ojczu! miałamże obwinić matkę, zatruć spokój tobie? Jam sądziła, że on nie żyje, że ja umrę prędko, chciałam spełnić wolę twoją. Oszukiwałam cię dla szczęścia twojego, poświęciłam się dla ciebie...

Radca zmilczał, głowa zawisła mu na piersi, myślał...

— Wszak nie oszukiwałam nikogo, dodała Olimpia, oprócz ciebie jednego, ojczu... a ty winieneś mi przebaczyć... ten człowiek zimną rękę moją zaślubił cudzym pierścieniem... wiedział, że go czekała pogarda... I każesz mi wrócić do niego, i żyć z nim... o! raczej umrzeć, bo żywa nie wrócę!...

Ojciec podniósł oczy na nią...

— Nie! zawołał wstając: niech ludzie sądzą o mnie i o tobie jak chcą, ja ei nie odbiorę szczęścia... Zostań z tym, którego ci los wyznaczył! Bóg z wami...

Córka już była u nóg ojcowskich, a przy niej klęczał już z siwemi włosy mężczyzna i całował rękę starca, który się w niego wpatrywał z ciekawością i przestraczem...

— Patrz, te siwe włosy... to pamiątka tego dnia, gdy nas rozdzielono... On mnie tak kochał... ojcze!

Olimpia rzuciła mu się na szyję. Radca zsunął się z wolna na ławę, szepeząc może po cichu błogosławieństwo...

Tak ta groźna scena, której wypadek wcale zapewne inaczej obrał sobie szambelan, skończyła się miłosierdziem i szczęściem... Olimpia przytuliła się do ojea, odrodzona, rozpromieniona...

— Daj nam tu długo pozostać, szepnęła; ludzie o nas zapomną... Rozwód będzie łatwy. Barou nigdy nie był mężem moim... My tu zostaniemy w tym kątku... a potem wrócimy, gdy burza przewarezy i minie.

Olimpia tak miała wiele do opowiadania, radca tak wiele obmyślić musiał i z tyłu następstwa oswoić się, że godziny biegly niepostrzeżone...

Tymczasem na placyku szambelan w eieniu owych przepysznych lip i platanów zębami dzwonił, spoglądając na zegarek. Co chwila spodziewał on się wezwania, tragicznej sceny, jakiegoś okropnego przejścia... rozwiązania dramatu. Ale fórtka stała zamknięta, milczenie złowrogie panowało do koła. Słońce wzeszło, i major Redke pił już drugą kawę w oberży *Au bon pasteur*, niedaleko ztamtąd stojącej. Konie były popasione, ludzie spali poowijani w kołdry.

Z willi znaku życia nie dawano. Szambelanowi zdało się to i nienaturalném, i w końcu obrażającém... Godziło się tak o nim zapomnieć, o nim, który w tém wszystkiém najgłówniejszą odegrał rolę? Gniewny, niespokojny, zrozpaczony w końcu, gdy już godzina dziesiąta biła na dalekim kościółku, postanowił uczynić krok stanowczy.

Redke mu powiedział, że willa miała z drugiej strony wnijsieie urzędowe, do którego przecię można było zadzwonić i dodzwonić się kogoś a powziąć języka...

Całonoeną trwogą znękany, szambelan postanowił dobić się w końcu do jakiejś pewności otrzymanego rezultatu... Szarpnął więc za dzwonek z całej siły, raz, drugi i trzeci, dając czuć, że szambelana i radcę stanu tak wpośród drogi rzucić na lup chłodowi poranka było zbrodnią stanu. Na głos od fórtki bardzo powoli przyszła kobieta, i przypatrując się dzwoniącemu, zapytała, czego chce? Zły był nasz dygnitarz. Wyciągnął z kieszeni bilet ze wszystkimi tytułami swemi i oddał go słudze, prosząc, aby stary pan dziś przybyły, był łaskaw wyjść się z nim rozmówić.

Dobry kwadrans chodzić musiał przed drzwieczkami, których mu służa nie otworzyła, nim się doczekał odpowiedzi. Radea powoli sam szedł ku niemu. Kazał fórtkę otworzyć.

Nim zamienili słowo pierwsze, baron wlepił wzrok ciekawy w niego, usiłując odgadnąć, co się stało. Czy ów gach uciekł, zabity, aresztowany? czy Olimpia jest, czy z nim uszła? czy nie ma krwi rozlewu i trupa? Radea miał nadzwyczaj uspokojone oblicze,

co szambelana zdziwilo, tak, iż wchodząc do ogrodu, języka zapomniał, pytać już nie śmiał.

— Więc... więc cóż się stało! co się stało? począł belkocząc, zebrawszy się nierychło na słowo.

Zalał ręce, wlepił oczy...

Radca obojętnie dosyć zwrócił się ku niemu z wolna.

— Nie stało się, dzięki Bogu, nie. Widziałem się z córką...

— A ten uwodziciel? uszedł?

— Nie.

— Jak to? związany?

Radca zwrócił się znowu spokojnie do szambelana.

— Są rzeczy i fakta, które los narzuca, i które przyjąć jest mnsem... Córkę szczęścia nie mogę poświęcić ani obmowie ludzkich języków, ani chęci dotrzymania umowy, która od razn była niemożliwą. Ja o niczem nie wiedziałem; dziś gdy na mojem sumieniu sprawa... nie mogę jej za wami rozsądzić!

— Jak to? krzyknął szambelan ze złością: pan myślisz nam dać odprawę?

— Tylko cicho, chmurnąc brew odparł stary: tylko cicho i spokojnie...

— I pan myślisz, że my damy się tak puścić z finfą, nie narobiwszy balasu i nie roztrąbiwszy tej pięknej historyi na cztery rogi świata?

— W tej w istocie pięknej historyi, może niekoniecznie piękną być rola pana Zygmunta, przerwał radca, kładąc dłoń na ręce szambelana. Ale dość, tu nie miejsce, ani czas mówić o tém. Zdaje mi się, że potrafimy załatwić to tak, abyście nie potrzebowaliha-

łasować i procesować się. Są na to sposoby i na wszystko kompensaty...

—Przepraszam pana radecę, sucho odciał się baron, który czuł, że dla targu lepszego należało się bardzo twardym okazać: są rzeczy drogie, święte, których straty nieżem się kompensować nie dają. Przyszłość Zygmunta złamana, starość moja nieszczęśliwa, srom przed ludźmi... a! panie! to są rzeczy nie-mogące wynagrodzić się nieżem.

Szambelan wymówił te wyrazy z takim zapalem, czulością, przejęciem, iż sądzić można było, że w istocie tak myśli... Radea uczuł nad nim politowanie.

— Panie szambelanie, počzął po chwili: w téj bolesnej dla obu rodzin sprawie, obu nas Bóg dotknął, i ja mam niepowetowane straty, i mnie seree się nierychło zagoi... Nie krwawmyż ran naszych i starajmy się wzajem ulżyć sobie, a nie utrudniać rozwiązania...

— Jak to? więc pan postanowiłeś?

— Postanowilem żądać rozvodu i córkę oddać temu, który ją kochał, którego ona kochała...

— My się na rozwód nie godzimy...

— Lecz ślub nie nie znaczy, gdy pożycia nie było...

— Przecięż razem z sobą spędzili kilka tygodni? odparł szambelan.

— Waćpan wiesz najlepšíj, jakie to było pożycie. Nie kłómy się o słowa... nie myśleie mnie zastraszyć... nie bądźcie gorszymi, niż was sądzę..

Baron bardzo indyczą minę zrobił. Stał, nie mogło mu się to jeszcze w głowie pomieścić, jakim sposobem ów człowiek tak przebiegły, polityk i dyplomata, mógł całą sprawę z nieczmierną prowadząc bieg-

łością, doprowadzić do tego, ażeby sam własną ręką przyprawił sobie takiego nosa. On bowiem wyszukał zbiegłych, on krył radcy tajemnicę, on go do podróży skłonił, wiózł, prowadził, ułatwiał... aby za to wszystko dostać tak bolesnego odkosza. Niedosyć, że tracił owoc tylu zabiegów, sam jeszcze musiał przyspieszyć to fatalne zakończenie.

Miłość własna jego cierpiała okrutnie.

— Panie radco! zawołał dumnie: rzeczy na tym stopniu stanęły, iż rozmowa do nieczego nie prowadzi. Zygmunt i ja nie damy się lekko odprawić, tam, gdzie słuszność, prawo, świętość przysięgi za nami... Wczwiemy cały świat na sędziów... Zygmunt też może obrać inną drogę, za którą nie ręcę, by jój nie przeniósł nad inne... Potrafi się z bronią w ręku o obrazę osobistą upomnieć, a wówczas zobaczymy kto na placu zostanie, bo jeden zostać musi... Honor naszej rodziny...

Radca patrzył nań, słuchał, ale tak, jakby to na nim żadnego nie czyniło wrażenia.

— Dziś w wieczór, rzekł, czekam pana z synem lub z pełnomocą od syna w hotelu. Tam skończymy, lub... lub... jak się podoba.

To mówiąc skłonił się, i nie oglądając poszedł z wolna ku domkowi. Olimpia ukryta w klombie nań czekała.

Szambelan butnie rzucił się do fôrtki, i wychodząc tak nią zatrzasał, że kawałki z muru powylatywały.

Wróciwszy do powozu, kazał zaprzęgać natychmiast, i nie odpowiadając nawet na pytania Redkego, wściekły kazał się wieźć do Genewy.

Major po części się domyślał co zaszło, a w części rad był złemu humorowi szambelana, wnosząc z niego, że sprawa nieskończona, a on może mu być jeszcze potrzebny.

*

*

*

Nigdy w życiu baron Dobiński nie był nieszczęśliwym. Nim dojechał do miasta, przeklął stokroć dzieci swych narodzin i losy swoje...

— Głupcom się tylko powodzi, z goryczą mówił w duchu. Tak! oni jedni są szczęśliwi; wyższych zdolności ludzie zawsze tak jak ja wychodzą... Za nie najrozumniejsze kombinacye! Mogłaż być lepsza! Wziąć pannę z takiego domu, która potrzebując pokryć grzeszek młodości, staje się przez to zależną, wdzięczną... Zdawało się, że i dobra na imię nasze przejdą, i szczęście zakwitnie... Wszystko jak najpomyślniej idzie! Trzeba, żebyśmy trafili na taką wyjątkową miłość, wyjątkowe istoty, jakby z romansu, i żeby ten dudek wybrał właśnie Genewę i przyniósł sam kochankę w objęcia tego jegomości... To tylko mnie się trafić mogło! Najrozumniejsza kombinacya moja z ojcem w łeb bierze. Ale nie, dodał w duchu, stanę nieublagany, jak skala: nie chcę rozvodu! Niech Zygmunt go wyzywa! kto wie, strzeła tak doskonale... jedna kulka wszystko naprawić może... Przecież wyzwany wyjdzie.

— Panie majorze, odezwal się nagle: proszę kazać jechać na pensję pani Belli do mojego syna.

— Przecież to z drugiej strony jeziora! Musimy przebyć całe miasto...

Szambelan rzucił się w głąb powozu... Zmęczenie całonocne silniejsze było nad niecierpliwość baro-

na, zgodził się więc zajechać do hotelu. Tu musiał jeszcze zlikwidowane przez majora koszta z własnej kieszeni zapłacić... I to gryzło. Majora odprawił w końcu i został sam, nie śpiesząc ze złemi wiadomościami do syna. Czasu do wieczoru było dosyć.

Pan Zygmunt w ogródku pędził znówu rozkoszne godziny w towarzystwie swych współpensyonarzy, gdy ojciec sztywny, zły, wyprostowany niezmiecznie, co zawsze humor niedobry oznaczało, wpadł do niego, ledwie skinieniem pozdrowiwszy towarzystwo.

Syn, który dobrze znał ojca, z twarzy zaraz wy czytał, że się coś święci nie po jego myśli. Z przyjazdu już wnosił, że zaszły jakieś nowe okoliczności dotyczące się zapewne niefortunnego małżeństwa, które dla niego teraz było obojętne i wstrętliwe. Wstał więc przerywając rozmowę z piękną Angielką, i poszedł naprzeciw szambelana, który wzięwszy go na stronę, udał się z nim milczący do ogrodka.

— Dziś, rzekł stając w cieniu akeyi, mogę ci już powiedzieć wszystko...

Zygmunt zaczął obcinać cygaro, ale się wstrzymał, spoglądając na ojca...

— Mojem staraniem, co mnie, mówiąc nawiasowo, niemal kosztowało, wynaleziono schronienie Olimpii i tego awanturnika. Dano mi znać... Co było począć! Sprowadzić na nią matkę? do niczego; gwałtem odbierać? skandal... Wyrozumowałem sobie, że ojcu trzeba wszystko wyjawić.

— Ojcu! krzyknął Zygmunt.

— A tak! ojcu! I powiedziałem otwarcie, jak rzeczy stoją. No, scenę miałem... powiadam ci... Udawał rzymskiego senatora! Ale zdecydował się jechać sam ze mną... W drodze milczał jak pień, nie jadł, wodę

pił tylko i modlił się. Ledwieśmy przybyli do Gencwy, nie dawszy mi tchnąć, spocząć, natychmiast kazał jechać do córki. Byłem najpewniejszy, że powagą ojcowską sprowadzi ją na drogę obowiązku. Ale rozgadać się z nim ani myśleć... Wszystko było tak ułożone, że go do ffortki ogrodu przywiózł, oddałem mu klucz... sam zostałem na straży.

— Daleko ztąd? spytał Zygmunt sucho.

— Parę godzin drogi, po drugićj stronie jeziora, w parowie głębokim skryty domek... O! niełatwo ich było tam doszedzić, ale major sprytny człowiek... choć drogo sobie za wszystko płacić każe... Poszedł. Było to o brzasku dnia... Czekam godzinę, dwie, trzy... Przyznam się, że byłem w obawie jakiej tragedyi... Stoję, chodzę, zmarzłem, wygłodniałem jak pies. Nic, ani wieści, ani slychu! Naostatek niecierpliwość mnie porywa: co u katal.. jak lokajowi mi kazać stać na gościńcu, czekając na zmilowanie'.. Dzwonię do ffortki... łomoczę... Zjawia się sługa. Daję mój bilet... Nierychło wychodzi stary, ale powiadam ci jakby z dobrego obiadu wracał, spokojniuteńki. We mnie wszystko się przewraca... przyskakuję... pytam... Radca mi odpowiada z najzimniejszą krwią, że musi się poddać wyrokowi Opatrzności, że mu idzie o szczęście córki, że małżeństwo wasze i tak nieważne... i że je rozzerwać należy.

— A to paradnie! zawołał Zygmunt.

— Jak to paradnie? odparł oburzony ojciec: ja na to nigdy nie pozwolę! Ja tego nie dopuszczę! Ja z siebie i z ciebie żartować nie dam!..

— Kochany ojcze... na honor, nie szczęśliwszego trafić mi się nie mogło...

— Co ci jest? ja cię nie poznaję? ofuknął szambelan.

— A! małżeństwa tego mam dosyć! rzekł Zygmunt: dziękuję! Ożenię się z Angielką i...

— Z jakąś awanturnicą, żeby było drugie małżeństwo z pierwszym do pary! zawołał szambelan. Przepraszam, z tego nic nie będzie. Jesteś żonaty, stoję przy tém. Trzeba iść i wyzwąć tego łajdaka i zabić.

— Za pozwoleniem, kochany ojcze, począł Zygmunt obojętnie: najprzód że się to na nie nie zdało... Olimpia żyć ze mną nie zechce...

— Nie idzie o to, żeby żyła, ale żebyś miał jej majątek...

— Radca majątku nie da, dokończył syn, a ja ani się bić, ani się dobijać, ani kroku robić nie chcę i nie będę. Chcą rozwodu, dobrze! przystaję, byle bym był wolen...

Strzepnął rękoma.

— Cicho! cicho! płaciesz jak dziecko! pośpieszył ojciec: to nie ma sensu! Gdybyś nawet w duszy tak myślał, okazywać im taką gotowość jest to samemu się rabować. Trzeba się trzymać już dla tego samego, aby nam zapłacili za to, czegośmy się napili z ich łaski.

Zygmunt się nśmiechnął patrząc na ojca, który to mówił, jakby najgłębiej był o tém przekonany.

— Ojcze dobrodzieju, ale czyż z ich łaski? czy z ich łaski? Wszak doskonaleśmy znali towar, kupując...

Stary kręcił się na nodze.

— A! co mi ty tam płeść będziesz! Cóż? chcesz, żebyśmy im pokłonili się jeszcze, że nam sznurek z szyi zdejmują?

— Nielewicz, rzekł Zygmunt. Już mam tę niefortunną spekulacyję twoją kochany ojezu, do zbytku.

— Moją spekulacyję? podchwycił obrażony ojciec: ale ty do niej całkiem sercem przyłgnąłeś, tyś prowadził sprawę... tyś się do starej namizgał, tyś Olimpię dozwolił cudzym pierścieniem się zaślubiać i przyrzekłeś jej heroicznie, że będziesz grał głupią rolę kamerdynera! Pozwól sobie w dodatku powiedzieć, że dwa tygodnie jeździłeś z nią... nie umiejąc z tego korzystać! a toż trzeba ostatniego... trutnia... Słowo dane! Co znaczy takie słowo! Miałeś prawa i nie użyłeś ich... Kto tego piwa nawarzył? twoje nieczgrabstwo... O! o! inny na twém miejscu byłby sobie poradził!

Zygmunt słuchał cierpliwie.

— Wymówki do pewnej miary są słuszne, przyznaje, rzekł zimno. Wziąłem na siebie rolę podłą, i nie miałem dosyć podłości, aby ją jak należy spełnić. Ale kto mi ją narzucił, kto mnie do niej namówił, kto mię w imię rodziny, przyszłości rodziny i t. p. zaklinał, męczył nakłaniał, abym w to błoto wlażył? Ty, kochany ojezu...

— Bom chciał szczęścia twego, rzekł popędliwie ojciec, — i sądziłem cię istotnie człowiekiem wyższym, śmiałym energicznym, a z ciebie życie i wola, i siła wyszła panna Adela i jej podobne kreatury... Jesteś do niczego! Róbże teraz co chcesz, radź sobie sam, a ja wiedząc, że na waćpana rachować nie mogę, wiesz co zrobić? wiesz?... Oto ożenię się mimo siwych włosów, i będę miał dzieci, i na nie zleję moje nadzieje przyszłości.

Szambelan odwrócił się gniewny. Zygmunt śmiać się zaczął.

— A to, na honor, przedziwnie! rzekł cicho. Tatko, obey ludzie patrzą, słyszą i pomyślą, żeś przyszedł mnie na pojedynek wyzwąć. *C'est mauvais genre* robić sceny. Żeń się kiedy chceś, ale nie krzyez...

Stary chodził po ścieżce tam i sam, z rękoma w kieszeniach i głową spuszczoną.

— Do twojego losu, przyszłości, nie mieszam się więcej, rzekł; lecz mam prawo, zrujnowawszy się dla ciebie, starać się choć z twoją pomocą odzyskać stracone... Mam nadzieję, że mi będziesz pomocą...

— Na pojedynek tego muzyka nie wyzwę, odczywał się Zygmunt; co to za pojedynek! i śliczna potém historia, żeń zabił jego, który mi rogi przyprowadził... dla przypieczerowania autentyczności faktu, który w ten sposób już wątpliwości ulegać nie będzie. Nie, mam tych „Olimpijskich” igrzysk dosyć. Daję papie pełnomocnictwo, kończ jak chcesz... rób co ci się podoba...

— A ty tymczasem z Angielką drugie głupstwo będziesz przygotowywał?... ironicznie rzekł szambelan.

— A jeśli wezmę pod nić sto tysięcy funtów?

— Fig! fig! zaśmiał się gorzko ojciec: Angielki, które mają po sto tysięcy funtów, nie jeżdżą po pensjach szwajcarskich męzów, sobie szukać. Gdzież zdrowy rozsądek? ruszył ramionami. Jak sobie pościeszesz, tak się wyśpisz...

Na to młody baron nie odpowiedział nie, spoważniał mocno.

— Niech ojciec stara się o rozwód w mojem imieniu, rzekł. Nie jestem przeciwny temu, aby nam straty się opłaciły; lecz ja najwięcej niecierpiałem, i ja naturalnie mam prawo sam do indemnizacyi...

Szambelan usta wykrzywił.

— Tęm bardziéj, że kochany ojciec myślisz się żenić, a że majątku mając tak jak nie, muszę o sobie pamiętać, dopóki Angielki nie dostanę...

Mówił to pół żartem... Z charakteru nieopatrny, mając jeszcze znaczny zapas po Olimpii odziedziczony, Zygmunt w istocie mniej teraz dbał, jak tam się to skończy, a żywił już nadzieję, że nowe ożenienie wynagrodzi zawód doznany.

Ojciec więc z plenipotencją miał odjechać, ale kwaśny był.

— Niech będzie jak chce, dodał w końcu, mniejsza o to; o jedno proszę, ażebyś mi się nie pokazywał, nie wtrącał, nie mieszał i czekał cierpliwie, co ja zrobić.

— Z największą przyjemnością...

Szambelan już odchodził, gdy Zygmunt, który ani na jego gniew, ani na dobry humor zbyt wielkiéj uwagi nie zwracał, ujął go za rękę, i prowadząc przez ogródek, zatrzymał się z nim przed piękną, słusznego wzrostu blondynką, siedzącą z książką w cieniu kasztana...

— Miss Harriet pozwoli mi, odezwał się zbliżając ku niej, przedstawić jéj szambelana barona Dońskiego, ojca mego...

Szambelan zmuszony uklonił się, Angielka podała mu wążynębną długą rączkę z uśmiechem, a w uśmiechu błysnęły prześliczne owe zęby nieco długawe charakteryzujące rasę angielską. Była w istocie bardzo piękną, a strój i postawa oznaczały w niej wychowanie arystokratyczne...

Szambelan przemówił coś o pogodzie jesiennéj, o pięknościach jeziora... i po chwili się oddalił...

Zygmunt odprowadziwszy go do fòrtki, wrócił, usiadł przy miss Harriet, jak gdyby przed chwilą, nie rozstrzygnęły się jego losy. Nadzwyczaj słabe to na nim czyniło wrażenie, czuł się wolniejszym trochę tylko i postanowił goręcej zabiegać o łaskawe względy blondynki, i owych bajecznych stu tysięcy funtów, o których mn jakiś Anglik powiadał.

O naznaczonej wieczornej godzinie, szambelan z propozycją wielką, mileczący, napuszony, nadęty, wszedł drzwiami trzaskając do radey, który w fotelu siedział zamyślony. Sklonił mu lekko głowę. Stary wskazał krzesło... Z wyrazu twarzy jego nie szambelan nie mógł wniesć nad to, że zdawał się zrezygnowany i spokojny.

— Oczekując pańskich warunków co do rozwodu, rzekł cicho.

— Ani syn, ani ja na rozwód się nie zgadzamy! zawołał szambelan: syn mój słyszeć o tém nie chce... Byłem u niego, mówiłem z nim, starałem się go skłonić, ażeby tu przybył ze mną, o niczém słuchać, na żadne układy się zgodzić nie myśli... dopomina się praw swoich i żony...

— I chce skandalicznego procesu? zapytał radea.

— Nie lęka się go. Tymczasem zaś, szybko kończył szambelan, postara się o to, aby z panem uwdzicielem się rozprawić. Zygmunt strzela doskonale i ma nadzieję, że nauczy go rozumu... któż wie? wówczas rozwód weale może być niepotrzebny... dadzą go pistolety...

Radea ruszył ramionami.

— Wątpię, żeby znalazł go i mógł wyzwać, bo oni wyjechali ztąd, rzekł spokojnie. Ja jutro za nimi jadę. Nie chcecie zgody, zmusić was do niej nie

mogę, macie rachuby inne, nie przeciwie się. Rozgłosu i tak uniknąć trudno. Mnie nim nie zastraszyście... A zatém, dodał wstając z fotelu, nie mamy już o czém mówić.

Baron, który się wcale czego innego spodziewał, osłupiał, zmieszał się także... wstał powoli z krzesła...

— Chciałem wpłynąć na syna, rzekł, ale mi było trudno... tyle wycierpiał... cóż dziwnego, że zemsty pragnie?

Radea nie odpowiedział nic.

— Zatém, szepnął po chwili: cóż robić? Pozostaje tylko uciec się do prawa...

— Radea zechce wierzyć, że z méj strony, zawołał szambelan, dla obu rodzin chciałbym skandali oszczędzić, że gotówbym mimo ogromnych strat materialnych i moralnych, cicho i zgodnie wszystko załatwić.

— Sądzę, że to od pana wiele zależy.

— Tak, ale niezupełnie... Zygmunt stracił ostatki mienia po matce... złamany, schorowany... bez przyszłości.

— Staralbym się mu ją osłodzić, rzekł radea; lecz jeśli się upiera...

— Panie radeo, zabiegał baron, ja zrobię jeszcze krok, do niego, zakłnę go, będę usilował... Lecz cóż mu mam powiedzieć?

Na to pytanie, którego radea zdawał się spodziewać, z razu nie było odpowiedzi, zamilkł, zamyślił się.

— Mów pan, cobym mógł ofiarować?

— Mój syn nie chce nic... ja jako ojciec chciałbym dla niego jak najwięcej.

— Co się tyczy mnie, odparł radea, gotowem dać co tylko mogę, aby wyjść z tego stosunku raz na zawsze... Mam w banku pięćdziesiąt tysięcy talarów, niech pan Zygmunt je sobie weźmie, podpisując prośbę o rozwód.. Więcej nie dam, bo nie mam...

Spojrzał na szambelana, który mimo swój dyplomacyi nie mógł być panem siebie, twarz mu rozpromieniała. Nie spodziewał się tak pięknej ofiary, gotów był zupełnie na jej przyjęcie i z szybkością egoisty rachował, ile z tego dla siebie oderwać potrafi... W pierwszej chwili nie odezwał się ni słowa... Radea mileząco odpowiedzi czekał...

— Co do mnie, wybąknął wreszcie szambelan, przystając, idę do Zygmunta. Nie idzie o sumnę, idzie o to, ażeby go skłonić do odstąpienia od pojedynku, namówić na rozwód.

— Uczyń to pan, łagodnie dodał radea. Ja do jutra stanowczój odpowiedzi czekać będę.

Tak skończyła się rozmowa zaczęta bardzo hulaśliwie, zamknięta w tonie dosyć pokornym i zwiastującą porozumienie. Radea w ostatnich wypadkach lepić poznawszy ludzi, z którymi miał do czynienia, przewidział łatwo koniec ten, i był pewien, że pięćdziesiąt talarów okupi sobie spokój. Odehodzącemu Szambelanowi, żegnając go z daleka, nie podał ręki, pomimo że mu ją tamten wyciągał, i zbył go dalekim ukłonem.

Szambelan już był u drzwi, gdy sobie przypomniał, że powinien małym brudem powzięta o nim opinię potwierdzić. Z pośpiechem się zawrócił i dodał:

— Przepraszam pana radeę, mamy jeszcze mały rachunek z powodu tego agenta, którego użyłem do

odkrycia schronienia zbiegłych... Nie jestem przy wielkich kapitałach...

— A cóż tam się należy? zapytał radca chwytając za pugilares.

— A! oprócz noenój wycieczki, za którą mi kilkaset franków zapłacić kazano, dałem temu agentowi trzy tysiące franków...

Radca pośpiesznie dobył trzy bilety bankowe, rzucił je na stół, dołożył złotem co brakło, skłonił się i usiadł nie mówiąc słowa.

Drobna ta okoliczność znacznie humor poprawiła szambelanowi, pilno mu było skończyć z Zygmuntem, z radcą, zrealizować zyski i wyjechać na wieś z lupem, który na długo mógł jego interesa poprawić. Jakoż nie zwlekając, jeszcze tego samego wieczoru wrócił na pensję...

Przy stoliku przed domkiem na wolném powietrzu, przy lampach, towarzystwo całe kończyło wieszerzę, gdy szambelan do fôrtki zadzwonił. Zygmunt poznał go przez żelazną bramkę i sam pobiegł mu otworzyć.

— Ojciec jest czynnym tak, rzekł, że istotnie posądzam go, iżby jeszcze mógł się wyśmieniecie ożenić... Ale to trzeba być niezmordowanym!

— Gdy idzie o ciebie, kochany Zygmuncie, rzekł z emfazą—nie mnie nie kosztuje.

— Wyśmieniecie! zaśmiał się syn: przed parą godzin byłem trutniem do niczego, a teraz wracam do praw ukochanego dziecięcia.

Ojciec przycisnął go do piersi.

— A! niewdzięcznik! z bolu to i żalu czynilem ci wyrzuty; a mimo to... patrz, o małym się nie pobili z tym skąpcem radeą... targowałem się do upadłego i wyjednałem, mogę się pochwalić, warunki świetne... Ale kochany Zygmuniecie... Twój ojciec ubogi... dasz mi poręczawicze!

Syn ruszył ramionami.

— Cóż ja dostanę? spytał.

— Jak ci się zdaje... dosyćby ci było dwadzieścia pięć... trzydzieści?

— Czego? co?

— A no, talarów i tysięcy.

— Wezmę co dadzą.

— Trzydzieści?... a reszta mnie? nie prawdaż?... wszak ty to wszystko po mnie odziedziczysz... Czy możesz przypnieść, ażebym ja sześćdziesiąt lat mając się żenił?

— Nie, ale ojciec kochany stracisz wszystko... tak jak straciłeś już...

— Ja? na co?

— To są tajemnice stanu! zawołał syn. Ale ileż dają? ile?

— Powiem ci otwarcie: tobie dają czterdzieści, ja sobie utargowałem tylko dziesięć... to mało...

Spojrzał w oczy synowi, który się uśmiechał dziwnie.

— Tatku, rzekł, to dosyć. Mówmy otwarcie. Wszak pieniędzy wziętych na urządzenie domu nie oddasz, a urządzić nie potrzebujesz, to ci piękną sumkę uczyni.

Szambelan pochwycony zarumienił się.

— Ja się z tego wyrachuję..

— Zostawże mi całe pięćdziesiąt...

— A! to nie może być! żywo zaprotestował szambelan—na żaden sposób...

Obrzydliwy targ ten między ojcem a synem trwał z kwadras u fôrty ogrodowej. Zygmunt na pozór nieinteresowany, nadspodzianie piękną sumę mając na widoku, która mu dozwalała dwa do trzech lat magnata grać rolę w podróżach po Europie, twarżo stał przy zagarnięciu jêj całej. Baron stary z równą zazartością bronił swojego interesu... W ostatku Zygmunt zmuszony był na czterdziestu poprzestać... Stała się zgoda, i nazajutrz przy podpisaniu prośby o rozwód i potrzebnych papierów, radca przekaz do banku oddał do rąk Zygmunta.

Gdybym kończąc to, nadto, niestety! prawdziwe opowiadanie, dodał, że Zygmunt przyrzeczonych ojcu dziesięciu tysięcy wcale nie dał, moglibyście nie wierzyć szanowni czytelnicy. Tak się jednak stało! Schowawszy szanowny ów papier do kieszeni, obiecał wprawdzie uiścić się, jak tylko sumę podniesie, lecz szambelan nigdy jêj doprosić się nie mógł, i przyszło do tego, że między ojcem a synem nastąpił rozbrat zupełny. Szambelan na złość istotnie się myślał żenić, nie znalazł jednak podobno nikogo, co by się poznał na jego przymiotach i chciał losy podzielić. Pozostał więc na wsi gniewny, wyżółkły, grając pana w parafialnym kościele i w miasteczku przed Żydkami, spekulując niefortunnie i zadłużając się coraz gorzej.

Zygmunt uwolniony z więzów małżeńskich, pozostał jeszcze przez czas jakiś w Genewie. Angielka bardzo mu się podobała, lecz sto tysięcy funtów zaczęły być coraz bardziej problematycznymi. Po

zasiągnięciu dokładniejszych wiadomości, okazało się, że matka miss Harriett miała dożywotnią pensyę do syć znaczną, a córka po ojeu dziedziczyła nie sto, ale pięć tysięcy funtów... i była prawie ubogą.

Miłość Zygmunta nie doszła do tego stopnia rozżarzenia, ażeby skromną chatką zadowolić się mogła, poczał z wolna cofać się, chłodnieć, namyslać, i odebrawszy listy z kraju, pożegnał piękną blondynkę, przyrzekając jój zjechać się z nią w Medyolanie.

Tymczasem wprzód jeszcze, nim rada do Zabrzezia powrócił, nim szambelan smętny dojechał do domu, już skrzydlate wieści po cichu szeptane rozchodziły się w sąsiedztwie o rozerwaném dziwnie a tak niespodzianie prędko małżeństwie barona z Olimpią. Sąsiedzi najeżdżali dwa dwory, usiłując coś pewnego się dowiedzieć, gdyż prawiono najdziksze historye...

Szambelan napadany odpowiadał z powagą wielką:

— Ja byłem zawsze temu małżeństwu przeciwny, ale co to z młodymi? Zygmunt się zakochał... na nic nie zważał! Panna rozkapryszona, wypieszczona, pełna fantazyi jakieżś... Nie mógł w końcu Zygmunt wytrwać i sam zerwał... najbezinteresowniej. A cośmy na tém on i ja stracili! cośmy się nagryźli! Bóg tylko wiadomo... Zresztą i mówić o tém nie lubię..

W Zabrzeziu milezano, nikt pytać nie śmiał, czekanio zwierzenia rodziców. Dalecy krewni wymagali wreszcie czegoś pewnego dla zaprzeczenia wieściom nwlaczającym rodzinie. Matka wzdychała, przyznając po cichu, iż mimo jój wiedzy Olimpia miała dawne w sereu przywiązanie, które się gwałtownie odezwało.

Ani Olimpia, ani jój mąż nie pokazali się tak rychło w domu rodziców. Z Genewy wyjechali do Włoch, a ślub dopiero w Rzymie mógł nastąpić, po dopełnieniu formalności rozwodowych... Sąsiedztwo tymczasem nagadawszy się do sytu, a każdy opowiadał to inaczej, umilkło...

Zygmunt rozstawszy się z Angielką, niebardzo chciał też wracać do kraju i nastęrczać się ciekawym badaczom na niedyskretne pytania... I on wyruszył też do Włoch. Obojętném mu było dokąd ma jechać i zamiast do Medyolanu zmierzyl do Wenecyi, postanawiając tam zimę przepędzić.

Jakież było zdziwienie jego, gdy drugiego dnia po przyjeździe, z hotelu San Marco, wychodząc na Piazzetę, zetknął się z hrabiną Kłara! Szła otoczona całym dworem turystów jak królowa, wyświeżona, piękna, wesół, śmiejąc się, i rozmawiając... Na widok Zygmunta rzuciła swych wielbicieli i towarzyszków i podbiegła ku niemu.

— Baronie! cóż ty tu robisz? *Sans rancune*, nie prawdaż?

I podała mu rączkę.

— A! z wielką przyjemnością hrabinę spotykam... Przyjechałem tu na zimę!

— Wystaw sobie: ja także! Taka bo to śliczna ta Wenecya wdowa! a że i ja wdową jestem....

— Z dobrej woli? nie prawdaż? spytał Zygmunt.

— Tak jest! Nie mam najmniejszej ochoty znowu skłaniać karku pod złote jarzmo... Powiedz mi, ale szczerze: czy bardzo staro wyglądam?

— Coraz młodziej...

Hrabina się uśmiechnęła.

— Wszak już po rozwodzie? spytała.

— Wszystko skończone z zadowoleniem stron obu, rzekł Zygmunt.

— Gdzież Olimpia?

— Nie wiem...

— Słyszałam coś, niedokładnie... Ojciec przybył?

— Tak jest... wyszukano ich, i mogliśmy się wzajem uwolnić od pęt, które obojgu ciążyły...

— Nie masz do niej żalu?

— Najmniejszego.

— Ty bo jesteś dobry chłopiec w gruncie, odezwiała się Klara. Ja to zawsze mówiłam.

Zygmunt się sklonił.

— Nie prawdaż? będziemy teraz dobrymi przyjaciółmi?

Nowy uклон zapieczętował traktat przyjaźni. Pół dnia tego spędzili razem z sobą na przechadzkach. Zygmunt bardzo był rad wesołej rozmowie. Hrabina usiłowała być dla niego jak najbardziej uprzejmą, aby zatrzeć wspomnienie owjej sceny bolesnej.

Stosunki pięknej jeszcze hrabiny z panem Zygmuntem coraz ściślejsze, na stopie poufalości, dla obcych tłómaczyły się podobno blizkiem pokrewieństwem, to pewna, że dwa temperamenta ich jakoś się doskonale teraz godziły. Hrabina знаła wszystkie wady przyjaciela. Zygmunt, który już raz w życiu dwa tygodnie się w niej kochał, całą jēj przeszłość wiedział doskonale... Dowcip Klary bawił wielce Zygmunta, który coraz stawał się leniwszym; hrabina uzyskiwała nad nim władzę codzien większą, przerabiała go powoli, narzucała mu z ręcznie swe przekonania, słowem opanowywała. Baronowi nigdy nawet na myśl nie przyszło, żeby ten stosunek miał się na inny, czulszy i ściślejszy zamienić. Klara zaś po pół-

roczném badaniu delinkwenta zdaje się, że powzięła pewny projekt grożący jego kawalerskiej swobodzie. Kazała mu czytać listy swego plenipotenty i pomagać sobie w interesach, co Zygmunta przekonało, iż Klara miała czystego dochodu piętnaście tysięcy talarów, sumę wcale miłą i pozwalającą żyć, nawet za granicą, z komfortem skromnym, ale przyzwoitym. Umiała też hrabina wybadać go co do jego funduszów, z których jeszcze nie miał sposobności nie urobić, i nakłoniła go, aby nie tracił, a z banku nie odbierał...

Jakoś ku wiośnie, nagle dosyć, gdy Zygmunt nawykł codziennie do niej na obiad przychodzić, co wieczór u niej siedzieć, co rano razem spacerować, hrabina zaczęła się bardzo pilno wybierać do domu. Baron przyszedł, zobaczył te przygotowania, zdumiał się niezmiernie i stanął oswowiały.

— Cóż się stało? spytał.

— Ależ przecie do domu zajrzeć trzeba! zawołała Klara.

— Po co?

— Choćby dla tego, żeby tu nie przyrosnąć, bo ja nigdzie wrastać nie lubię. Trzeba jechać, muszę...

— A cóż ja tu będę robił? rzekł Zygmunt.

Hrabina poczęła się śmiać serdecznie.

— Czy chcesz, żebym dla ciebie tu siedziała?... a to doskonale! Leniwy jesteś! nałogowy... starzejiesz przed czasem... Jedź, rozerwiј się, poszukaj sobie kogoś... ożeń się...

— O nie! odparł baron. Gdybym się żenić miał, to chyba z kimś takim jak wy, kochana hrabino, kogobym znał, był pewien, gdzieby mnie już żadna nie czekała zagadka...

— Mówisz mi komplement, szepnęła Klara, a doprawdy inaczej ci się za niego odwdzińczyć nie mogę tylko wzajemnym oświadczeniem, iż, gdybym miała głupstwo to popelnić i iść za męż... to tylko za dobrego jak wy, starego i wypróbowanego przyjaciela.

— Ale nie za mnie? spytał baron.

— Hm! jak ci się zdaje?

— Mnie się zdaje, że nadto mnie pani znasz, abyś mogła pójść.

— Nadto, nie, bo to bezpieczeństwo stanowi, gdy się zna złe i dobre strony... ale tybyś się ze starą jak ja kwoką nie ożenił?

— Przepraszam... ożeniłbym się.

Podala mu rękę:

— No, to zgoda!

Zygmunt uradowany w rękę ją pocałował, ale Klara skoczyła mu na szyję.

— Pamiętaj tylko, bałamuctw żadnych! to warunek! będę się gniewała...

— *A charge de revanche.*

— To się rozumie...

— Ludzie się dopiero zdziwią, gdy o tém posłyszają! zaśmiała się Klara...

W istocie zdziwił się niejeden, a najprzód ojciec Zygmunta, który wyglądał, że matką nowej dynastji będzie jakaś znakomita cudzoziemka herbowna, tu zaś... hrabstwo owo było dosyć świeże, a dom, z którego wyszła Klara, trącił skartabellatem... Szczęściem u nas drzewa genealogiczne podlane deszczem złotym, rosną łatwo, a w starożytnościach się rozpatrując, znajdzie tam każdy co mu potrzeba... Umieć tylko szukać należy. Z innych względów małżeństwo

to, dając rękojmię nstatkowania się Zygmunta, było szambelanowi pożądane. Obawiał się on panny Adeli.

Złe języki powiadały, że mimo przyrzeczenia danego żonie, Zygmunt wyrывał się do Warszawy i tam potajemnie spędzał wieczory u dawniej przyjaciółki; lecz też inne gorsze jeszcze twierdziły, iż w czasie niebytności Zygmunta w domu, młody lekarz z sąsiedniego miasteczka zbyt często hrabinę Klarę odwiedzał, i że ona nigdy tak nie chorowała uparcie jak w czasie nieobecności męża. Marne plotki! ktoby tam temu wierzył! W lat parę zestarzały już szambelan miał przyjemność doczekać się wnuka, i na rzecz jego, nie mogąc odebrać ich, przekazał owe dziesięć tysięcy, które mu tyle krwi napsuły. Imiona na chrzcie dano mu Zygmunta, Adama, Konstantyna, Ksawerego, Hippolita. Dynastia została ugruntowaną, i baron miał nadzieję, że następne pokolenie wejdzie już niechybnie w zaczarowane owo kolo wybranych, w którym widzieć je pragnął.

W Zabrzezin mało kto bywał, dom się zamknął, radczyni oddala się cała praktykom religijnym i nabożeństwu najgorliwyszemu, surowo obchodząc posty i zakładając bractwa, a świadcząc klasztorom. Radca podupadł na zdrowiu i w świecie się mało ukazywał. Olimpia z mężem przyjeżdżała tu często z za granicy, kupiono im bowiem dobra w Czechach, sprzedawszy część od Zabrzezia. Nierychło potem ładny chłopaczek, którego sobie babka wyprosiła u rodziców, ożywił nieco smutną rezydencję i radcę nawet rozweselił... Krzywili się tylko krewni na demokratyczne nazwisko państwa Bratanków, dopóki ojciec jako ostatni z rodziny nie wyrobił Olimpii urzędow-

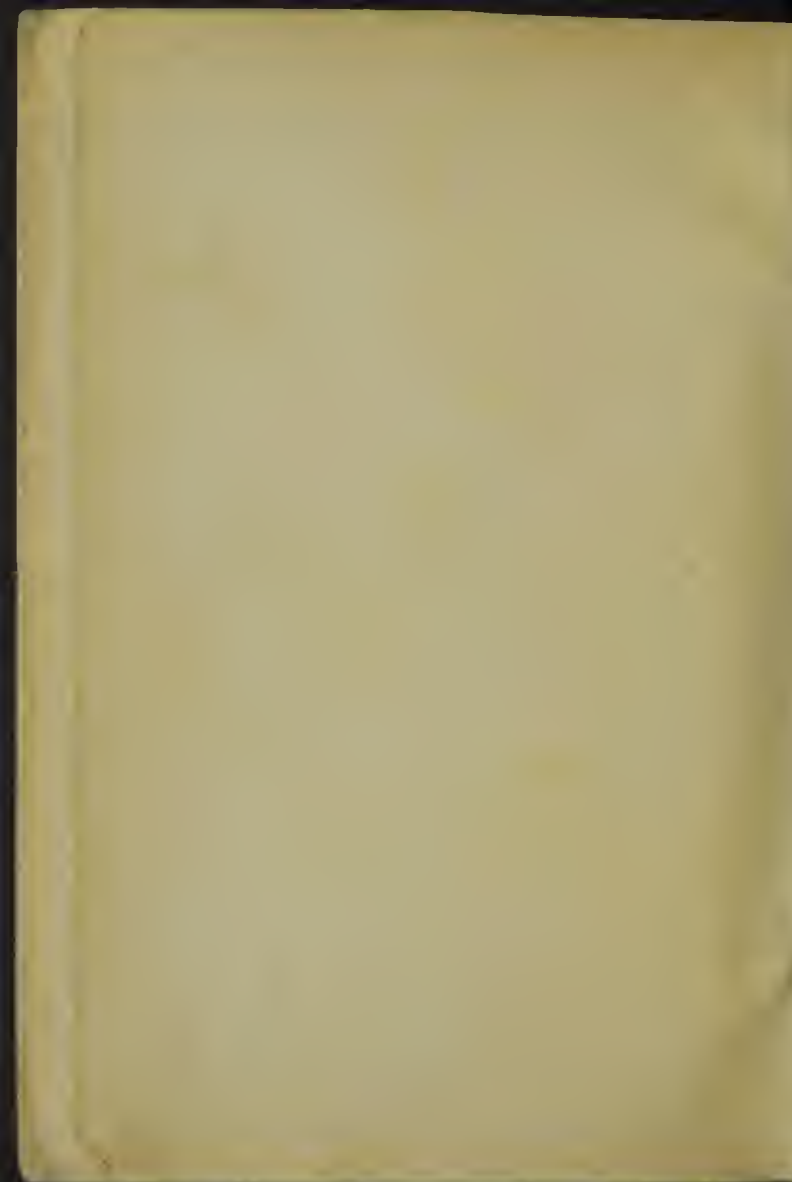
nie pozwolenia przyłączenia do nazwiska męża, świętego imienia rodziców...

Wszyscy więc prawie wyszli w końcu szczęśliwi, daleko lepiej, niż zwykle w życiu się trafia, bo tu nikt prawie nie kończy ani jakby pragnął, ani jakby powinien...

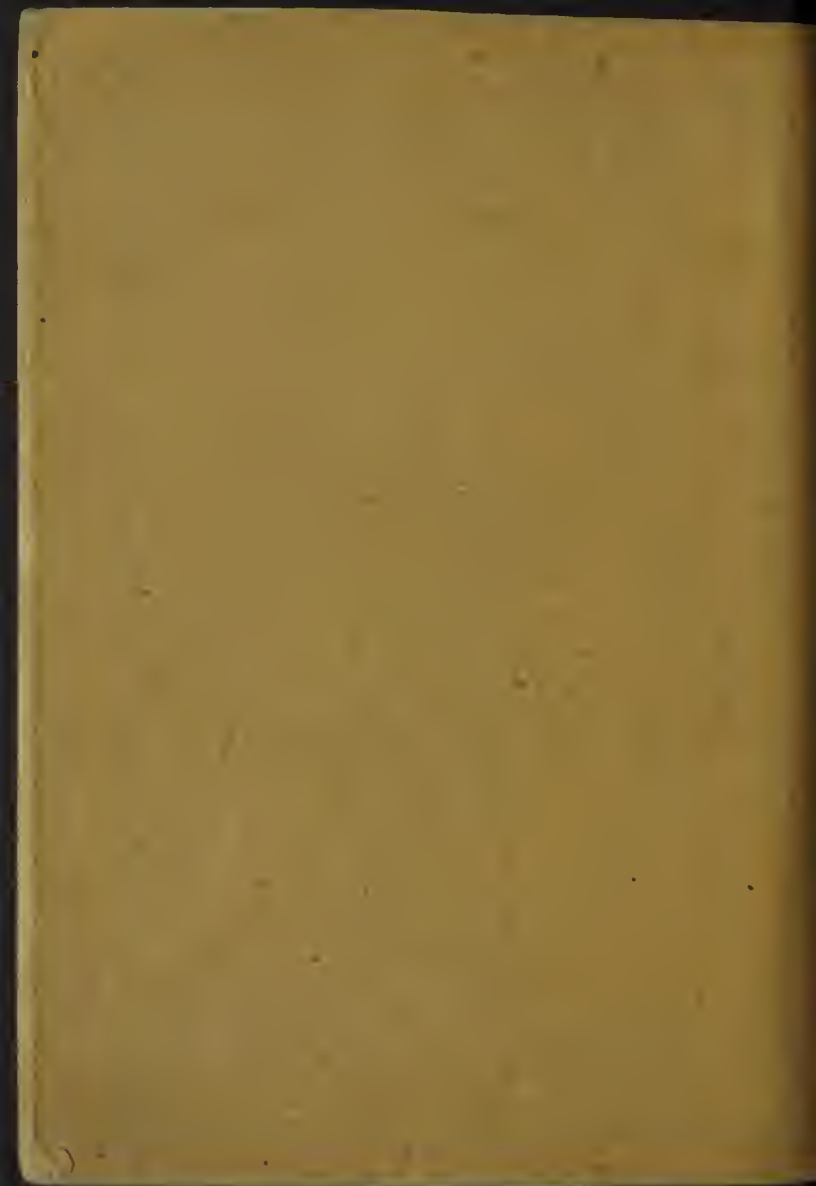
KONIEC.











1905

50



Biblioteka Raczyńskich

JIK 489



JIK0489